

Isaac Jacobovsky

JEDNOROŻEC WIELOROŻEC

Tom I

Księgi pierwsza, druga i trzecia

Pieśni 1 - 39



Edynburg 2017

*Na okładce obraz Samuela Halèvy'ego Robina Sparka zatytułowany
'Smok', rysunek na papierze, dzieło datowane na rok 1994,
znajduje się w kolekcji prywatnej.
Zdjęcie obrazu pochodzi ze zbiorów prywatnych Artysty*

Pani Anthei Spark składam najserdeczniejsze podziękowania
za wyrażenie zgody na wykorzystane dzieła Samuela
Halèvy'ego Robina Sparka na okładce tej książki

ISBN 978-0-9572877-9-2

**@ Jednorożec Wielorożec, Vol. I, First, Second and Third Book
by Isaac Jacobovsky, Edinburgh 2017**

Dedykacja

Książkę tę dedykuję moim edynburskim
Przyjaciołom Hilary i Arnoldowi Rifkind
oraz Ich bliskim

Jednorożec Wielorożec

Tom I

Spis treści

Księga pierwsza, Pieśni 1 - 13	s. 2
Księga druga, Pieśni 14 - 26	s. 55
Księga trzecia, Pieśni 27 - 39	s.108

**Księga
pierwsza**

Księga pierwsza

Spis treści

Pieśń 1	s. 3
Pieśń 2	s. 7
Pieśń 3	s.11
Pieśń 4	s.15
Pieśń 5	s.19
Pieśń 6	s.23
Pieśń 7	s.27
Pieśń 8	s.31
Pieśń 9	s.35
Pieśń 10	s.39
Pieśń 11	s.43
Pieśń 12	s.47
Pieśń 13	s.51

Pieśń 1

Słowo czy pomyślałbyś że mogłoby być jedno
Ledwie jedno rzucone w kosmos ucha wiszące
Na bezdźwięku czekające w splocie potencji na
Uzucie bez którego kreacja nie miałaby sensu
Moja miłość do świata jest jak to słowo a uczucie
Do ciebie jak ludzkie zatroskanie o bezpodstawne
Odrzucenie manipulację na żywym ciele duszy
Zarzut o dysharmonię czyniącą nieuchwytnym
Owo mistyczne tajemne brzmienie praprotu
Stwory z brzucha niebytu spłoszone czymś wrogim
Lecą prosto do ciebie wpadają w ślad źrenic
Nimi łowi je ptaszniak by wszystko ocalić
Przed stratą duchowości której są symbolem

Nie chcę by żywe skały obumarły ich skrzydła
Ostre dzioby szpony przedliryczne kołysanie w twojej
Głowie ciepło bijące we mnie z kamiennej piersi
Spojonej czystą duszą bez najmniejszej skazy
Skrzydła wskrzeszają wir z którego czerpię twórczy
Wigor choć ja sam jestem z ziarenek piasku drętowych
Jak te krzemowe przesypane się bezwładnie w tę
I we w tę zrób coś zatrzymaj proces który wygubi
Skalne życie wielkie stwory zamieni w wypukłości
Na czubku świata w nieme góry przyszłych
Złodziei widnokregu w okradzioną z niego dolinę
W dno morza ściśnięte wodą żeby nie mogły ożyć
Zmieść nowych światów wiecznego cmentarzyska

W przyszłości kto nam uwierzy że gwiazdy były
Ledwie cieniem światła lecz kiedy myśli je mieszały
Wskrzesiły stwory galaktyczne bogate w kształty
Silne mocą wędrownych pyłków spiętych w święty
Organizm z płyt kamiennych mnogich szponów dziobów
Rozległych skrzydeł lotek chroniących sen pisklęcia
Przed intruzem nieznanym złem spod wnętrza
Tam właśnie stale gad podpełzał by porwać z gniazda
Drobne ptaszę i kiedy w końcu krzyk rozłupał przepaść
Świata rozmnożył się czarny ogień stopił twardy krzemień
Lawa milionów dusz spłynęła w niebyt to co było dotychczas
Tylko cieniem stało się jedynym dostępnym światłem
Rzadkim porzuconym w nieładzie na bezdrożach

Prawo brzmiało bezwzględnie gad zbrojny w wolną wolę
Użył jej jako ideowego manifestu cena za to nie miała
Precedensu część więzionego światła zniknęła na
Zawsze odebrała poznaniu wszelką pewność żywe skały
Kuliły się z rozpaczy ginęły pozbawione witalnych form
Zostawiając puste miejsca niespokojne z ranną duszą
Planety za ciepłe nazbyt chłodne przystanie skrajności
Krażące wokół resztek cienia wyczekujące lepszych
Światów w których być może odnajdą się zrozumieją
Że światło jest mistyczne duchowe niesie w sobie prawdę
I jeśli gad chciałby zaprzeczyć czemuś co nie ma
Zaprzeczenia musiałby pożreć kosmos a potem
Nie tracąc sił siebie samego niezliczoną ilość razy

Nie wiem kto z piasku stworzył bicz śmiertelny warkocz
Zgubnych poranień odprysków zmienionych w płaszc
Podłego gada pisklę do dzisiaj walczy w jego cielsku
Kaleczy ciężki pancierz aż ziemia drży a wiatr podrywa
Ciepło zderza z chłodem buduje wiotkie pyski próbuje
Zapolować na gadzinę wessać wyrzucić w górę zmienić
Ponownie w pył uwolnić więźnia by odzyskać wspanialszy
Świat wesprzeć ród żywych skał oblec w wonny deseń
Morskich brzegów lecz wiotki bicz sprytnie unika
Średnich planet żółci słońc i dziur kosmicznych
Bezkarność z jaką kluczy między dobrem a złem
Zachęca inne gady do wytrwałego wznoszenia zasłon
Przez które nikt nie będzie w stanie dojrzeć świtu

Poszukiwanie o tym prawdy oddala od ciebie
Nijakość a we mnie moje ja wstaje z kolan prostuje się
Rozciąga od pięt do czoła wyjmuję je z siebie
Układam we wzory i ze wzruszenia płacę
Zachwyty i podziw każdego kto czuje i rozumie
Miesza się bezlitośnie ze strachem przed trwałą
Ignorancją obu nam bardzo potrzeba dystansu dla mnie
Ty nim jesteś ukwiecony łąkami pierwszych pąków
Czuły zapachem oznaką lotnych cech świeżości
Uragających perspektywie przemijania przyszłego
Umierania to w niej przyjdzie nam się odnaleźć
Określić barwami słońc księżyców ablucją zmysłów
Chwytych w klamry czasu prowokujących pieśń

Otacza nas ocean słowo-dźwięku w którym język
Jak piana morskiej toni unosi się na fali spada
Z giętkim hukiem rwie na strzępy dryfuje
Przykrywa płody głębin wnika w rodne sieci
Przybrzeżnych kryształków tam sięga boskości
Zrównuje ze światłem i wtedy słowo-światło
Wyrzuca z siebie życie zabarwia łąki kwiatów
Naręczem wielości ty jesteś tą wielością
Grzejesz się nią chętnie niekiedy kontestujesz
Jakbyś był młodzieniaszkiem który chce uszami
Przeświecić ciemne wnętrza najpierw niech własne
Każdy pozna by nie zagłuszyć serca odszukać
Diamenty zmienić w nich światłość w słowo

Chciałem policzyć wielością by złożyć z nich
Własną frazę gdybym ją wypowiedział powstałby
Tutaj cały wszechświat ścisnąłem mocno zęby by tylko
Pomyśleć zliczyć cokolwiek zmniejszyć zwiększyć
Obdzielić po równo mógłbym tobie dać więcej lecz wtedy
Czy mnie by wystarczyło przewrotne te pierwsze pąki
Zalążki przyszłych smaków ich wachlarz wzrośnie wkrótce
Z łąk zrodzi potrzebę siostrę sprytnego egoizmu
W przebraniu miłości gdy zacząłem rachować mylić
Na swoją korzyść robiłem to nieświadomie taka jest
Ludzka natura wytłumacz mi coś złego kryje w sobie
Zmieniając owoc w liczbę tę łącząc brzękliwie ze złotem
Żywych wcale nie liczę chyba że w niewolę

Dźwięki są lapidarne jak jednoton jeśli nie są słowem
Przynajmniej jego częścią chociażby malutką
Nie wiem czy zwykła fraza mogłaby je wszystkie
W sobie zmieścić a teraz podobne słowo jest w tobie
Czeka na misję czas już je wykrzyczeć po co zwlekać
Bo jeśli cały jesteś dźwiękiem on potrafi przybrać ludzką
Postać wzruszyć się sobą samym śmiać autoironicznie
Obnażać części mowy przyjąc różne pozy stroić
W maski lecz żaden z tych zabiegów nie zdoła ukryć
Jego przeznaczenia objęcia troską tego wszystkiego
Co istnieje nawet tego co nie istnieje i o czym dobrze
Wiemy że nigdy nie powstanie w żadnym ze światów
Na przekór epice i liryce czyż to nie zagadkowe

A ja i ty jak istniejemy jeżeli tylko ty sam jeden
Istniejesz na nieskończoną ilość przypadków ja zaś
Czy istnieję choć na jeden z nich ten za krótki
By można było dostrzec moją twarz spojrzenie i miłość
Wypełniam nią całą przestrzeń staram się imponować
Każdemu twojemu przejawowi bylebyś przystanął
W pobliżu nawet tuż przy mnie dotknął włosów
I dłoni czyż nie mógłbym ci się spodobać obyś miał
Wówczas kształt człowieka kobiety lub mężczyzny
Żeby nie bał się tego czym jesteś i nie umarł
Śmiertelny wśród wątych oznak niezmienności
Gdy ginąc jak inni tak naprawdę trwał będę na wiele
Dziwnych sposobów na przekór tobie nieśmiertelniku

Co jest w tym jednym słowie w lojalnym mu
Centrum na zbuntowanych peryferiach w zakolach
Dołach schowkach w nich pełno różnych dźwięków
Skąd się tam wzięły co wzbudza wielkie fale a co
W nich faluje roznosząc wiadomości choć trudno
O biorców trzeba uszu języków wielkich głodnych
Czaszek które by pomieściły każdy sens znaczenie
Na zewnątrz wciąż nic nie ma być może sam jeden
Poza przyszłą kreacją na niebie niebytu spróbuję cię
Odnaleźć poznać dychotomię wiedzę tajemną
O bitwach z wnętrza słowa na śmierć i życie o istocie
Potyczek między tym co u góry a tym co jest w dole
I chciałoby się wydostać lecz miejsca są już zajęte

Kto miał moc by zająć lepszą sferę wznieść
Nad pustkę spojrzenie z wielką siłą rozkazać światu
By powstało duchowe światło kto mógł powiedzieć
Niech stanie się światło i stało się światło zdradź mi
Tę tajemnicę zrób to teraz bo później przyjdą kłamcy
Wypchają głowy fałszem wystrzelą serię słów
Zuchwałą morderczą rozmnożą gadzi lud i nikt
Nie będzie mógł rozpoznać niepodzielnej i jednoznacznej
Prawdy tak koniecznej bym zdołał zrozumieć ciebie
Siebie samego i nas obu to wymaga pokory trochę
Jej mam i zwykle trzymam pod żebrami oglądam od święta
Myślę o uważnym prologu początku tak trudno z nim
Coś zrobić nie tylko tobie i mnie filozofowi i poecie

Boję się o nas kwiaty po twojej stronie tworzą w człowieku
Czas coś podzielnego i jednego zarazem niechybnie
Przyjdzie z tym żyć widzę że tobie to nie przeszkadza
Budujesz zasieki rozstawiasz strażnice przed czym
Chcesz się obronić jeśli tylko my stoimy na tej łące spójrz
Przez jej środek mógłby wieść dobry trakt możemy go
Wydeptać spacerujmy wokół Jerycha miasta nowego
Świata zamkniętego murami a choć potężnymi one runą
Wystarczy słowo splot dźwięków z gardzieli kielicha ludzie
Gdy będą przeciągle trąbić na baranich rogach i usłyszycie
Głos niech cały lud wzniesie głośny okrzyk bojowy wtedy
Mur miasta rozpadnie się a lud wkroczy do niego każdy
Prosto przed siebie lecz któż z nich odnajdzie prawdę

Pieśń 2

Co powtarzalne zdaje się być nieskończone a ty
Jedyny w swoim rodzaju jesteś niepowtarzalny
Więc czyż nie powinienes być jak ja śmiertelnym
Odczuwać strach przed kresem bólem odrzuceniem
Od tego każda dusza boleje przeciągle kaszle
Chronicznie wymiotuje choć nigdy to nie pomaga
Trzeba by rzecz scedować na surogat wymyślić
Świat którego żaden wąż nie zdoła pożreć
Choćby się bardzo starał można by taki świat
Odtworzyć z nażyć skalnych tyle tu wokół martwych
Śladów z ich pyłu łatwo zlepić drobną postać ożywić
Wysłać do walki z groźnym wężem a gdy zwycięży
Niech potomkowie zadmą w trąby roześlą zew

Więc nie wiesz co z tym zrobić a ja myślałem
Że może jesteś jak absolut wszechwładny
I przymilałem się do ciebie bylebyś dostrzegł moje
Prośby ich listę mam zawsze pod ręką jest trochę
Długa lecz szczerza za wielką ilość oczekiwań
Wiń siebie samego doskonałość czy polega
Na rezygnacji wręcz przeciwnie ona jest stałym
Spełnieniem bez odzwierzęcych sztuczek odruchu
Bezwarunkowego czy uzależnienia od przypadku
Sprowadzającego mnie do poziomu płaszczaka
Ogród przez który spacerujesz ma wiele wymiarów
Jego kwiaty sięgają moich oczu wnikają w spojrzenie
Głęboko penetrują coś czego sam nie pojmuję

Staram się czuć ich wdzięki dotknąć barwę płatków
Usłyszeć owal słupka w jego środku czysta łąza
Przesuwa punkt ciężkości łodyga nieznacznie
Kołysze się wzbudzając ruch od którego powietrze
Zmieni się za chwilę w pchli huragan lecz na razie
Panuje błogi spokój ogród zasłany jest radością
Niezmaconą i prawie doskonałą gdyby nie to drobne
Kwietne skrzydło motyl dotyka pręcik zrasza się
Wilgocią czuję jego puszystość miękkie meszek
Kwiaty patrzą teraz na mnie badają uważnie jakby
Wiedziały że czeka je próba ja nie będę mógł pomóc
Nie wtrącam się w sprawy wobec których ty sam
Zobojętniałeś masz w nosie że kolory pąków umrą

Z czasem tu wszystko wypłowieje straci na znaczeniu
Jak w każdym innym miejscu we wszechświecie
Nie wiem tylko dlaczego nawet naiwnemu trudno
Wybrać chwilę nie związaną z niczym taką odrębną
Nie więzioną przestrzenią kształtem ścieżki gdy po niej
Idziemy wysokością budowli która majaczy w oddali
Obszernej z pomieszczeniem flankowanym kuliście
Szeregiem mniejszych izb wzniesionym na tarasach
Pełnych fasad nisz i przypór na środku stół ofiarny
Rybie ości zmieszane z popiołem potężne mury
Z cegły mułowej lico palone spojone gęstą mazią
Czarną jak w domu otchłani słodkiego Eridu
To projekcja przyszłości a już za sprawą Ur w ruinie

Kto wzniesie miasto tak ogromne wynajdzie sztukę
By słać mury jak płaszcz na łące ścielić jak pościel
W zbożu smakować ceremoniał wspólny oręż rozumu
I uczucia kłaniać się mocom słodkiej wody podziemnym
Oceanom znasz taką siłę ona czystą wodę zamieni
W suchy piach zostanie tam pustynia dom skorpionów
Podstępne węże i pustkowia mogłoby pomóc biadolenie
Próby ratunku dary z życia czy wiesz coś o tym powiedz
Proszę dlaczego serce nic nie wskóra szelest listowia
Zeschłe płatki zaczynam czuć dojrzały zapach twarde
Szypułki z trudem mieszczę w głowie kielichy
Dnami ciężą oku teraz nawet wichury im niegroźne
Lecz coś odmieni ich charakter i twoje kwietne łąki

Ty znasz tę osobliwość ja próbowałbym przypisać ją
Samemu sobie i to co wyjątkowe włączyć do kanonu
Stworzyć normę tak trudno osiągalną że wyniosłaby
Owoce nad naturę co o tym myślisz czy możliwe bym
Uniósł perłę z głębin serca tryskają z niej czerwone
Rzęsy dłuższe od każdej pory roku prawdziwie
Nieśmiertelne w wielomiarze nadzwyczaj trwałe
Jak ciek skalny toczony łojem wodnej tuszy
Ukorzenione wchodzą w stopy a te przenoszą nogi
W nierówności rzucają nimi w dół pchają pod górę
Czuwają bym nie zniszczył kwiatów gdy idę łąką
Zamyślony zbieram po drodze biel ich pąków inkrustuję
Duchową masą moszczę ściółkę by było wyjątkowo

Twa obojętność wzbudza we mnie niechęć dlaczego
Rezygnacja ma walor rozwagi a upór dla miłości
Przypadłość głupoty boję się o uczucie spięte klamrą
Ściśnięte dynda w słońcu jak jakaś zabawka wystarczy
Zniesmaczenia uniknę śmieszności sam rozpocznę
Wędrowkę na rozdroża za ścianę krętą lasu gór ostoję
Pierzeję sieci ptasich po harce ptaszników poczekam
Na mój świat na ogród by wyrosły z ziemi wszelkie
Drzewa przyjemne do oglądania i dobre do jedzenia
I drzewo życia w środku ogrodu i drzewo poznania
Dobra i zła wówczas może dostrzeżesz tkwiącą w ludziach
Słabość bo chociaż nie krzywdzimy świata czy pomagamy
Mu stać się lepszym zamknięci w skorupach małżów

Nabrałem w garście pereł z nich właśnie wzrosły drzewa
Ptaki dziobią owoce mięsiste gronowo-diaamentowe
Miażdżą z łatwością w szczękach pomiędzy krajcami
Gubią jajowe zęby wlatują nad ogród cisną deszczem
Ten rosi światło barwnymi kloszami tak tu cicho słyszę
Jak słowo przechodzi przez mędrszą głowę ważniejsze
Od tych znanych pospolitych nie wolno nic uronić ani
Jednej zgłoski ich brzmienie ma obrodzić nowym życiem
Jeszcze jest między liśćmi podobne szeleści uczynmy
Człowieka według naszej istoty i według naszego umysłu
Widzę postacie wyjdźmy im naprzeciw nie wiedzą wciąż
Co to strach ludzie czyści jak dusza śpieszmy nim zrażą się
Do ciebie zanim poznają co złe a co gorsze jest dla ludzi

Wtedy będzie za późno wyrwą łąkom kwiaty odbiorą rzekom
Wodę pochwyć co rodne i słodkie z dłoni uplotą rybne sieci
Z włosów rozwiną ptaszne sidła zechcą zaraz panować
I nad nami tobie być może wszystko jedno ja nie chcę takiego
Życia wolę wolność nieposkromioną zieleń ziemi źródłany
Błękit rosy pomarańcz prószącej pożar błyskawicy zwinność
Wiatru toczącego przed sobą wrzawę przeczuwających
Gadzi atak łęgów hołubisz węże jeden z nich wciąż w tobie
Siedzi jeśli tego nie zmienisz jad będzie kapał z drętwej wargi
Wygubisz nim tę łąkę drzewa moją miłość węże drzemią
Na błoniach zwisają z urwiska jak grona rajskich winnic
Niecierpliwe łapczywie głodne zastawiły właśnie pułapkę
Przy stopie człowieka ich morderczym celu godnym epiki

To co jest pomyślane i łatwe dla słowa niesie
W świecie fizycznym błąd i domniemanie sferyczną
Nicość punkt mniejszy od punktu ład nie znający
Reguł mętnik bez chaosu w moim sercu gdy staram się
Ogarnąć co pierwsze a co drugie kolejne i bez końca
Gdzieś w tym jest całe życie budzące się na chwilę
Świadome kłopotów w istocie swej praktycznych
Stroniących od opisów dystynkcji i złudnych hipotez
Czyż me uczucie do ciebie nie jest właśnie takie
Toczone drogą słońca huśtane księżycem rzucane
Wichrem mgławic wieńcem czarnych pustek pozerające
Własny cień zwinięty gęsto w kłębek wielu rzeczy
By znaleźć w którejś z nich twą chłonną przestrzeń

Życie jest jak pułapka w którą samo wpadło
Trzeba by rozciąć duszę gdyby chcieć być wolnym
Wyjąć z niej nie-mijanie wszech-zegar nie-czasów
Drugą część wciąż jej nie ma można wykreować
Lecz śmiały koncept wzruszy ład wszechświata
Zmusi do wycofania z żywionej potęgi i to co było
Jednym stanie się czymś przed czymś słabe liche
Śmiertelne przerodzi w niestałość jeśli mi nie pomożesz
Jutro dychotomia spłodzi światu beztonię ja wolę
Dźwięczną lirykę spod znaków wielotonii ogłoszę
Cię uszmistrzem będziesz słuchał wieści użyjesz stu
Podzwieków bo tylko ty jesteś w stanie wskrzeszać
Nową przestrzeń lżejszą niżeli ta zwalista na niebie

Z pereł deszcz znów trzeszczy pod nogami tuczy ptaki
Rośliny i węże dziki zwierz wyruszy wnet na łowy
Trawożerny pilnuje wodopoju wielka rzeka pomieści
Cztery nurty tak jak tułów słońca przestronne
Kończyny nie wiem tylko czym żywią się tu ryby
Są duże jak łodzie kosmosu cumują w kielichach
Uszu przy przegrodzie nosa a gdy życzliwie otworzysz
Swoje usta osiadają na brzegach grząskich dziaseł
Wyjadają resztki pokarmu między szkliwem zębów
Spod gięci zuchwałego języka martwię się o biel żagli
Lewiatan jest już w drodze gdy wpłynie w potok rzeki
Pożre samą Chalkis zło pije niczym wodę kręty
Nie płochliwy cielskiem lubi trzeć o krańce ziemi

Zodiak świetlisty wąż zorzą oplata niebo Lewiatan
Wodny gad siłą zniewala morze Behemot taska ogon
Większy niż pniaki cedrów jego kości jak rury drażone
W konarach wacha kwiaty lotosu drzemie wśród paproci
Łowi ufną zwierzynę z tysięcy podgórzy chowa w swój
Gęsty ogon zdobiony ptakami troszczy się by nikt przy nim
Nie został skrzywdzony powiedz co będzie z ludźmi
Jeśli wbrew rozwadze zechcą żyć daleko od pra-źródła
Kto wówczas rozsądzi między nami wstydlivy spór
O istnienie świata trwałą pozostanie jedynie nienawiść
Pomiędzy tobą a kobietą i między twoim potomstwem
A jej potomstwem ono zetrze ci głowę aż porani pięty
Nie czekaj bym ja sam rozwiązał spór za cenę prawdy

Pieśń 3

Śmiertelnym jestem nie wtedy kiedy umieram lecz
Gdy chcę wiecznie żyć i żądam tego od świata
W imię nieziemskich praw ty mi je wszystkie dałeś
Razem z pochwałą życia lecz jak pozbyć się śmierci
Kim jestem wobec pokus kto zdoła je przetrzymać
Może ty jeden to potrafisz ja nie znam skrzydlatej
Galaturry przebiegłej Kurgarry które by wydostały
Mnie z obcej krainy nie pozwoliły szczepnąć ciała duszy
W skrytych pasmami gór czeluściach nad nimi ptak
Z królewską głową niesie swe pisklę w leżu z lotek
Swoim ogromnym skrzydłem wzbija piach sypie
Do trąb już wloką tutaj suszę skrócą nasz płytki oddech
Kur śmiertelny rozrzucą na ogrody mór z ciemnicy

Żółć krew i pył z których ludzie powstał pochodzą
Z rajskich dysonansów czerwien stworzyła zwoje ciała
Czerń wręby biel ścięgną i kości a oliwkowy powab
Skórę gładką jak perła nie wiem który z kolorów miał
Duszę taką jak moja bo twoja jest inna straszna i jeśli
Żadna z barw jej nie miała to ci ludzie niechybnie już
Zginęli kurz przysypał liście ich strojów zasłonił czasę
Nieba rozpadły się syte zęby a piersi po czasie ujawniły
Zwiniętą w długi warkocz spiętą w guzy węzły zerwaną
Z drzew i kwiatów zakrzepłą trucizną flegmę niebieską
Jak lazuryt plwocinę wlaną w żłobień płaskorzeźby
Oni wszyscy nie żyją a byli tutaj długo wzniesli ciężkie
Świątynie królestwa tymczasowych gestów i bezruchu

Ktoś chciał niebiańskiej hieroduli inny świątynnej
Prostytutki a jeśli nie miał prawa do tronu królestwa
Kołpaka berła wzniosłej szaty pozostawało mu
Kłamstwo pochlebstwo lub bunt sztuka pisania
Rabunek słów niehonorowość ciągła ucieczka
Niespokojna podważająca boskość króla siłę jego
Sztandarów radość serca prawo starszeństwa
Do milczenia a choćby posiadał całą wiedzę znał
Rytuały obmywania wzniecania ognia i gaszenia
Czy jego rozum połknie żądze muzyka wpłynie
Na uczucia zbyt głośno brzmiące instrumenty
Obrzydzą zakazane stosunki cielesne została z tego
Garstka kurzu czerń sukni ryt intonowania lamentacji

Zdobądź szczepy sarbatu zasadzę je w poprzek
Powstrzymam wieczne burze ścianami z przyłasu
Oczyszczę studnie z krwi odgradzę od plagi
Trzecia z nich wciąż przed nami może przynieść nicość
Spojrzysz w bezdenną głębię serce nie wytrzyma
Nikt by tego nie uniósł ruszże się i pomóż obronić
Przed Inaną raz już wsparł ją sam heros nadludzki król
Gilgamesz nie kuśmy więc losu Uruk tak niedaleko mur
Wyższy od świata skrywa przed ludźmi przyszłość
Dla miasta wieczny koniec bogowie umrą z czasem
Zostawią bez straży wówczas ptak-lew wąż smoczy
Spłaci hańbę powróci z wygnania zniszczy ulotną woń
Ogrodów zatopi martwe domy w zniesieniach pustyni

Powiedz coś bo jeśli będziesz milczał zniewoli nas
Moje wyobrażenie zagmatwane ze zbyt dużą dozą
Niepewności z prawdą wymykającą się jak czas
Gdy złowąż zwija przestrzeń rodzi tuzin pytań
O jej naturę miejsce które zajmuje szpetnym cielskiem
W chwili gdy je zamykasz w swojej głowie szukam
Nerwowo kwietnej łąki rozglądam za ścieżyną
Z chrzęści żwiru nie wiem gdzie się podziały płaszczyzny
Wypukłe góry wklęsłe doły nic nie wiem nawet o samym
Sobie i kiedy świat wróci do normy choć był tak dziwny
Wyśmiesz mnie a to nie jest zabawne anomalie
Są sługami zaprzeczenia w przyszłości zakazą ich
Jak płasów jeśli niosą ze sobą prawdziwe przesłanie

W płasach można zrywać z siebie maski pod pozorem
Szczęścia rytuał pozwala je zamieniać na ekstrawaganckie
Pobudzające nas do zaprzeczania zakazałeś mi tego
A potem przyszli ludzie zrodzeni z nagości wypełnili mnie
Lękiem od tamtej chwili strach krąży stale między dłońmi
Pomiędzy stopami nie mogę od tego uciec staję się
Określony podatny na celność wyglądam ponizenia
Wyszukuję szeptów zło w ten sposób nabiera szczególnej
Wartości jego nobilitację wspiera moja słabość żądam byś
Dał mi władzę choć na jedną chwilkę nie nad światem
Całym i ludźmi by coś takiego zdobyć muszę to mieć już
Wcześniej góra własnym strumieniem rosi swoje zbocza
Dolina rozpadliną nurza w głębiach a moje łzy cóż znaczą

Skaliste jamy pustoszeją wąż oblókł tułów wstęgą łąki
Chce wylegiwać się na słońcu czeka aż zbłądzi tu
Młodzieniec lubieżnie zacznie chłopca kasać by dojrzał
Płciowo rozwarł bramy zmysłów zapragnął stosunku
Jeśli zbłądzi kobieta skradnie jej roztocze wymości
Gadzie gniazdo w ludzkich trzewiach powiedz co robić
By nie stać się ofiarą bo kiedy czuję wokół węzowe
Czyhanie nigdy nie mam pewności czy gad mnie
Pożąda zrzucam wtedy ubranie jeśli się w nie wkręci
Czeka by wniknąć jeżeli tego nie chce jak mógłbym go
Skusić Ewa współżyła z mężem wąż widział złączenie
Posiadł ją zaszła w ciążę poczęła Kaina i powiedziała
Nabyłam mężczyznę z Bogiem owoc dziś powszechny

Człowiek mógł złu zapobiec gdy wąż już ją przeniknął
Winna usiąść na beczkach rozchylić swe uda na ogniu
Upiec mięso zwilżyć kosz rzeżuchy winem wonnym
I słodkim przemówić do gada mieć w pogotowiu
Szczypce zwodzić go jedzeniem wnet by wyszedł
Z jej trzewi Adam o to nie zadbał stąd tylu morderców
Ich krew w każdej cząsteczce ma ślad z krwi Kaina
Tylko im róg na czołach nigdy nie wyrasta za to co dzień
Spiskują jak posiąść symbole marzą o wielorożcu
By płodzić z nim dzieci tworzyć ciężkie zaciągi zbrojne
Przeciw miastom choć niewiele ich jeszcze wszystkie chcą
Wyburzyć posiąść branki one rychło urodzą olbrzymów
Straszliwych wszechpotężnych książąt wyniszczenia

Zwiększyło się zło ludzi na ziemi i wszelka skłonność
W ich najgłębszych myślach była wyłącznie zła przez
Cały czas góry wód opadły w nurty Hidekel wielka
Rzeka rozlała swoje brzegi po źródłostajną Prat błoto
Aż kipiało szalone rosło ponad ludzi niosąc brud i choroby
Niszczyło piękne życie Ziusudra król Szuruppak wyzwał
Bogów zbudował wielki sześcian smołą wglądził ściany
Sześć pokładów zmieściło służbę i zwierzęta wkrótce
Deszczowe burze wchłonęły ziemię siódmego dnia
Ustały widać było fale król posłał dwakroć ptaki wróciły
Ze zwiadu dopiero kruk pozostał na odległym szczycie
Ziusudra ustrzegł ludzkość przed niechybną zgubą spopielił
Świątynne drewno aromat dla bogów prastary mit

Powiedz mi ile razy potop zdusi ziemię wkrótce Noe
Zbuduje łódź długą wysoką niechże światy z tym skończą
Człowiek się już nie zmieni i jeżeli w przyszłości
Znowu wstaną rzeki morza wyjdą nad brzegi zechcą
Łowić ludzi kto powie mi co robić czy ty będziesz
Wiedział ostrzeżesz mnie przed śmiercią ocalisz przed
Tonią głębia słowa wystarczy nią można opisać
To co złe co jest gorsze i co się nie zdarzy
Chyba że się zmienimy zwłaszcza strach przed
Prawdą dno morskie jest tak miękkie nie wiedziałem
O tym przez sandał nie czuć ziaren tylko zawiesina
Łaskocze moje łydki a chciwe ryby gości witają ławicą
Ich drobne mokre łuski świecą mrocznie w niebie

Trzymajmy się ścieżyny biegnie wzdłuż ogrodu tuż
Nieopodal drzewa lirycznej wzniosłości nic nie szkodzi że
Zatopione ogrody i drogi me racje przelewałem z próżnego
W próżne a wody wzbierały na ziemi sto pięćdziesiąt dni
Na szczęście nie zniszczyły tego co jest trwałe płatew
Liryczna miała piękny owoc chciałem wziąć garść zalążków
Przechować na przyszłość daj słów więcej trzy miary
Bym w koszu mógł mościć nieckę mojego lęku przed tym
Co nieznanne wymyka się stale niech wiedza wsparta
Strachem zgnije w mętnych wodach to jedno daj za milion
Dusz roślin i zwierząt daj siłę bym nią krzyczał dźwięk
Wyjdzie spod wody zbudzi na nowo wiatry te rozgonią
Chmury osuszą co przetrwało wpół żywe wzmocnione

Język jeśli do jutra nie zaschnie mi w gębie wywyższy
Za zasługi nieznaną naturę wzniesie siłą sugestii bogate
Winnice one będą tak wonne jak rajskie ogrody sproszę
Na ucztę gości przyjdź i ty obiecaj kąpać się będziesz
W winie z wielkiej słodkiej kadzi może zdoła nas upić
Opowiesz mi dzieje te bez których nie mógłbym dzisiaj
Strużyć moszczu zszywać skór twardych w pęk bukłaków
Wlewać w nie będę twoje słowa i jeśli prawdę powiesz
Zachowam ją dla siebie i dla biesiadników niech znają
Moc perswazji tylko głupstw im nie mów anegdot klechd
Pouczeń choćby miały dopomóc zrozumieć człowieka
Mnie niczym nie zadziwisz czuję się pijany winna jest
Chwiejna treść w oparach słowa i wino rozlane wokół

Nad nami stado ptaków żeruje przy wodzie rozchyła
Ciało cieczy by dotknąć jej wnętrza pokłonić się
Bogactwu wsłuchać w szelest łusek ryby niosą
Z dźwiękami mistyczne przesłania strojone są w nie
Słowa zwinne posrebrzane świecą tak wielobarwnie
Tracone twym wzrokiem stado rzuca się na nie kotłuje
Pod wierzchem ucisk żelaznych szponów czuję na
Mym karku zwycięskie niosą zdobycz słów łownych
W przestworza gdy wiatr osuszy lądy ptaki sfruną
W gniazda stare węże jak gdyby nic wyjdą na łowy
Z łatwością sięgną strawy pożą to co ważne by znów
Ludziom powiedzieć o dobru i pięknie ogród już prawie
Suchy śmiało przy tej ścieżce zasadźmy owoc drzewa

Pieśń 4

Wierzyłem że ludzi żywych jest więcej niż zmarłych
Jeśli to nie jest prawda cóż trzyma człowieka
W świecie pełnym cierpienia lęków niepewności
Życie zmienione w farsę codzienną agonię rutynę
Umierania bez żywności rześkich źródeł wody ziół
I mikstur one cofnęłyby kosmiczne rozbawienie
Śmieją się z tego gwiazdy sferyczna membrana
Zawija resztki światła w pożółkły papirus
W nim pióro z trzciny naniosło kartusze
Bogów żywych jak ludzie więzieni w grobowcach
Ciemnością na wsze czasy doczesną dla martwych
Niegdyś sławiących łona lekkich matron z Inebu-hedż
Dających ciałom rozkosz godną nieśmiertelnych

Z ogrodów spływa Piszon krąży wokół włości
Krainy pełnej złota kamieni i pereł lazuryt swym
Błękitem dopełnia mistykę odbija w rozlewiskach
Przyszłą czerwień plagi promienie słońc sięgają
Grobowej Sakkary pełnej suszonych byków zimnego
Apisa topionych dla umarłych w imię wiecznie
Żywych ich groby wielkie domy wykwiłtne mastaby
Wypełnione marzeniem o trwaniu w zaświatach
Przyjrzyj się moim plecóm wciąż czuję w nich
Szpony ptak przebił nimi skórę zanurzył je we mnie
Traf chciał pochwycił duszę czy zdoła udźwignąć
Za ciężka jest dla zwierząt by ją unieść w przestrzeń
Bez mojej zgody bez buntu przeciw doczesności

Co będzie ze mną powiedz ja nie jestem królem
Nie jestem wielkim wodzem i nie mam pieniędzy
Unikam prostytucji jeśli to możliwe zdaję się
Na kapłanki one wiedzą lepiej co lepsze dla człowieka
I dobre dla bogów czy kto zechce poecie przydzielić
Dwa groby może filozofowi lecz niesprawiedliwie założy
Taki szatę i już jest wybrańcem a mnie nagiemu po co
Fałszywe okrycie ja chciałbym tylko schronić ciało
Przed starością odgonić drapieżniki ratować me pieśni
Uniknąć wrogów jest ich tu bezliku krzątają się
Na co dzień wokół mego losu czujni na każdą frazę
Ślą rządcom donosy akcenty kłótni o naszej mylności
Plotkę o tobie żeś prowodyr choć nikt ciebie nie widział

Uwolnij mnie od szponów zbyt ostre są ich pazury
I nawet nie wiem po co tak żądne starych kości
Zrywają z pleców pasy szarpią w poprzek mięśnie
Krew rozkłada pióropusz chciwa na pochwały
Że niby jest szlachetna błękitna ta z najlepszych
A jest tak samo czarna jak wymaz z gardła ziemi
Rzeka gdzieś płynie w głębiach jeszcze bardziej
Ciemna kryje w sobie niechybność zmienia perspektywę
Łut błękitu na burawo-brunatny przypatrz się ciału
Zwój nasączonej gąbki nadal cieknie stróżką szkielet
Niewarty strojów w których paraduje codziennie
Chce w nich straszyć ducha winnych ludzi błędzące
Zwierzęta i nawet ciebie choć brzmi to niedorzeczne

Król obnaża swą męskość w święto boga Atum
Tego który w przeszłości miał dać świat z ipsacji
Gdy sperma swym zapachem rozniosła w pył niebyt
Władca go naśladuje lecz jakość jest licha wsparta
Na pożądaniu z dala od rozumu ucieka do aktorstwa
Bliższego konaniu aniżeli ekspresji ludzkiego wnętrza
Świat pełen masturbacji i życia po śmierci zaklęć
Pomocnych w drodze przez obcą krainę wierzysz
W nią że istnieje i dusza niczym ciało na wadze będzie
Ważona przecież twój grzech o ile istnieje nic a nic
Nie waży jak mógłby stać się ciężki co najwyżej ciąży
Zaśmieca ludzką pamięć więc spróbuj zapomnieć
Mierzą mnie rozmyślania o prawdzie w zaświatach

Gdy władca umrze jego wnętrze wypełnią natronem
Zajmie się nim Anubis odeśle za pychę
Tam gdzie zżeracz grzeszników czeka na miliony
Biedaków i bogaczy jemu bez różnicy byle wykarmił
W sobie trzewia krokodyla apetyt lwa głód hipopotama
Nie chciałbym być przekąską wystarczą te szpony
Męczą mnie coraz bardziej zaraz wyrwą serce
Maat rzuci mu wyzwanie lekkim strusim piórem
I moje wielkie serce od razu przeważy a chociaż
Tylko prawdę będę w sądzie krzychał poślą mnie
Do niebytu tam co mam utracę nie pozwól wyrwać
Duszy wcale nie jest mocna im dłużej zniewalana
Tym bardziej cherlawa nie przetrwa bez pomocy

Szczęśliwy kto utraci zaledwie stopę dłoń muszelkę
Ucha język zuchwały szczere oko ludzie zlitują się
Nad szpetotą rzucą datek lecz bez duszy jak wyżyć
Nie mając nadziei na złapanie oddechu na przejście
Dwu kroków tak trudno to wyjaśnić coś czego jeszcze
Nie ma a co nie pytając stworzyło ciebie pojawi się
Znacznie później dopiero wtedy gdy ci zbraknie śledziony
Trzustki pęcherza z żółcią głośnych respiracji ekskrementów
Przypominających na każdym kroku o procesach przemiany
Materii dusza nie ma co przy tym robić zawstydzona
W koniuszku naszego świata wyczekuje wszystkiego
Czego nie sposób zmilczeć co starannie ukryte
W zakamarkach czuje przez skórę jak złodziej okazję

Tobie wycięto serce wątrobę i nerki a wciąż żyjesz
Mając trochę mniej masz więcej nie utraciłeś
Przyrodzenie czyż nie jest dla ludzi najważniejsze
Obnażanie się paradowanie na placach Memfis
Uwiecznianie obfitych kształtów w ścianach domostw
Sławienie wyszukanej rozpusty w trakcie modlitw
O jeszcze więcej doznań mistycznych i fizycznych
Wyczuwam w tym wszystkim patos znacznie większy
Niż ten z początków świata dostrzegam to co jest
Naddane wymyślną melodyjność stanowcze rymy
Rytmiczność podobną do bicia serca ty też spoglądasz
Raz za razem w tę samą stronę powtarzasz rytuały
Z wdziękiem godnym znawcy skrytych sakralnych sfer

Piękno rzeczy śmiertelnych nie może zniknąć
Bezpowrotnie stracić na znaczeniu jest prawdą
Wspartą autorytetem realności i teleologii
Oskarżenie świata o fikcyjność to zaledwie próba
Nieudolnej ucieczki w krainę samych możliwości
W niej nic nie jest niezbędne oprócz fałszu
I jeśli chcesz go czerpać pełnymi garściami
Bez roztrząsania oskarżeń o cynizm zrób pierwszy
Krok ja po tobie chętnie rozejrzę się w krainach
Pychy niepohamowanej ludzkiej kreatywności
Przy której skutki corocznych rozlewisk Rzeki
Wydają się z natury swojej nieistotne jakby były
Zasłomością oznaką wciąż archaicznych wierzeń

O bogowie ilu by was nie było boginki różnorożności
Z obnażonymi piersiami kuszące wdzięcznie
Kto sprosta uproszczeniom z nich wszyscy jesteśmy
Ulepieni z wywyższenia pozamieniani miejscami
W końcu uznani w imię rychłego odtrącenia nikt
Poza węzem błotnym gadem pustynnym istotą
Ludzką nie zniósłby dłużej waszej dominacji
W świecie złych właściwości w którym nakaz ucieczki
Przed samym sobą zamienił się w koniec historii
Spektakularny upadek mocarzy znaczony ruinami
Warownych miast śladami zbezczeszczonych
Cmentarzysk przyciężkich wypełnionych po brzegi
Prochem czaszkami głodnych szakali przemijaniem

Wszystko to możesz dostrzec w sercu w nim czeka
Przyszłość czerwien krwawi purpurą widzę odległy
Czas i miejsce mędrzec notuje słowa ponad wieki
Wierzę pełnią wiary że Stwórcą błogosławione jest
Jego Imię nie ma ciała i że nie odnosi się do niego
Żaden fizyczny atrybut i że niczego w ogóle nie można
Z nim porównać ty płaczesz więc to prawda i nic
Już jej nie zmieni choćby drzewa chciały zatrzymać tę
Przechadzkę kamienie przemówiły by zaprzeczyć
A jednak wąż wciąż syczy próbuje objąć cielskiem
Moje klarowne myśli ukrywa przede mną moc przez co
Z autopsji znam bezsilność ciągle nie mam pojęcia
Jak wyrwać z pleców szpony nie chcę tutaj zginąć

Liryka gromadzi w sobie ból bez niego nie sposób
Żyć i kochać są jednak miejsca w których pieśń
Odsłania nowe warstwy nadaje miłym słowom
Znaczenia najczarniejsze ponure przynaglające nas
Do umierania nikt nie jest w stanie z nimi wytrwać
By nie zwariować nie podnieść ręki na człowieka
Na siebie samego omijaj proszę te miejsca stawiaj
Czynny opór jeśli słowa będą nas w siebie wsysały
Jak gwiazdy na niebie gdy przyciągają ciepłem
Nawałę srebrnej szarańczy zwinne morskie stwory
Dwa węże płochliwe kręte olbrzymy wprost z nieba
Reema dzikiego wołu giganta po błonia wzgórz
Do dzisiaj lotne owce mylą z błogiem na wypas

Spójrz widać ślady walki śmierć raczej beatrix
Razem z nią skonało w jednym miejscu tak wielu
Myśliwych nie zadbali o bezpieczną odległość
Od jej szlachetnych rogów nanizala na nie tuzin
Łowczych a mimo to sama zginęła i teraz z jej
Garbowanej skóry niewolnicy wyrobiją królewskie
Sandały z jednorożca będą słudzy krzyczeć
Z jednorożca królewskie sandały na pewno chcesz
By i z mojej skóry zrobiono okrycie bo na sandały
Jest zbyt cienka rozpadnie się jeszcze przed
Spleceniem rzemiennych warkoczy pomóż mi
W końcu uwolnić się od szponów tak dużo czasu
Minęło a ja nadal boję się zadać sobie fizyczny ból

Pieśń 5

Zachowaj wewnętrzny spokój niecierpliwość
Wyprzedza samą siebie dzięki niej trafiasz
Do miejsca które nie jest na nic gotowe
Objęcie w posiadanie czegoś takiego zamyka
Raz na zawsze prawdę o drodze pokonujesz ją
Małymi kroczkami choćbyś biegł szybciej
Od lamparta a twoje szusy zrównały się
Z prędkością planet ich góry zawisną nad tobą
Doliny rozstąpią pod szczudłami zagrozą ci
Wstrzymają będziesz sterczał w rozkroku
Aż pęknie któraś z tyczek utracisz równowagę
Jak miałbym potem cię odszukać w podziemnym
Kraterze starannie skrytym przed intruzem

Krajobraz zmieni się nie do poznania jedynie
Marzenia pozostaną te same wiesz o tym
Bo i ciebie nie odstępują na krok a w nich
Więcej roszczenia niż rozsądku rozmowa
Na ten temat jest banalna lubisz jednak rozmyślać
Prowokować naturę eksperymenty tkwiące
W głowie są w miarę bezpieczne lecz co zrobić
Jeżeli jakiś pomysł przekroczy świat mentalny
Stanie tuż obok nas ponad nami by bez zbędnych
Zabiegów zarzucić na nas sieci wydobyć siłę
Ciemną pozaliryczną moja krew już burzy się
W słownym bajorze błyszczą w zetknięciu
Z łuską sylab czerwienieją im od tego pletwy

Nie wiem jak długo jeszcze zdołam brodzić
Używając tych szczudeł wędrówka przy ich
Pomocy wygląda jak proteza egzystencji
Chciałbym w końcu stanąć na własnych nogach
Pochwycić tysiąc głów Ananty nie chcę słuchać
O karze o przyszłych wcieleniach poznałem
Świat piekielny nie ma w nim żadnych istot
Wszystkie dusze uciekły śmiertelnie odwodnione
Zeschnięte na przysłowiowy pieprz zawiedzione
Obietnicami wieszczów mędrców i ascetów ich pieśni
Wypełnia święty szal wizje lepszych wszechświatów
Z półbogami zmieniającymi się w omszałe drzewa
Bogami podającymi wywar z mitycznych roślin

Wdrapmy się na tę górę z niej będzie widać świat
W całej okazałości dziurawy krater na szczycie dawno
Ostygl a lava jak stary diament obrosła mchem
Czy i my w przyszłości zmienimy sposób życia
Zanurzymy nasze ciała w skalną trwałość a może
Dla odmiany jak te trawy rozkwitniemy żywiołem
Na pierwszy rzut oka niepozornym z zielenią skóry
Wonną soczystą rosą pokarmem wprost ze słońca
Jego promień przenika mnie na wskroś penetruje
Lecz delikatnie bym wciąż mógł być poza nim
Kwitnąca połonina jest jednak znacznie bliższa światłu
I kiedy stoję teraz w tym miejscu czuję w ziemi moce
Gotowe władać całą górą tobą i mną nawet słońcem

Wolałbyś być jednorożcem szlachetnym i dzikim
Zwierzęta są mistyczne nawet te najmniejsze
Ich dusze choć tyciutkie tworzą w świecie wrzawę
Rozcinają powietrze trą fizyczną przestrzeń
Dzięki nim skrzą się gwiazdy ptak zaprasza śpiewem
Partnera do spełnienia a rosłe jelenie srebrnymi
Porożami markują ukłony zaraz rozpoczną walkę
O pierwszeństwo do podźwignięcia na swym grzbiecie
Samego bóstwa wiatru wszystko to słyszę i widzę
Niepokoi mnie cicha skarga jakby zawodzenie
Które dochodzi tutaj ze wszystkich stron nie tylko
Z legowiska drapieżników lecz także z mięsożernych
Wielobarwnych kielichów słodkich kwiatów

Popatrz jakie są duże nie widać cię zza ich płatków
Jeśli się w nich zasiedzisz pojrzą także i ciebie
Więc wyjdź stamtąd natychmiast wachaj je
Od zewnątrz sens również tutaj znajdziesz nie tylko
Co do krwiożerczej fizyczności ale i naszą duchowość
Pełną dobrej nadziei przekonań uczciwych zamiarów
Pragnień ich jest najwięcej i często tak niedorzecznych
Jak te mordercze kwiaty twoja narracja nic nie zmieni
Doskonalenie ciała czy przetrzyma próbę czasu
Co martwe jest silniejsze co żywe śmiertelnie chore
Odnajduje przyczynę poza nami w świecie skrytych
Intencji w którym początek nie poprzedza końca
Ból nie pochodzi ze zmysłów lęk z gąszczu emocji

Kropla boskiej amryty mogłaby nas ukoić
Usunąć stan cierpienia przydać nieśmiertelność
Czy to prawda że bogowie skryli w sobie wszechświat
By zapanować nad nim a teraz mają problem
Z niestrawnością ich obżarstwo nie pochłonie całego
Świata nie zgadzam się być choćby częstką niebiańskiej
Natury to zbyt wyzywające pozbawione rozsądku
Można by rzec niehigieniczne by myśлом pofolgować
Zezwolić na kiszenie się w trzewiach boginek
Narażając na stratę ich czystość uduchowiony wymiar
Szlachetność niezbędną przy kreacji każdej znaczącej
Refleksji lepiej być ostrowidzem odszukać w sercu
Prawdę by ją potem wywyższyć w świętych pieśniach

Ogarnięty natchnieniem niepospolitym szaleństwem
Z łatwością dostrzeżesz w hymnach znacznie więcej
Niż tylko ważne słowa choć piękne one są zniewolone
Przykute do czaszki treścią nawet wtedy gdy mówią
O wolności czasami myślę czy bezpieczniej nie jest
Pozostać na uboczu zagubić się w tym co już poznałeś
I ponownie odnaleźć by znów się zagubić zadni bogowie
Nie powinni w tym przeszkodzić cóż zdaje się że ty
Mnie wcale nie słuchasz chciałbyś być czymś więcej
Niż tą malutką formą energii w podbrzuszu kosmosu
Lecz emergencja nikomu nie pozwoli poznać bezmiaru
I skrytych w nim bogów choćbyś był ich wybrańcem
Prędkim w potyczkach wielosławnym zabójcą smoka

Twój Indra nie miał wyjścia musiał zglądzić węża
Wrytra skradł wszystkie deszcze chciał wszechświat
Zasuszyć by zniszczyć wpierw demony potem świat
Sercem wspomóc wąż miał czyste intencje lecz nikt
Mu nie wierzył kto by chciał słuchać gada on łyka
W całości nie przeżuwa starannie jak robią to inni
Skórę ma w piękny deseń dobrą na dodatki
Bez których żaden z bogów nie jest godny wiernych
Ty byłeś przecież przy tym a milczysz uparcie
Widziałeś wielki dwubok płaski doskonały gdy
Wyszedł wprost z oddechu boskiej przyczyny
Zwinął się nagle w walec w ciasnocie rozsypał
I teraz sterczysz ze mną w nierównej przestrzeni

Pytasz skąd o tym wiem śniłem życie na jawie
Choć było parno zgasły gwiazdy widziałem wyraźnie
I dobrze rozumiałem jakbym był wążką w czas ataku
Na upatrzoną zdobycz świat zdawał się roztrząsać
O krwawej bitwie znalazłem się w rydwanie przy wodzu
Jadawów gdy wyruszył na podbój świętej prawdy
Ja też chciałem ją poznać odgrodzić wielkim murem
By nikt jej nie mógł zniszczyć być może od zawsze
Jest we mnie jak me namiętne żądze porywczy gniew
Pragnienie miłości przez które nie pokochałem własnego
Ciała zadowolając się enigmatyczną uzurpacją
Byłem dumny z myśli pełnych pozornej sprzeczności
Czyż nie kierowałem nimi przeciwko samemu sobie

Zatrzymało mnie dopiero Mohenjo Daro skąpane
W czerni przed nocą tak radosne pełne życia lecz
Przy mnie tylko martwe zrównane z ziemią wtopione
W białą maź z purpurowej od iskier zagłady
Czym zawinili mieszkańcy wielkiej metropolii
Że tak nagle zastygli w ruchu czy chcieli stać się
Posągami jak ktoś kto zaniechał świadomie swojego
Czynu by rzecz tę raz jeszcze starannie rozważyć
Strach pomyśleć co powinno spotkać Harappę
Za wszystko czego nie sposób już naprawić za jej
Wojny morderstwa knowania bez których nie potrafiła
Przeżyć ani jednego dnia a teraz tłumaczy to stanem
Wyższej konieczności ciągłym wyczekiwaniem końca

Na cóż komu czekanie strata czasu czyżby ktokolwiek
Sam jeden był w stanie wyjaśnić samego siebie chyba
Tylko ty jeżeli zechcesz a powinieneś bo bez tego
Nie zrozumiesz nikogo nawet mnie to jest jak jakieś
Wieczne spiralne koło dzikie pszczoły krążą w rojach
Długo szukają w nim słodkości i samą obecnością
Sprawiają że nagle znika smak piołunu zapytajmy
Owady o drogowskaz z pewnością go znają ich lot
Przy ziemi nagle zwroty wznoszenie przelot całych chmar
Przez moje usta faktura plastrów w głowie wszystko
Świadczy o dobrej orientacji w przestrzeni ty i ja
Nią jesteśmy nic więcej tutaj nie ma i nigdy nie będzie
Chyba że dodasz tamto coś czymkolwiek by nie było

Coś kusi mnie korzyścią lecz zechce oszukać tak postępuje
Starzec z młodą duszą z nim miałbym osiąść siódme
Niebo w świecie najlepszym z tych możliwych ale nie jestem
Już młodzieńcem z pewnością chybisz celu skręcisz kark
A przywołanie setki bogów nic nie pomoże zniszczy życie
Milcz nie kłam nie wolno ci przysięgać na imię Boga twojego
Pana na próżno bo Bóg nie wybaczy temu kto przysiągł na imię
Boga na próżno wprowadzie ty nie znasz strachu lecz mnie
On ciągle osacza boję się trudu pszczół tak wytrwale szukają
Drogi krążą dokoła ostre jak cięty deszcz z reguły dobre
Dla ludzi będą chciały zbudować słodki dom rój krząta się
We mnie nerwowo za chwilę trutnie zgładzą kolejną królową
Słyszę pracę skrzydełek tysięcy robotnic unoszą moje ramię

Pieśń 6

Kto uwolni się od świata materii przywiązany
Do ciała otoczony naturą rozwieszoną pomiędzy
Uszami wsłuchanej w nas przestrzeni jej energia
Choć nadal nie rozpoznana wcale nie jest tajemna
Już dawno przejrzałem na oczy zdumiała mnie
Wielkość przez którą całe moje życie
Musiałem liczyć słońca zaskoczyła otwartość
Wielu płaszczyzn pozwalająca dzielić miękkie ciało
W nieskończoność również twoje i moje nie wiem
Jeszcze tylko ile gwiazd kryje się w naszym wnętrzu
Słyszałem wybuch głośniejszy od piorunów pochodził
Z głębi serca zadrżały wszystkie mięśnie wystrzeliły
Jak wulkan wrzątkiem sparzyły skórę ramion

To nie jałowość wnętrza nie jego żyzność wyrokują
O umieraniu zostawiają po sobie tyle tajemnic
Paradoksów i labiryntów co było martwe odchodzi
W zapomnienie a żywotniejsze zjawia się gwałtownie
Zmienia treści istnienia ty zamiast śpieszyć na ratunek
Jak zwykle zaskakujesz biernością pustymi frazesami
Lecz o dziwo wichry od nich cichną burze łagodnieją
Ziemia toczy kamienie w skrytych głębiach
Nie niepokojąc nas najmniejszym drzeniem symbole
Ryte w glinie kute w kwarcach czaszkach słowa
Wiązane myślą potoczną naiwną płynące z niej idee
Choć dwuznaczne wyznaczają utarte granice poznania
Dając nam zagadkowe niezasłużone poczucie ulgi

Co w słowie przysłonięte jest na ciebie pułapką i jeśli
Jej nie dostrzeżesz stracisz godność lecz gdy kamuflaż
Ujawnisz narazisz swe życie wywłoką cię przed tłumy
By przestrzec mędrków urzędą egzekucję o jakiej
Ci się nie śniło wszystko to dla zachowania społecznej
Równowagi byłeś jej zbyt ciekawy za nią kryje się
Pustka w najlepszym razie zbrodnia tyrana imperium
Bez którego nie masz prawa do życia nawet do własnej
Śmierci oddychasz poniżeniem odżywasz się trucizną
Zginiesz z politowania neurotycznego kata pamiętaj
O Nimrodzie ten był pierwszym mocarzem na świecie
Początkiem jego królestwa były miasta Babilon Erech
Akkad i Kalne w ziemi Szinar granicą morze krwi

Nie pozwól niszczyć życia za nazbyt wielką żywotność
Nawet jeśliś nie-bogiem cóż bowiem znaczą prawda
Piękno dobro użyte do zbrodni choćby intencja słodko
Brzmiała przecież grajek fałszywy dla dźwięków to bez
Różnicy byle trafić do ucha zagłuszyć ciszę wnętrza
Wzniecić zgubny pożar podsunąć grozę skutków i główną
Przyczynę sprawnie wyznaczyć winnych logiczny ciąg
Zdarzeń ważność znanych sentencji gdyby zechcieć
Surowość oblec w elokwencję i zaraz twa przyzwoitość
Zmieni swoje znaczenie odpowiednio użyta posłuży za
Topór którym przyjdzie ci bronić zło karać czas usuwać
Dni i noce dopomoże kalendarz wschód słońca kształt
Nowiu kat ograbiony z cierpliwości bo pracę ma na ryczałt

Kolejne pokolenia przez wieki będą płacić
Za błędną fascynację za niechlubne czyny
Nikt nie zatrzyma następstw będą trwały wiecznie
Wczepione w dusze sprawców zmieszane z krwią ziemi
Pochłoną w końcu naród bez względu na wielkość
Bo w przestrzeni etycznej kara nie zna prawa
Głoszonego przez władców dla zmazania winy
Jak mógłby cię wybawić zgon sumeryjskiego pisma
Alfabet akkadyjski posągi spółgłosek wszystko
Co teraz mówię leży na mej dłoni chcę wiedzieć
Czy to prawda czy tylko idee kolejne i kolejne
Rodzące potworki od których nie ucieknę
Musiałbym przestać myśleć pomiędzy myślami

Boję się zmian niesprzecznych i koniecznych
Co znam jest dla mnie święte choćby było straszne
A sacrum nietykalne nawet gdy poroni
Przepełnione miłością chronione przez ludzi
Niechętnych każdej zmianie gotowych na walkę
Której nie można wygrać darowując życie
Obrońcom złych idei źródła zniewolenia
Człowiek w nim się zanurza chciwie pije haustem
Grunt pod nim coraz twardszy przekształca się
W kamień drzewa rosną za płytka wiatr je stąd
Wywiewa przysiółki schną na słońcu trawy wędną
Licha skała obnaża połysk już bez roślinności
Tylko jeden nieszczęśnik nadal na niej siedzi

Czy widzi nagą prawdę czy słyszy głos ptactwa
Zawodzący nad pustką ona tak często jest oznaką
Strachu żebym mógł go przełamać wpierw muszę
Cię poznać zrozumieć dlaczego idziemy razem
Wciąż nie znam bliżej twych zamiarów motywów
Zawłaszczania mnie penetracji tego co nadal
We mnie żywe bujne reszta odpada kawałkami
Znika pod stopą rozmięka w pulchnej grzezi
I gdy biorę to potem do ręki oglądam siebie samego
Wprowadzasz w mój świat destrukcję wymuszasz
Ciągłą refleksję a ja bym chciał usypiać w błogiej
Nieświadomości budzić się wierząc że zło jest
Tylko snem pojawia się wyłącznie po to by zniknąć

Nie sposób być naiwnym zło maszeruje jak tabuny
Niezwyciężonej armii silnej niszczącej dumne kraje
Zew toczy z pysków pianę szykuje do szturmów moc
Rwie powietrze dźwiękotrwałych gardeł cel choć
Odległy jest tak blisko na wyciągnięcie głów
Zagony są w pobliżu zaraz tutaj dotrą ich dowódcy
Natychmiast uzna nas za szpiegów przekaże na
Tortury zechce wiedzieć gdzie skrył się jednorożec
Ostoja miłości i natury otwartej wielorodnej boginki
Burzanów przesiąkniętych bogactwem szeleściny
Nawodnionych strumieniem rześkim czystym
Zostań jeżeli umiesz milczeć w obliczu bestialstwa
Ja schowam się zawczasu nie wspominaj o mnie

A gdybyś nie wytrzymał już dłużej badania
Zadanego cęgami białymi z wściekłości
Kłam w żywe oczy niech łgarstwo zwycięży
Fałsz przeciw fałszom czyż może zaszkodzić
Chyba że rzezimieszkom czy są warci prawdy
Siłę czerpią z agresji z mowy nienawiści
Rozumianej bez słowa barwą na sztandarach
Zawłaszczeniem symboli składników powietrza
Które wciągasz głęboko po samą przepoń
Nie daj się przekabacić mają sto sposobów
By osłabić siłacza a wzmocnić podłego odebrać
Przyzwoitość darować złudzenia dychawiczne
Przecucie fartu w zamian za współudział

Eksperyment z wolnością nie jest zbyt bezpieczny
Wspólnie znajdziemy kryjówkę by nas nie porwali
Dla wiedzy lub okupu kto by za mnie wpłacił
Jeśli znam tylko ciebie i nie mam pieniędzy
Moje prawo własności nie czeka na złoto
Nie potrzebuję kruszców sprawdzę się w miłości
Może jeszcze nie teraz trochę później nigdy
W tym wszystkim co tak ważne dla ciebie i dla mnie
Sarna na połoninie godność orzeł nad skałami
Wielkie koty samopas rytm pulsu w aorcie
Płas gdy zamykam oczy tańczę sam ze sobą
Pieśń którą nucę w głowie pełnej słodkich kropel
Chlupoczącą na progu lirycznej kaskady

Kałuże pełne życia zbiorniki na myśli właśnie
Z nich wzrosną światy na przekór przeszłości
Coraz to nowe bujne ufne w boskie siły bioder
Krańców ich żądze równe są prężności strumienia
Gdy nie zważa na żadne przeszkody znajduje drogę
Łączy szybko małe duże by stawić opór wznieść
Mistyczną tarczę rozłożystą zmysłową pełnię słońca
Naprawdę chcesz ją rozbić wbrew znakom ceduły
Nie wolno ci pożądać żony bliźniego twego jego sługi
Jego służącej jego byka jego osła ani niczego co należy
Do twojego bliźniego piękno dobro i prawda oślepią
Każdego mędrca daj spokój myślmy raczej jak uniknąć
Śmierci zapanować uczynkiem nad prastarym słowem

Gdybym niczym gryzonie mógł wniknąć pod korzeń
Schować się w małą norę wstrzymać oddech
Uniknąłbyś spotkania sam na sam z przemocą
Ten parów jest bezbronny na przestrzał odkryty
Dokoła ziemna pustka obnażona skrecona wilgocią
Zroszona kwiatostanem rzadkim pozornie fizycznym
Zamykającym swe kielichy przed przemocą szpica
Zbrojnych je depcze wbija się w sam środek dziewiczej
Niszy siedzisz tam zamyślony lecz ciebie nie widzą
Użycz mi twej mądrości bym i ja spróbował kucnąłbym
Pośród ptaków patrzył na ich gody dzielił leża z leśniną
Kapał z morskim węzem drwił sobie z Behemota
Używał do woli tego czego na co dzień mi nie zbywa

Mógłbyś ich wszystkich wybić kamień na kamieniu
Nie pozostałby po wielkiej potędze uderz z mego
Powodu nie myśl o morderstwie zresztą kto w razie
Wątpliwości śmiałyby cię oskarżyć one zjawić się mogą
Tylko w twojej głowie niech to będzie ma zemsta
Za strach ciągły za życie w poniżeniu i stałe czuwanie
Cóż jeśli dzisiaj nie chcesz mieć ich na sumieniu
Zglądź jutro albo porwij oszacuj dla zysku sprzedaj
Za dobrą cenę temu kto da więcej choć marna taka
Kara a gdyby który z kupców chciał poznać historię
Jego też zniewol i zlicytuj bo prawdę zna od końca
Niech udźwignie początek na skargę będzie za późno
Gdy taksują uległość rzeźbę mięśni stan uzębienia

Pieśń 7

To co jest w środku wielkie nigdy nie skarleje choćby
Kto światu oczy wykłuł przestawił perspektywę kazał
Milczeć słowom zniszczył w zapale ślady i tak ich
Niewiele a bez nich trud wszystkich pokoleń pójdzie
W zapomnienie wsiąknie z powrotem w ziemię
Podobny do wody spójrz jak przecieka ci przez palce
Nie sposób jej powstrzymać rozlewa przemijanie
Czymż można by pochwycić drobną cząstkę z miary
Którą wielu chce osiąść zawłaszczyć i zniszczyć
Tak łatwo człowiek błądzi acz piękne marzenia
Wydają się być zdrowe wznoszą wśród kwiatów
W ogrodach na tarasach w twojej wątrobie w sercu
Chorobę trudno dostrzec choć znana od wieków

Przed nami wciąż to samo lichy splacheć drogi cegła
Przy cegle kruche i zwietrzałe ucisk stopy piechurów
Zgniółł je stłamsił glina w skreconych bruzdach w czerni
Czerwieni się ze wstydu bo nie dawniej niż wczoraj
Kusiła do czynów wykraczających poza świat materii
Nie wierzysz przyłóż ucho niechże ci sama opowie
Jak mało brakowało by dotrzeć do nieba zrównać
Ciało fizyczne z tym co święte boskie rozkrusz drobny
Kawałek rozetrzyj na dłoni nadal czuć zapach smoły
Ostry wierci w nosie wzbudza we mnie nostalgię
Życie dałem za życie szlifując jej doskonały kształt
Nadając wszystkim cegłom to co dla nich wspólne
I każdej coś z osobna by znieść tym powtarzalność

Przyjrzyj się wnętrzu gliny w niej wciąż żyje
Dusza sucha i pomarszczona w fałdach chowa
Pamięć połóż na niej wspomnienia przechył głowę
A wydawać się będzie że wszystko przeżyłeś
Łatwiej przyjdzie ci pojąć dlaczego tam byłem
Odcedzałem lepitem wypalałem w piecach
Budulec nad budulce na najwyższą wieżę
Babilon potrzebował każdych rąk do pracy
Kto mógłby mu odmówić niewielu nie przyszło
Prawie upadł sceptycyzm hojnie słano złoto
Wodę żywność poddanych rodne nałożnice
Świat wydawał się piękny życie proste zbożne
Pięły się w górę schody cytrusy i chaszczce

Któż nie był wysokością kto obwodem murów
Jedną z jej stu spiżowych bram zdobnym zawiasem
Każdą gotową cegłą lepkością zaprawy łączącą
Dwie natury dwa odległe światy w jakże ambitne
Roszczenie słońce świeciło jasno we wnętrzu
Budowli księżyc i konstelacje pomiędzy piętrami
Poziomów było pięćset i wciąż brakowało jeszcze
Tego jednego ciężar gniółł o ziemię nurzał w dole
Prasował gięły się fundamenty podpory i stropy
Mogłem utrzymać wiele nawet dużo więcej
Byłem stopniem ze schodów mógłbyś po nich
Wchodzić byłem jak podstopnica jeśliś szedł
Na dół wieńcem półpiętrzem podestem i sobą

Krew nieco inaczej krąży gdyś częścią wyzwania
Które przekracza serca puls pędzi przed siebie
Nie czeka na ruch ciała szybciej sięga czynów
Jeszcze nie pomyślałeś czego są oznaką
Tak dużo wokół znaczeń wśród zgiełku sam jeden
Musisz dotrzeć do sedna zmierzyć się ze sobą
Wielu chętnie przeszkodzi zadba byś zbyt łatwo
Nie uszedł stratom ocalony bo jesteś śmiertelny
Jak każdy z nich w dwójnasób na wiele sposobów
Z których zwykle jest ważny ten najbliższy pierwszy
Niewoli cię konwencja nią wiążesz ręce nogi
Ruszasz głową raz w lewo raz w prawo z nawyku
Jak ryby w mięśniach ławic licząc na celny zwrot

Byłem jednym z tych mięśni głową sercem pulsem
Przynaglałem tragarzy zwiększałem im normy
Spadali z gniazd rusztowań niszcząc piękne cegły
Pasy darłem z próżniaków choć leżeli martwi
Za narażanie murów na grzeszne przestoje
Upływ czasu nie sprzyjał budowli i ludziom
Gromadził strzępy pytań bym w końcu je złożył
W jedną rozumną całość lecz było za późno
Wszedłem więc na szczyt wieży zrzuciłem
Ramiona w dole widziałem unik ruchliwej ławicy
Poddałem się wiatrowi wzniósł mnie ponad
Wzgórza przetoczył nad zatokę i kiedy wróciłem
Budowla ziała pustką wokół niej niemi ludzie

O jakże spadłeś z nieba gwiazda jasna synu
Jutrzenki powalony jesteś na ziemię pogromco
Narodów ty miasto o wyniosłej głowie Babilonie
Pniu założenia nieba i ziemi bramo do tronu boga
Ojciec Kserksesa wruszy syn Dariusza rozbije
Twoją świetność opustoszeją piękne place runie
Martwa wieża komnaty pełne trupów znikną
Bez śladu w ryży piasków a byłeś jak wieczność
Ogrody równe rajskim sławiły władców cieszyły
Bystre oczy dłonie w gęści olejków gdy muskały
Kwiaty słudzy skrapiali je wonnością subtelniejszą
Od czapli wdzięcznie kroczącej świtem bociana
Brodzącego na łowach rzecznej kąpieli kormorana

Rzeka to niezwykajna płyną w niej kamienie
Potok tnie płetwostopy pod gruz wciąga skrzydła
Twój pałac Babilonie już nigdy nie będzie mieszkalny
I nie będzie w nim ludzi przez wszystkie pokolenia
Mury nie wrócą z podziemia nie wystrzelą ponad
Orle gniazda a człowiek zapamięta cię z powodu
Tej jednej różnicy dzięki której zyska swoją wolność
Porzuci czcze marzenia zrównania się z mocami
Których żaden ziemski tron nie sięgnie żaden gad
Nie pozna ptak nie wyłowi z pomiędzy suchego
Piachu spod otoczków kamiennego strumienia
Żłobiącego wszereż martwej ziemi pustynny
Krajobraz czujnej gotowej do działania śmierci

Falsz jest tym co odjęte rwane ostrym szponem
Z ciebie i ze mnie by wzbogacić nicość
Prawdy nie można odjąć zmniejszyć tkwi głęboko
Skryta czeka na czas wyjaśnień i kto potrafi
Zrozumieć samego siebie będzie mógł ją dostrzec
Otrzeć się dotknąć zanurzyć po czubek głowy
Przetopić harde serce pozwolić znowu kwitnąć
Jak dawniej za dziecięctwa nawet jeszcze wczoraj
Jeszcze przed jedną chwilką lecz nie teraz
Gdy sprawy co do których źli ludzie chcą orzekać
Źle rokują odrzuć więc także i ty najmniejszy okruc
Posłuszeństwa zbrojony w ostre szpony twarde
Dziób dwa skrzydła odzyskaj historię tej ziemi

Ja kuję znaki w skałach próbuję coś dodać
Ogłosić wieczny pokój bez wspomnienia wojny
A wciąż do niej powracam jak język do źródła
Muszą przeminąć wieki tysiące pokoleń
By człowiek zdołał uciec od pułapek słowa
Nie tworzył z kłamstwa twierdzy budowla to licha
Wiatr wywróci ją zdmuchnie zamieni w dziwadło
Przestrozę dla zuchwałych tych więcej i więcej
Jakby puenta znaczyła sensy tylko pieśniom
Nuconym przez włóczęgów straceńców i chorych
Niewinnym opowiastkom zabawkom dla gapiów
Boć wszyscy lgną do fałszu ci z góry ci z dołu
Tam gdzie ich zdradzi życie by ustąpić śmierci

By móc wolnym wędrować którąkolwiek z dróg
Na każdej z nich musisz to najpierw wymusić
Żadna nie jest wolnością trwa w służbie niewoli
Układa się z nieznanym czyha tuż za rogiem
Nie minie sposobności nie odłoży w czasie
Bo zawsze jest u siebie ty masz status intruza
Któremu zdaje się że patrzy na poddaną ziemię
Niczym olbrzym znad ramion hojnych przodków
Zgubi cię święta buta zuchwałość i pycha
Głupiego pędzą przodem środkiem grzęzawiska
Niech pierwszy wpadnie w gardziel zwodnej drogi
Tak staniesz się jej częścią wierzchnią wydzieliną
Deptaną milionowym pokotem ludzkich stóp

Jak mam się tego ustrzec wzgardzić łatwym celem
Doraźnym hasłem chwytną ideą one dawały sens
Całemu życiu a teraz leżę w drodze jak ta koleina
Jeśli mi nie pomożesz zmyją mnie wnet deszcze
Zadusi ległe błoto spalą spiekłe wiatry uciekinierzy
Z martwej Suzy może ktoś przyjdzie mnie wysłuchać
Pochyli nadstawi uszu zamyśli zadziwiony inny swą
Ciekawość policzy rozsądkiem zawierzy mym
Podszeptom wezwie życzliwy podmuch by z kurzu
Otarł twarz i czoło odważ się spójrz na mnie łyż
Gorzkie kałuże włosy zeschnięta trawa wzrok jak
Refleksy w żużlu słowo to żądanie uratuj jak człowieka
Jeżeli zasługuję lecz widzę mylny sąd w twych oczach

Kto powie ci o fałszu jeśli mnie nie będzie
Zrozumie szum języków bełkot jest wozakiem
Siedemdziesiąt powrozów trzyma mocno w dłoni
Zaprzęg pędzi przed siebie paradny zdobiony
Sprawnie mija się z prawdą zjawia tam gdzie zguba
Foryś pilnuje szyku zajął połąć niebios szykuje
Nową bitwę nigdy nie przestanie tak łatwo słowo
Sięga najdalszych rubieży zwodzi mętym znaczeniem
Żywi się podbojem drwi z naszych wielkich pytań
Są bez odpowiedzi każde z nich jak ta wieża i jej
Gruzowisko czy taki ma być sens mojej wędrówki
Jeśli nie jest i twoją podaj mi mocne ramię daj kij
Bym się nim podparł sięgnij spode mnie duszę

Pieśń 8

Będę łowczym twych słów wybiorę je dłonią
Z tysięcy wiotkich gniazd uwitych w głowie
Bujają się nad drogą kołyszysz nimi
Niekiedy spadnie któreś tuż pod nogi
Jeżeli przyda mi się odłożę je na bok
Przechowam za pazuchą choć to zwykła znajda
Zapewne bez korzeni z krótkim rodowodem
Dzięki temu leciutkie prawie nic nie waży
Słowa stare są ciężkie że trudno udźwignąć
Każde z nich tak rozległe jak szerokie trakty
Jak ten po którym idę i zbieram co znajdę
Zewsząd ptaki sfrunęły żądne żerowiska
Jeden dopadł już słowo dziobem łowi larwy

Trzeba tego zakazać bo w tłustych robakach
Rozsmakują się wszystkie i obsiadą głowy
Szybko wnikną do środka rozdziobią za życia
Uwiją własne gniazda a zwinność języka
Przekształcą w ptasi karmnik nie nadążysz
Plepląc co ślina ci przyniesie od samego świtu
We mnie od dawna siedzą w kształcie metafory
Niewiele im potrzeba gustują w przepisach
Co wolno co wzbronione ile to kosztuje
Niby wszak fantastyczne a budzi niepokój
Gdy dźwięki są zdobione werbalną agresją
Choćbym mówił do siebie na głuchym odludziu
Trafią pod przeponę miast ulgi mam lęki

Bo zechcą wyrwać ślepia za to co dostrzegłem
Jakbym był dzieckiem mniszki i rozpoznał prawdę
Potomkiem dworzanina w którym wrze krew ojca
A praw do jego serca nikt nie zechce oddać
Hammurabi nie waha się wyłupić oczy
Wyciąć język za zbyt głośne skargi
Milczę więc nic nie mówię a gdyby kto pytał
Zapomnij odpowiedzi łgaj mu w żywe oczy
Nie wiem kiedy to minie boję się o przyszłość
Szczęściem wszystko przemija nawet orszak
Króla zmieniając połać państwa na pole bitewne
Rozerwie co scalone by złączyć po wiekach
Szukać prawa u bogów stroić w nowe szaty

Czas czy ma coś wspólnego z przemijaniem
Ono jest w twojej głowie a czas w mojej
Ptaki siedzą w konarach pod listowiem
Robactwo gnieździ się wzdłuż pnia w korzeniach
Wszystko jest ledwie potencjalne więc nigdy
Nie zginie choćbym padł zaraz tutaj mój czas
Pozostanie ptactwo rozniesie go po polach
Rozrzuci w pustkowiach wyrośnie dziki burzan
Zagrozi starym drzewom uschną bez deszczówki
Przeminą jak wiele słów lepiej by tamte ciszy
Ostały się w biedzie ich cień wchłonie wędrowca
Schłodzi war emocji ukoji liryczny gniew poety
Bezbronno go schwytanego na trefnym uczynku

Gdy ciebie pochwycili trzymali pod strażą
Siedziałem w twojej głowie słyszałem to minie
Lecz nic nie mijalo co miałoby minąć szykowali
Rozkazy sprawa bez wyroku gardłowa prędką
Planowali przechytrzyć splot losowych zdarzeń
Pętało się ich wokół więcej niż przekupek
Wszyscy wścibscy w niemal każdej sprawie
Zwykle wzajem skłócenie w twojej chórem zgodni
Byś bez przeszkód przeminął już o tym myślałeś
Runęły naraz kłody podpory budowli wystrzeliły
Kamienie ostrzone do walki zacięta śnieżna burza
Zmroziła wdzięk lata grad wielkości granatów
Łupał ludziom czaszki strażników uwiodła panika

Nadal myślałeś to minie w końcu szczęśliwie
Udało ci się uciec i opowiedzieć mi co zaszło
Pościg za tobą nie wyruszył bali się własnych bogów
Jeśli natura tak krwawo wsparła twoje życie
Lecz strzeż się zemsty ona nie zna przemijania
Niczego nie szanuje będzie gryźć by zagryźć
Kąsać do krwi i kości wyrwie z biodra nogę tę
Dzięki której mogłeś szybko uciec odrąbie dłoń
Skradłeś nią boską opatrność oślepi cię
Bo ludzi kłułeś w oczy szlachetnym istnieniem
Do dziś nie mogą patrzeć na własną zawziętość
Twarze straciły urok obrzydło im życie ślepi
We wszystkich sprawach powtórzą twą winę

Oko za oko sprawiedliwości niech stanie się zadość
Ząb za ząb okaleczanie wyznaczy miarę dobra
Ręka za czyn gwałtowny język za cień słowa
Człowieczeństwo nie musi być czymś więcej
Niż zadawaniem ciężkich ran utrzymywaniem
Najwyższego poziomu bólu by uświęcić prawo
Wolę krwawego władcy totalne poniżenie
Bez tego tak trudno mu zasnąć ma złe przecucia
Nie skorzysta z umiaru zbyt jawna to słabość
Właśnie twa śmierć miała być potwierdzeniem
Sprawiedliwej dla wszystkich hierarchii wartości
Uciekaj więc jak najdalej zmieniaj twarz imiona
Przemyśl tę rzecz od nowa bym i ja mógł przeżyć

Do dzisiaj nie poznałem prawdy zapewne skryła się
Za dobrem wiele jest jej przejawów a tylko fałsz
Stara się wszystko zatruć tropi jej oznaki jak tresowany
Zwierz słyszę wtedy przypląwy pozbawione odpływów
Otaczają mnie mroki bez zmierzchu bez jutrenki
Lecz może jest inaczej i wiele wymiarów zła osacza
Jedną jedyną prawdę siłują się z nią nie spoczną
Dopóki nie wyważą bram nie spalą dachów nie zburzą
Murów zuchwale nie zajmą placów siedzib twojej
Duszy by na zawsze zniewolić semantyczną harmonię
Pomiędzy mną a tobą równowagę ufundowaną
Na dychotomii świata figurze nie tylko retorycznej
Pełnej życia miłosnej jakże obfitej dobrym ciepłem

Zapaśnicy od zawsze biorą się za łby prawda
Choć nigdy nie zwycięża wytrwale walczy sędziuje
Im prawo istotnie partykularne stronnictwo faworyzuje
Fałsz jakby bało się sprowokować masowe zamieszki
Stracić dogodną pozycję na rzecz ludzkiego rozsądku
Drogą z modnego Ur nadciąga Abram pieśniarze
Powiadają że w podróż go posłało samo niebo wyjdź
Dla siebie z domu twojego ojca i twoich krewnych
Z twojego kraju do ziemi którą ci pokażę my też
Naznaczeni banicją kluczymy dla własnego dobra
Bóg stanie w końcu po stronie prawdy wybierze
Człowieka wejdzie w przymierze ognia przetnie czas
Wzdłuż brzucha tułowia głowy i rozłożystych skrzydeł

Wszystkiego było pod dostatkiem lecz interwencja
Czyż nie odjęła skrzydłom rąk głowie silnego tułowia
Brzuchowi tkliwej doczesności czas miałby się znów
Rozpocząć złączyć co rozłączone nie tylko cielesnie
Zespolic twą duchowość z twarzą dłonią stopą
By ślad po nich nie bolał nie raził oszczędził ci wstydu
Nie czekał na zatarcie przywoził na myśl wyłącznie to
Co dobre oczyszczał starą pamięć z szarodmętów
Złych wspomnień i brudów tę najświeższą wypełniał
Dotykami smakiem zapachem grą światła pod powieką
Lecz czas jeżeli się odnawia na wieki dzieli co złączone
Tak było od pradziejów szedł skacząc po ludziach
Przysiadł na rogatkach bezwolne narzędzie przemijania

Niechby już szezeł tak podły czas i z nim straszny
Aszur a przemijanie straciło raz na zawsze rację bytu
Stare prawo przestało mrozić krew zadławiać życie
Lepsze musiałyby wciąż zwalczać umieranie pochodzić
Z czystych źródeł spoza czasu z odległej nie-ziemi
Nie ludzkie lecz niebiańskie nowe chociaż starsze
Od gwiazd wszystkich od słońca planety księżycy
Od nieba samego tylko tak poznamy sens istnienia
Podnieście oczy i zobaczcie kto stworzył te rzeczy
Pomnaża ich liczbę nazywa je po imieniu czyja płodna
Moc i potężna siła sprawiają że nie brakuje wśród nich
Ani jednej cicho sza teraz o tym jeszcze kto usłyszy
Doniesie bożkom królom przypomną sobie o nas

Nie morduj nie cudzołóż nie porywaj nie mów fałszywego
Świadectwa przeciw twojemu bliźniemu nie pożądaj
Spisane całkiem zgrabnie ledwie ze spółgłosek lecz
Gdzie są samogłoski przyjdzie nam na szukaniu spędzić
Całe życie mylić się będą słowa mnie i moim wrogom
Cesarze naślą znawców z fałszywym językiem zechcą
Zmienić na ludzkie co ponad człowiekiem ty ciągle
Będiesz zbiegiem kpiącym z sideł śmierci o ile ujdiesz
Żywy jeśli zmylisz tropy okpisz pościgi sprytem czymś
Równym przebiegłości zwierzyny na łowach gdy ściga ją
Myśliwy a ona na czatach puszcza go wolno drogą
By zbłądził w mokradłach zanurzył w nich po krocze
Po piersi aż po nozdrza wciąż wierząc że nadal poluje

Omijaj z dala łowców udają życzliwych ofiarują ci
Przyjaźń i długie rozmowy ich uszy szyte z miary
Słyszą co chcą słyszeć splugawią twoje myśli
Zaświadczą przed sądem że jesteś złem wcielonym
Kanalią złoczyńcą kat ustali twą winę i wymierzy karę
Żądnych złota za krew tu więcej niżli można zliczyć
Człowiek widzi jedynie co zdoła zobaczyć resztę
Sobie dopowie użyje jak broni by później ciebie
Skarżyć nie ulituj się nad fałszywym świadkiem
Zapłaci swoim życiem za próbę odebrania życia
Odszkodowanie wartości oka za oko odszkodowanie
Wartości zęba za ząb odszkodowanie wartości ręki
Za rękę odszkodowanie wartości nogi za nogę

Pieśń 9

Spójrz w dłoniach mam kamienie i jeśli je ścisnę
Jeden łatwo rozkruszę zamieni się w piasek
Lecz kamień z drugiej dłoni przybierze na wadze
Zwiększy szybko objętość aż powali masą
Legnę pod nim jak gołąb grzebany w pośpiechu
W dzikim górskim pustkowiu ptaki go rozszarpią
Czy wiesz z nas który kruchy i który masywny
Co uosabia zło a co bezcenne dobro
Prawda o tym jest w dłoniach zdolnych do ściskania
Ma charakter praktyczny związana jest z czynem
Bez którego nie wiemy jak o sobie myśleć
Chciałbym mieć siłę skały po stokroć zwiększoną
A zdaję się być chromym drobnym ażurowym

Na pewno chcesz być mądry lecz hamuj ambicje
Zazdrośni wwleką w łożę będziesz zeń wystawał
Odetną zbędne członki psom ludziom pospołu
Rzucą świętą tradycją na zgubę odmieńcom
Nie chciej też być zbyt kusy by cię nie okpili
Ciągnąc za głowę nogi w dwie przeciwne strony
Tę miarę znają wszyscy masz się w nią wpasować
Byś sam mógł kłaść na łożę kogo tylko zechcesz
Gwałcić kiedy zapragniesz z podniety czy stresu
Sąsiedzką młodzież dzieci ich matki ich ojców
Czyż jest coś prawdziwszego na tym świecie
Od nieustannych przeżyć sług zmysłowych
Z szacunku dla zwyczaju szaleństwa lub mody

To nie malutki kamień to górskie łańcuchy
Może je unicestwić tylko coś większego
Słońce ogniem kosmicznym księżyc skrytą stroną
Przybysz z najwyższej sfery maestrii zza nieba
Ty bo umiesz potrząsnąć podstawą tej ziemi
Rozchylić jej szczeliny oczyścić kominy
Którymi tryska czerwień gdy kąpie się w czerniach
Zwinna jak głodna żmija jadem pali wszystko
Nie szuka wcale dziury by się nią prześlizgnąć
Niszczy rzeczy do podstaw przekształca je w nicość
Toczy w sobie pokusę na ziemską zagładę
W mrocznych zstępach czeluściach wądołach
Głębszych od głębin kamiennych podmorza

Trzęsienie jest największe kiedy księżyc w nowiu
Cumuje w ziemskim porcie zahacza o brzegi
Skały trzeszczą w posadach unoszą nad pułap
By runąć gdzie najniżej poczekać na pełnię
Znów unieść się nad ziemię i opaść bezwładnie
Od dawna chcą odlecieć z miejsc ich przeznaczenia
Uniknąć kamieniarza który w skale rzeźbi
Posągi boskich ludzi ciała ludzkich bogów
A wszystkie jakby żywe dusz tylko brakuje
Te skryły się w jaskiniach siedzą w heliktytach
Odwiedzają się wzajem ciekawe przemyśleń
Widoków na wschód słońca po jego promieniach
Mogłyby wyjść na zewnątrz rozprostować kości

Niektóre jęczą głośno zawodzą przesadnie zanim
Rozleją ugór na nim nic nie wzrośnie prócz trucizny
Wyziewów żrących oczy nosy chociażbyś wstrzymał
Oddech sparzą szybko skórę rozprują powonienie
Ziemia skąpie cię w różu zwęgli nagie stopy
Nie ruszysz się już nigdzie jak świątynny pomnik
By w końcu wnikać w popiół swą bezcielesnością
Dziwne to przyznasz dusze były takie ludzkie
Lecz nagły błysk znad góry oślepił ich ciała
Podmuch z gorących pieców dostał się do gardeł
Ognisty język niebios powstrzymał rozpustę
Gwałt kradzież okrucieństwo bezkarne zasadzki
Kończące się morderstwem w imię egoizmu

Ilu wśród nich byś nazwał bez szkody człowiekiem
Pięćdziesięciu czterdziestu trzydziestu dwudziestu
Ilu byłoby w sam raz by żądać litości
Jeśli musieli zginąć kamień wieńczący grób
Niechby przechował czyste dusze dla pokoleń
Powiedział nie zniszczę przez wzgląd na dziesięciu
Sprawiedliwym nie jest ten kto podoba się wyłącznie
Takim jak on sam bo dawno oślepił na winę wrosła
W niego że nie odróżnia poranka od nocy pochodnią
Zaciemnia dzień biel czyni nieczułą na światło
Czerń utrwała dźwiękami bezkształtnego bełkotu
Słowom zbrakło spółgłosek straciły znaczenia
Tężeje od tego wrzask wina wzrasta by dojrzeć

Deszcz siarki spadł na Sodomę-Gomorę zniszczył
Te miasta i całą równinę wszystkich mieszkańców
Miasta i rośliny ziemi oto dym wznosił się z ziemi
Jak dym z pieca nawet w przyszłych epokach
Nic tam już nie wyrośnie zostaną smolne kadzie
Żądłące rafy magmy przestroga przed zwierzęcością
Czuję ją w suchych trzewiach na czubku języka
Piekącego jak świeży pieprz skręconego martwicą
Dźwięki łamią się na nim kruszą ciężki oddech
Kaleczą tną tonację instrumenty szwankują choć
To w głowie nie w gardle nie w prężnej przeponie
Ma swoje początki spór z ciasną klaustrofobią
Gotową na harmonię za cenę uwolnienia emocji

Dobro ma swoją wartość kosztem ludzkiego życia
Tak wielu musi wciąż ginąć by wskazać zło
Gdy ich w końcu zabraknie kto stanie po stronie
Prawdy wkrótce także i ciebie grzech odnajdzie twój
I mój nie poczeka na chwilę refleksji obnaży instynkt
Tak starannie skrywany pod maską człowieka
Naucz mnie jak bez straty odrzucić przemiłe słabostki
Żyjąc w świecie po którym jutro nic nie pozostanie
Prócz oprawców cierpienia kanonu fałszywych haseł
Fikcji sekwencji zmyśleń które trwać będą bez końca
Tak jak przyzwolenie na otaczającą nas beczynność
Ratuj mnie bo jeśli uzależnię się od jutrzejszego zła
Już jutro już dzisiaj przestanę być kimś porządnym

Zaleje mnie morze słów niechybnie w nim utonę
Co raz to nowe fale zmoczą pustosłowiem
Dźwięki przewalą się fala za falą
Słowo za słowem a wszystkie bez znaczenia
Jakby nie pochodziły od tego pierwszego
Boskiego uosobienia kosmicznej kreacji
Narodzin ziemskiej etyki i sensu istnienia
Będę musiał nurkować szukać perłopławów
Łuskać szlachetną masę z małżowiny
Nasłuchiwać w głębinach pod dnem morza
Czy nie ma jakiejś drogi którą bym nie zbłądził
Z dna samego mógł trafić prościutko do nieba
By poskarżyć się światu na niefrasobliwość

Być może nie utonę i nigdzie nie wzleczę
Z początku mniejsze zło wygląda jak to duże
Jesteś w fatalnym miejscu w złą godzinę
Czas zamyka się z trzaskiem udaje głuchego
Zajęty jest liczeniem na lepszą przyszłość
A ty chcąc się ratować szukasz znaczeń
W wybebeszonych słowach i jeżeli nie sięgniesz
Po nadzieję już po tobie choć to rozpustnica
Mydli tylko oczy że nic nie można dostrzec
Poza konturem nosa tym co w tobie siedzi
Wypatrywanie kolejnych wschodów słońca
Gwiazd które zabrałyby cię z tego miejsca
Na ziemi i na niebie naprawdę lub na niby

Nie módl się do żadnej z nich bo gwiazdy
Nie rozumieją twych intencji zapatrzone
W rozdęty kosmos same szukają lepszej drogi
Do bezpiecznej przystani dlatego potrzebują
Przestrzeni więcej i więcej żeby móc uogólnić
Odnaleźć związek między horyzontami
Własnym i światowym poza który ich ramiona
Nie sięgają światło odmawia penetracji odbija się
Od samego siebie jak lustro od lustra rozsiewając
Migoczące iluzje mnożąc byty ponad możliwość
Ich zliczenia nie skryjesz tej słabości sławieniem
Wielu bogów podążaniem na skróty lepszą drogą
Pełną pałaców które przekroczyły nasz widnokrąg

Iluz to bogom światła i płodności rzeźbiono posągi
Jeden tylko odmówił bo zna prawdę reszta zależy
Od dłuta ceny kamienia wagi w hierarchii słów uczucia
Kłębią się mieszają zamknięte w czaszce buchają
Nosem uszami odbytem stopy racice wierzgają
Usta chrapy mięsiste podbrzusze napięte lśniące
Twórca na oko mierzy a ludzie durniej wzięli od nich
Złoto uformował narzędziem złotniczym i zrobił z tego
Odlew cielca i powiedzieli to są twoi bogowie zmije
Pławia się w kruszcu robactwo i przepych są dwiema
Odślonami tej samej istoty nieopierzonej dwunożnej
Inteligibilnej rybom ptactwu nic tutaj z mądrości światu
Pól ściółek czy chcesz to dźwigać na swych plecach

Nie odkładaj decyzji na później wszystko już było
Zwłaszcza co dobre prawe leżało o tutaj przede mną
Widziałeś to i ty lecz milczałeś a mogłeś wesprzeć
Poszukiwanie prawdy szukanie słów by pasowały
Do rzeczy najprostszych tyle razy mówiliśmy
O miłości ale ja nie chcę by mój szacunek do ciebie
Wynikał z niewiedzy lub miał swe źródło w chorym
Zaślepieniu tak blisko stąd do nienawiści i odrzucenia
W końcu do racjonalnej zgody na kolejną zbrodnię
Czy nie dostrzegasz planu on sięga ponad horyzont
Choć nie pochodzi z centrum tkwimy w nim po uszy
Wiatr niesie błogi zapach piękniejszy od mowy
Dźwięk głębszy od obrazu chcę to lepiej poczuć

Pieśń 10

Życie niesie nadzieję że człowiek nie umrze
I gdzieś w dobrych zaświatach dozna wyzwolenia
Od strachu przed złym bólem zewsząd cię osacza
Wzrasta kosztem twych racji śpieszy je osłabić
Zrzucić w przepaść urwiska na dno tu-i-teraz
Do jutra i na zawsze masz trwać bez rozumu
Ryt niechaj go zastąpi sztuka pogrzebania
Wątlej powłoki ciała obdarłej z wnętrzości
Z oczu krwi spraw doczesnych by zachować wigor
Ludzką pychę wszechwładzę przepych umierania
Cechy te są niezbędne to klucz do wieczności
Otwiera każdą bramę a jeśli żadnej nie ma
Zamyka w sobie przestrzeń by móc ją otwierać

Pogarda jaskra duszy przyćmiewa bogactwa
Z jakimi król obcuje o jakie potyka wywyższony
Nad siebie żywi złe uczucia serce umieścić
W klatce podwiesił u stropu odsączone skarłało
Sine nieruchome oczy obłożył klątwą że boją się
Widzieć zacisnęły powieki puchną od ślepienia
Uszy nadział na wstążkę wystawił do wiatru
Krzyk wpada w nie jak w sieci obciąża nalotem
Naderwane ciężarem sięgnęły posadzki marmur
Królewskich komnat wchłania je łapczywie
Tylko język ocalał będzie wyrokował
Słowem dosięgnie wszystkich podda sile władzy
Szczerości okrucieństwa w zamian za tve życie

Jakże odmienna jest narracja zgonu gdy śmierć
Nie mija na życzenie ubrana w liche łąchy lub
Bogate stroje żyje pomiędzy ludźmi przechadza
Jak człowiek i tylko ona jedna nie umiera
Ależ ty ją spotkałeś przyszła nocą we śnie
Nie miała żadnych kształtów nie żyła w przestrzeni
Jak mogłeś ją więc dostrzec zło widać z daleka
A śmierć jest złem najwyższym odbiera cię światu
Nie zważa na wysiłki które wciąż przed tobą
Zdania na wpół znaczone słowa nie spisane
Myśli niejasne mniej lub bardziej przypadkowe
Nie bój się cóż istnieje poza tu-i-teraz śmierć
To kolekcja twarzy spójrz na nią poprzez mnie

Tego nie mów nikomu ziemski król choć głuchy
Każdy podszept usłyszy ślepy dojrzy związki
Wyśle rozkaz konnicą by mnie doń sprowadzić
Żywego czy martwego i co mu odpowiem
W twój sen nikt nie uwierzy jest zbyt zagadkowy
Władcy wolą konkrety fakty i zeznania preferują
Dowody donosy i zdrowie czy masz nadal mikstury
Od bólu stu kości od trudu zrozumienia od czasu
Konania zaufaj rozsądkowi nikt nie jest tak głupi
By zmiażdżyć głowę żmii choć złowrogo syczy
Lecz ludziom daje ulgę ujawnij receptę podaj mi
Składny opis sekwencję czynności bym nie pomylił
Kroków o ile ich następstwa uchronią przed śmiercią

Cieszmy się życiem cmentarzyska plenne na trzy dni
Marszu zdobione budowlami freskami przepychem
Który miałby pochłonać dojrzałe pożądanie czujny
Wzrok nierządnicę oczarować pięknem umierania
Anch-taui złoży wkrótce głowę pod wieko pustyni
Tak skończy się iluzja wieczna acz niedoskonała
No-Ammon chciało z nim walczyć o pierwszeństwo
W świetności nekropolii lecz i ono poszło na wygnanie
W niewolę niemowlęta roztrzaskano na rogach
Ulic o znamienitych mieszkańców rzucono losy
Wszystkich zakuto w łańcuchy przyjdzie nań czas
Wielka rzeka rozstrzygnie o przyszłości odsłoni puste
Groby z niczym odejdą rabusie i stare wierzenia

Przeznaczenie nasza matka z nieprawego łóża
Która z ziemią zrównała niejedno już miasto skazała
Na zaturę największe potęgi dla niej splot stu stuleci
Mrugnięcie powieki drapieżny taniec ważki nad
Celem wymierzony zabójczo los daje ci nadzieję
Spróbuj znieść zasady usunąć rozkład następstw
Destynacji nie zmienisz ma naturę stałą rozchodzi się
Liniowo jak litery w słowie słowo w wersie w poezji
Jak czas w kalendarzu a w nim przeskoki w przyszłość
Z pozoru niewinne wszystkich rujnują wielodrożem
Zwijają w spiralę stawiają ostrosłupy jeżone kolcami
Wyludniają fortece pustoszą spichlerze mają w tym
Pomocników nowych i nowych w tej samej niewoli

Czyżby wiedział to Aton gdy niszczył Amona nagła
Rewolta z Amarny pchnęła w cień kapłanów zabrała
Im władzę dla ludzi bez różnicy ucisk się nie zmienił
Kopalnie alabastru wsparły Echnatona lecz człowiek
Zwykłej miary nadal ślepił od blasku olśniewających
Grobowców bicza nadzorcy duszności i pragnienia
Bunt kiełkował w pałacach w ogrodach na placach
Krążył w dobrych warsztatach i lichych zaułkach lud
Oddzielony od innych mający odrębne prawa stroje
Mowę pamięć bez której jasna przyszłość nie istnieje
Wyruszył w poniewierkę na wschód przez pustynię
Wybrał życie dla życia przystań w ostoji Abrahama
Od dawna obiecanej kuszącej mlekiem i miodem

Życie dla śmierci we krwi brodzącej jak w wielkiej
Rzece pozbawione milionów rąk do ciężkich robót
Wezwało armię jeźdźców konie i rydwany sprawny
Pościg za zbiegiem złapał rytm i oddech schwywanie
Starców matek małych dzieci powinno być łatwiejsze
Od chwalebnych pieśni o powrotach z nędznej bitwy
Grób nie znosi przestojów mrok się upomina brakuje
Ornamentów pięknych kolumn służby kto będzie
Ścinał słomę kto urabiał glinę by z cegły wznosić
Miasta kto wytnie skalne bloki z kamiennych wzgórz
Kto przeniesie je sprawnie na place budowy
Sprzątnie z pól ziarno wymłóci rozetrze na daninę
Strzec będzie sarkofagów w grobowych komnatach

Nie lepsza śmierć z gorąca od kęszeń skorpionów
Lecz pośród swoich bliskich niechże by przetrwali
Silni wiarą w przymierze między połówkami z nich
Obie jakby żywe oznaczają wolność wiedza o tym
Cóż warta jest morzem rozległym z głębią znaną
Wyłącznie szlachetnym uczuciom przekroczyć je
Zrozumieć użyć swej mądrości odrzucić złe nawyki
Czoło podnieść dumnie bez obawy o chłostę
Patrząc prosto w oczy śmiejąc z siebie do syta
Wolność swoją wielkością ucieka przed miarą
Złożona z dwóch drobiazgów skrywają je fale idź
Między łany szumu niosą pieśń o tobie zapanuj nad
Przypadkiem tajemnym lecz godnym zaufania

Rozgarnij dłońmi tonie trzciny maty rzuć na
Grząskie błocko tutaj wczoraj aż niebo zakwitło
I Bóg sprawił że nocą szedł przez wodę gwałtowny
Wiatr wschodni i cofnął morze zamienił je w suchy
Łądy wody rozstały się gdy żywioł zbrzuszy łaty
Niech ludzie ruszają brzeg nigdy nie był tak blisko
Tę stronę ścina pościg zwróci cię niewoli po tamtej
Gołębica czeka na spełnienie z dala od grzędawiska
W gnieździe z rześkiej rosy niechże nikt jej nie spłoszy
By nie pokalać prawdy czystej natchnionej dbającej
O życie z nią przyszłość zrodzi dobry owoc na razie
Niepojęty ucieczka do wolności jest drogą nieznaną
A chociaż wiecznotrwałą nam ciągle wzbranianą

Niech wyślą w dal zwiadowców poucz ich przed
Misją by gorsze wieści mieli wyłącznie dla siebie
Przyjdzie im cedzić kłamać snuć piękne fantazje
Dobre dla ludzkich uszu człowiek zdarty drogą
Choćby został zwabiony sprawą niebios nie jest
Odporniejszy na tren pustyni od niewolnika skutego
Żelazem piachy są skargą sędzią katem domem
Okrutnych żmij skleconym z ziaren jadu z gorąca
Trucizny jest jej tyle ile pyłu w ustach ile dolin
Wypatroszonych wiatrem upadłych zwałonych
Nadprzyrodzonym ciężarem ilu kłótników oni ulegli
Jednej z nich ziemia rozwarła swoje usta połknęła ich
Ich domy i wszystkich ludzi Koracha i cały ich dobytek

Wizja nie jest tym samym co widzenie okiem zropiałym
Skrytym skorym do patrzenia przez pryzmat bólu i żalu
Nierozważnym w zniekształcaniu obrazu upodlone
Upadła odtrącone odtrąca skrzywdzone krzywdzi
Zechce zamienić się z tobą figurą retoryczną jesteś
Błogosławiony więc będziesz przeklęty twoje dobro
Wzbudza w ludziach nienawiść a jeśli byłeś przeklęty
Jesteś błogosławiony żeby zło mogło czerpać moce
Z odrzucenia z trwałej żądzы ponizenia ciebie mnie
Wszystkiego wokół co zdaje się być do nas podobne
Jakże inna jest wizja sposób patrzenia w którym
Zmieniasz siebie cały świat przeszłość i przyszłość
By zasługiwały na prawdziwe błogosławieństwo

Dobrze to wiem bezpieczeństwo czerpię od ciebie
Choć ty ode mnie jedynie stałe zagrożenie spójrz
Oto lud wyjątkowy powstaje jak przerażający lew
Jak lew podnosi się i nie spocznie aż nie pożre swojej
Zdobyczy i nie wypije krwi pobitych nie bój się
Poznać prawdy fałsz niby nie bytuje rozłogi bez łęgów
A rzuci się do szyi w dogodnym momencie zamieni
W padłe ścierwo bez ładu bez składu zbije z tropu
Prawda ma swój porządek stoi szalaszami czy widzisz
Wzdłuż i wszerz po sam horyzont w miarowym szyku
Bilam długo się wahał chwycił język dłońmi wyzymał
Z niego słowa by prawdę pominąć jak dobre są twe
Namioty Jakubie twoje siedziby jak błogosławione

Pieśń 11

To co jest jednostkowe przysłania głębię
I jeżeli nie zwiększysz troski i wysiłku
Nie poznasz odpowiedzi na stare pytanie
Ile prawdy w liryce i liryki w prawdzie
Łzy gęstnieją w warkocze gdy obu dotykasz
Choć jedno znasz rozumem a drugie uczuciem
To uwikłane w tamto wpięte w pasma splotów
Gdy spróbujesz rozsypać ach toporne palce
Niteczki gdzieś znikają by znów się pojawić
W miejscu nowym zbyt śmiałym
Jak na twoją wiedzę prawie że niedostępnym
Lat długich potrzebujesz by odnaleźć drogę
A leży wciąż przed tobą i cierpliwie czeka

To co nam obu wspólne z natury ogólne
Zazwyczaj oddalone ręce są za krótkie wzrok
Sięga wprawdzie wierzchu lecz co kryje wewnątrz
Tego nikt nam nie powie daremne starania
Kochamy dychotomię psa z kotem dół z górą
Coś z zewnątrz i ze środka treść słowa i zakres
Nic więcej nam nie trzeba by błędzić po świecie
Starając się wysławić o wszystkim we wszystkim
Czy właśnie to jest prawdą cóż ona pomoże
Wędrowce po bezdrożach w czasie rzeczywistym
Na szczęście droga prostsza a to dzięki tobie
Dostrzegam jej otwartość nieraz aż nachalną
Muszę stale pamiętać o twojej dwudzielnosci

Czyż wiem z nas dwóch który jest pierwotniejszy
Nie zawstydzony swą wtórnością twoje próby
Wprowadzenia mnie w błąd wyglądają na chybione
Dostrzegasz we mnie zwierzę istotę niedoskonałą
Z którą nie warto dyskutować człowiek nie może być
Aż tak ułomny jestem tylko nieufny bo komu miałbym
Dać wiarę powierzyć troski trudy życia wątłą nadzieję
Na bezpieczeństwo sam wiesz że twoje świadectwo
Nie wystarczy bym przymknął choć na chwilę powieki
Dostrzegł tę wyjątkowość o której prawią wielcy mówcy
Walczą o nią wodzowie giną za nią sędziwi mędrcy
Ponoć jest w każdym z nas wyrasta z serca płynie
W przeciwne strony porusza świat ludzkimi łzami

Wtedy rodzą się słowa je też czeka włóczęga
Taka sama jak podróż wędrowca-człowieka
Kiedy otwiera przestrzeń marzy o wspinaczce
Zdobywa strome szczyty podziemne jaskinie cuda
Świata słowa to uwielbiają zupełne szaleństwo
Nigdy nie wiesz gdzie pędzą co z sobą przyniosą
W drodze powrotnej dlatego warto rylcem
Spisywać ich kroki jeden po drugim w glinie
Zdatnej do przetrwania lub w zwoju papirusu
Moczonym w czernidle na powierzchni kamienia
Kutego dłutami w rymowanej pamięci pieśniarza
Choć gardło rzecz zbyt krucha człowiek czy zna
Sam siebie i moment w którym pieśń zamilknie

To co jest w środku głowy wyschnie z wiekiem
Sentencje tracą miąższość długość i następstwo
Stres zniszczy dobrą pamięć wyrzuci spod czoła
Narodzi się świat nowy kompletnie nieznany
Trudno się w nim poruszać gdy nie wiesz kim jesteś
Skąd przyszedłeś gdzie idziesz jak brzmi twa
Historia losy starego świata nie ma nic takiego
Choćby to miał być drobny cień zamglony zarys
Będiesz czuł tylko lęk przed światem przede mną
Nawet przed sobą boję się że kiedy mnie to spotka
Poziom autodestrukcji przerwie trwanie zetnie z nóg
Jakbym był złym badylem porzuconym w ogrodzie
Posezonowym przeznaczonym do rozdrobnienia

Śpiewak o ile przetrwa w dość niezwykły sposób
I stanie znów przy drodze mrużąc żywe oczy
Czy zdoła zamilczeć siebie zbyć autokreację
Ominąć słodkokrzewy nie ulec pokusie by niby to
Przypadkiem bez ważnej przyczyny wpleść w pieśni
Własną chwałę uznać nieśmiertelność za składnik
Wszechświata roztrząsać subtelności smakować
W euforii uszczknąć dreszczyk ekstazy niech gęsia
Skórka szybko zadrży ulotnością wypełni zwoje ciała
Niech będzie tłem dla uczuć zdolnego śpiewaka
Lecz co z ambiwalencją któż zdoła ją bezwiednie ukryć
Wpierw niewinne drobiazgi na końcu sprzeczności
W których słowa są ledwie pustymi dźwiękami

Przepaść między przeżyciem a jego ekspresją
Wzbudza w ludziach apatię lub wściekłą agresję
Absurd wchłania groteskę dosięga granicy
Poza którą niewiedza jest w najwyższej cenie
Rządzą tutaj afekty nastroje namiętność tęsknota
Za mądrością sentyment do prawdy acz o stężeniu
Małym niezdolnym do czynów pieśń wciąż
Może je wskrzesić wbrew siłom śpiewaka
Przywrócić ton i barwę poprawić proporcje czerń
Położyć przy różu z odcieniem miłości doskonałej
Szlachetnej przyjdzie mu jej szukać zniżyć głos
Szept zmatowić zmienić w smutek schłodzić
Zamknąć nastroje pointą w lirycznym ujęciu

Jeśli się wykaraska kamień z serca spadnie
Byle nie zakrwawiony niech nie służy stracie
Bo śpiewak już zapomniał co miał zapamiętać
Dla pokoleń śpiewaków w siwej starej głowie
Lepiej więc chwycić dłuto i wykuć w kamieniu
Słowo za słowem prawdę bez uproszczeń
Most nie wsparty przesłami pozbawia nurt łąty
A łąta w środku brodu spiętrza górę rzeki
Pamięć jest wszystkim na raz i przesłem i mostem
Słowem odwiedzającym dwie strony przeprawy
Czasami ta wędrówka wiąże się z mistyką tkwi
U podstawy rytu ratuje człowieka przed lękiem
Niepewnością doczesnym zagubieniem

Kamień musiałby być nieociosany by treściom
Nie narzucać formy zapewnić kutym słowom
Insygnia wolności trzeba by go pobielić dla
Kontrastu liter biel doda najsurowszej powagi
Wyniesie trwałą pamięć nad wątłą doczesność
Słowa staną się lite jak twarda jest skała
Spisane boskie prawa na dziś i na przyszłość
To co w nas harmonijne bierze się ze znaczeń
Którymi ludzka dusza wypełnia te prawa
Czynem i zaniechaniem mądrością sumieniem
Ty mistrzowski kamieniarz a nie składasz liter
Korzystasz z moich trudów rzucasz ledwie okiem
Czas wezwie deszcz upały szybko znikną słowa

Zdrzemnijmy się przez chwilę duszno tu spiekota
Marzenie senne wnuknie w pory skóry otworzy nas
Wymości wsuń pod głowę kamień otocz szczyt
Skroni skałą jeśliby zwierz cię zwęszył nie sięgnie
Do gardła zaatakuje nogi zrani ręce małże twych
Uszu chrzęści nosa zostawi na miejscu sprężysz się
Dłońmi schwycisz bestię rozewrzesz pysk zerwiesz
Zawiasy kamień zamienisz w tłuczek roztrzaskasz
Zwierzaka nie mógłbym ci w tym pomóc muchę czy
Skrzydłem komara chociaż kąsał skuszony mym
Potem lepiej czuwaj gdy drzemie może mi się przyśni
Sen z nowym drogowskazem i celem wędrówki już
Jutro po dzisiejszej drogi nie będzie ani śladu na niej

Drogowskaz jest niezbędny by rzeczy możliwe
Zmieniły się w konieczne choć robisz to co dzień
Od świtu aż do zmroku mnożąc krok na drodze
Goniąc znaną myśl nową złowioną w obłokach
Gdy potkniesz się o grudę upadniesz na ziemię
Podniesiesz znowu potkniesz jak jakaś niezdara
Czyż nie zaczniesz zazdrościć ptakom skrzydeł
Rozpiętych nad urwiskiem wiszących pod niebem
W miejscu między wiatrami ciepłymi chłodnymi
Tam nie jest tak bezpiecznie gdy łowni łucznicy
Ślą smugę sprawnych strzał w sam środek ciebie
Ptaki krążą nad ciałem chcą w nim chować młode
Lecz cały jesteś zajęty muszą stąd odlecieć

W razie niebezpieczeństwa modlisz się do głazu
Zamiast brać nogi za pas ratuj się kto żywy
Kamienie mogą pomóc lecz miotane z procy
Spychane z miejskich murów rzucane w wąwozy
Czują się znakomicie jak u siebie w domu są
Cząstką ziemskiej duszy wilgotnej w parowach
Niekiedy mgły je wznoszą by z poziomu chmury
Dostrzegły rzeki morza skupiły wzgląd gapiów
Fantastów i lekkoduchów planujących ściągnięcie
Wielkich głazów z nieba prosto na ziemię
Skończ już klepanie modlitw do śniętej przyrody
Przeczytaj tekst wykuty w dwunastu kamieniach
Spisany by pamiętać że głaz nie jest Bogiem

Przeklęty człowiek który wyrzeźbi figurę lub odleje
Posąg obrzydliwość dla Boga dzieło rąk rzemieślnika
I ustawi je potajemnie by modlić się długo żarliwie
Do martwej natury błagać to co nieżywe o życie
Już jesteś trupem jedynie tego nie wiesz bo żywe
Łącząc się z martwym umiera a martwe nie zmienia
Swej istoty kamień przy drodze może cię zgładzić
Okaleczyć zatrzymać ty miłością go nie ożywisz to
Strata sił chodźmy stąd czas ucieka przejdźmy rzekę
Opłuczmy w niej stopy gładzony żwir uraczy chłodem
Własnej siły uniosę dłonią srebrne sploty zanurzę oczy
Nie zamknę ich pod wodą obiecuję rozchmurz się

Pieśń 12

Ty wiesz jak bardzo pragnę pytać o wszystko
Dotykać każdej rzeczy czuć jej bliskość zrozumieć
Do czego mógłby być jej pomocy człowiek ten sam
Który miłości szuka w egoizmie stanie chwiejnym
Rodzącym skarłale mity na temat własnej wartości
Miłość czy może być partykularna ona jest całością
Wypełnia śpiesznie przestrzeń łączy co jest gotowe
Na złączenie lecz człowiek woli wybrać umieranie
Widzę je w tobie patrzysz oczami śmiertelnika krążysz
Jak dziki zwierz wokoło wnyku ufny w swą czujność
Już dawno dałeś się pojmać biegowi moich spraw
Dopiero pochwylenie przez myśliwego mogłoby coś
Zmienić wyzwolić z egzystencjalnego potrzasku

Wywodzisz się z pułapki z niej nie uwolni cię odmowa
Wyboru między życiem a śmiercią nie pomoże wojna
Karząca ludzkie ciało bezduszością nie wesprze
Złoto nawiedzające myśli pchłą gorączką chorobliwie
Kuszące łatwizną nie oszukasz natury stroniem od
Świata miganiem się od rozmowy o sensie istnienia
Spójrz drwi z nas cała przyroda najpierw otoczyła
Przyzwyczała do cykli uczyła w swojej skrytości
O tym co dostępne i jednocześnie zaciemnia resztę
Zmieniła w tajemnicę do dzisiaj nurza nas w presumpcji
Ty tego nie rozwikłasz nawet gdybyś szukał pomocy
Olimpu czy twoje serce może uszlachetnić bogów
Sprowadzą tylko traumę żywią się naszym strachem

Znów będę jak zaszczuty niepewny dnia godziny
Kto mi wtedy pomoże jeśli ty wciąż milczysz
Pozostanie wszak wybór kręty jak klucz żołnierza
Między zwałami trupów nieżywe nie są groźne
Wytrwalsze zebrzą o pomoc i jeśli żołnierz ulegnie
Pochyli nad konaniem sam padnie godzony strzałą
Ciosem miecza pełno ich błądzi skrajem ścieżką
Zawsze tą jedną znaczoną dla gotowych na śmierć
Gdybym był dzikim zwierzem dałbym sobie radę
Instynkt skróciłby dystans wydłużył pod miarę
A jeśli to niezbędne chwycił pyskiem gardła dźgał
Pazurami oczy rwał płatami skórę twarz za twarzą
Czerwień za czerwienią aż poszarzałyby wyblakły

Zlepek przygodnych przeżyć przekładaniec z kąta
W kąt menażeria doczesnej wrażliwości to właśnie
My to wszyscy inni zacięci toczący wieczne wojny
Z których najgorszą jest wojna przeciwko sobie
Totalna wyniszczająca spełniana wieczną bitwą
W ludzkiej głowie między oczami uszami nosem
Wsparta biologią zółci obdarta ze skóry sumienia
Czuję jak rwie tiulową szatę utkałem ją w ukryciu
By w dogodnej chwili zarzucić na uszy żołnierzy
Zagłuszyć nowy rozkaz stworzyć łagodną strofę
Lecz nic tu po finezji gdy wojna od rana się zbroi
Muszę rzecz tę przemyśleć zapleść sieci w więcierz
Rzucić na grzbiet łowiska brzegiem naszej drogi

Kunszt ażurowej struktury zdołałby odsączyć nie tylko
Pełne zdania okrągłe i gładkie lecz frazy krótko cięte
Językiem lub nożem słowa ostre z igliwia zjeżone
Znaczeniem kaleczące do kości jeśliś dłań za miękki
Zgłoski śliskie i pulchne rozmówcze plwociny
Rzęzenie niewyraźne ochryple bezsilne ktoś kończy
Marny żywot śpieszy to podkreślić cóż spłoszy mi
Ławicę zamiast niej wyłowię spuchniętą w sieci topiel
Plankton w źrenicach oczu tasiemce w przełykach
Durszlaki pustych czaszek paciorki mdłych uszu
Tułowia śpiące w brzuchach strzelistych żarłaczy
W głębi podwodnych pływów wirów i potoków
Nie próbuj łowić dłońmi przeciekną przez lustro

Żadna rzecz nie jest taka jaką da się poznać mów
Prawdę nic już nie płacz dłużej nie ukrywaj bo może
Zawiniłem nie znam słusznej miary wciąż idąc równym
Krokiem nie widzę tylu jej oznak patrząc bez emocji
Nie cenię jasnych treści wsłuchany w samego siebie
Nieufny dotykowi szczelnie zamknięty przeczulony
Wciąż pytam bezkrytycznie dlaczego rzecz skrywa swą
Istotę robi stale uniki obmyśla fortele by wszystkich
Zmylić wywieść w pole nie dopuścić do zapanowania
Nad materią czy człowiek jest aż taki groźny że cały
Świat trzeba przed nim chronić nie wystarczy kłamliwy
Język oszukańcze relacje wieczny konkurs narracji
Żądza władzy człowieka nad śmiercią i człowiekiem

Który z naszych światów jest prawdziwy twój mój
Oba a może żaden z nich spójrz z tamtej strony
Dociera tutaj szum zatoki krople sennej wody krążą
W chmurze i gdy burza je zbudzi runą stromym
Brzegiem nad tonią zmoczą szew bałwanów
Potem słońce odgrzeje dzienną porcję uniesie ją
Wysoko rozmaże widnokrąg ozdobi barwnie uspi
W kropelkach czujność skąpią się w próżności zyska
Czas by rozsypać obłok na bezdroża co łaska
Dla wędrowców pieśniarzy i mędrców proszę ugość
Mnie zupą z rybich skrzel z ości daj czarną pajdę
Chleba na ucztę sproś herosów potomstwo Kronosa
Dwóch bajów chimerycznych Bellerofonta Tezeusza

Niechby pierwszy z nich przybył na grzbiecie rumaka
Pegaza wiedzącego gdzie skryła się studnia drażona
Rzešką wodą źródlaną soczystą znajdującego fortele
Godne wielkich łowców obytego z potworem kozo-lwem
Wężowym ziejącym wyziewami czernidłem i ogniem
Koń zna prawdę o walce z bezwzględną Chimera
Do dziś nie rozstrzygniętej stwór skrył się w jesieni
Ukradł koloryt liściom półcienie pniom dziczy wychodzi
Późną zimą bada wokół przestrzeń zaczepia
Na bezdrożach samotnych wędrowców prowadzi ostre
Spory na temat wszechświata kończą się krwawą jatką
Nikt nie protestuje bo ludzie uwierzyli w przechwałki
Herosa nie żądali dowodu ufali słowom wieszczów

Tezeusz jeszcze gorszy choć wyciął morderców
Siłaczy między łotrów zbójów między dziki ocalił
Minotaura miast zgładzić za zbrodnie zamknął go
W labiryncie zawarł tajny układ kazał podmienić
Ciało żeby nikt nie rozpoznał kim jest kim była
I kim będzie osoba z byczą głową byk z głową
Młodzieńca do dzisiaj heros czerpie podstępnie
Zaszczyty gdy zwykli ludzie giną wierząc świętym
Muzom a wszystkie one grają na tajoną nutę
Osłabiają krytycyzm rozwodniają kształty podsuwają
Tułaczom fałszywe nowiny tak łatwo ponieść stratę
Na rzeczach lub zdrowiu a cóż dopiero przeżyć wśród
Samych błędzących zbaczących na lewo i prawo

Wszędzie czeka Margites ślepiec zakładnik poezji
Homeryckiej nie skarż go za zuchwałość nie broń
Za niewinność nie lekceważ za szybką miłość i nagłą
Retardację bo czego się nie podjął było nie-zmysleniem
Dalekie twej logice bliskie intuicji raz głośno
Wyśpiewane stawało się światem jak ten tutaj realnym
Żywym z krwi i kości wzywało nagich mężczyzn
Do tańca z tarczami w ateńskich lśniących hełmach
By godnie uczcić pogrom mitycznych gigantów
Lecz czego by nie zanucił ów syn rzecznego boga
Dziecko zrodzone z nimfy na smyrneńskim brzegu
Na powrót zmieniało w fikcję to co ważne dla faktów
Zaśmiecało przedpole odpadem nawozem prochem

O bogini wyśpiewaj gniew Achilleśa obfity w szkody
On ściągnął klęski na greckie narody mężne dusze
Wtrącił do Erebu dał je na pastwę sępom i psom trupy
Szlachetnych w polu leżące bez pogrzebu tak wielkiego
Zeusa spełniała się wola gdy w sporze śmiertelnym
Rozdrapali rany król Agamemnon i waleczny Achilles
A gdy w końcu upadła znamienita Troja któż ją zechce
Wspominać poza pieśnią starą kto podpowie nie w porę
By wierzyć Kasandrze słuchać wróżb Laokoona
Spalić koński fortel miast uznać za trofeum wietrzyć
Przed nim bramy na umór pić weselić tańczyć
Bo noc uśnie wraz z ludźmi i dzień się nie podźwignie
Pijany czy nieżywy bez różnicy dla spalonego miasta

Ślepiec próbuje słowo jak łucznik strunę cięciwy
Celne godzi śmiertelnie choć grot nie spiżowy języki
Ćwiczą zmudnie co lubimy słyszeć o czym pouczać
Innych by nie pobłędzili jak słać oddanych sprawie
By chcieli dlań ginąć wzorce przecież gotowe
Trzeba je odtworzyć winą obarczyć bogów nie mają
Sumienia żywią się intrygami podstępem i zbrodnią
Nie czas na wątpliwości ta pieśń jest dla nas szansą
Bezpiecznego powrotu do tyranii stary spór z władzą
Można by rozstrzygnąć lecz pieśniarz zaniemował
Strata nie jest przeszkodą duchowe czy materialne
Zniszczenie morderstwo wciąż inspirują ludzi do
Godnego życia do decydowania o naszej wolności

Masz rację tylko miłość buduje ta którą hołubię
Inny jej rodzaj swoje jądro zamienia w nienawiść
Chorą zakaźną nie przystawajmy z czymś takim
Wystraszą się zwierzęta zwiędną bujne chaszcze
Ryby słonecznych ławic ptaki głębin nocy wszystko
Przez stany duszy im obce złowieszcze egoizm
Rozpleniony w sercach metropolii czy sprostasz
Trudom śmiałka grot strzały w mych plecach
Dotęgnie zaraz duszy ta wzbudzi we mnie upór
Pomnoży chęć życia będę chciał znosić góry
Zlewać z sobą morza wynieść wartość człowieka
Na poziomy boskie etyczne wymierne w dobroci
Żeby nikt już nie podniósł na ciebie zbrojnej ręki

Pieśń 13

Światłość jeśli ma serce ono jest ze spizu
Trzymającego ogień z wodą w pięści zbrojnej
W światach nieznanym mrocznych głębiach
To serce jest w twojej głowie w mojej dłoni w skałach
Wulkan zanim wyrzyga łowi z łąki kwiaty
Szuka ptactwa by w oczach zważyć łęgi gniazda
Oceń nowe szczyty czy wzejdą wysoko a doliny
Z należną troską ścielić będą zielen
Chronić ludzi po jarach lub porzucać w biedzie
Życie nie chce się poddać nawet tam na dole
Człowiek pyta o rzeczy nie warte zachodu
Nie wie co jest trudniejsze trwanie ciągła pogoń
Za tym co nieuchwytnie choć jest wszędzie wokół

Mrok chciałby przykryć wszystko stratą
Wypełnić niespełnieniem lecz powstrzymywany
Siłą słońca ciepłem ziemi odgraża się bezsilny
Śni o potędze choć jest metaforą grasz nią jak krążkiem
Rzucasz płasko w lustro odbija się i skacze odrywa
Od powierzchni buduje okręgi one toczą granicę
Codziennie stawia opór lecz mrok sięga dalej
Unosi gładko aż trafia w koniec kres bezwładu
Tonie zwyczajnie prozaicznie jak buntownik we krwi
Mędrzec w błahych domysłach hochsztapler po krachu
To nic że znów błądzimy człowiek brzmi tak dumnie
Ambicja by znać prawdę zezre nas do reszty
Lecz ty jesteś geniuszem nie pozwól nam głupiec

Zatrzymaj czas to właśnie on jest sprawcą nieszczęść
Gna nie patrząc za siebie a tam same trupy
I kiedy w końcu wraca do dobrych starych miejsc
Niszczy nas melancholia wyrzuty sumienia
Choć nie byliśmy aż tak winni by kłuć własne oczy
Odcinać rękę stopę zdzierać skórę z twarzy
Cierpimy za coś co z samej konieczności jest możliwe
Lecz dobrze wiesz że nie jest namacalne
Zaledwie prawdopodobne tkwi w splątanych myślach
Ukorzenia las zmysłów ściółka sięga pniaków
Wiele z nich powalonych próchnieje na skrajach
Oddzielając ciekawskich od drzew matecznika
Gdyby nie wschód platanów sądziłbym że chybię

Co znaczy tajemnica gdy w sercu nic nie ma
Chciałbyś bym miał w nim duszę a ona jest w brzuchu
Burczy żałością wzdyma szuka dróg do światła
Niekiedy protestuje goszcząc niestrawności we śnie
Rozsadza głowę sprowadza koszmary przez nie
Pocę się wzbraniam choć są miarą życia w świt
Wkracza jawa i dusza ucieka chowa się w nerkach
Sypie w obie piasek przeciska przez przeponę płuca
Ledwo dyszą moje myśli choć trzeźwe czują się
Jak towar wystawiony na sprzedaż pełno go na stole
Błat gnie się od ilości stragan sprasza kupców lecz
Cena bulwersuje jest nijaka ludzie wolą okazje rabaty
By zaoszczędzić my jednak nie jesteśmy na sprzedaż

Niechże ptaki opuszczą moją głowę bym stał się wolny
Rozłupałem dwie czaszki lecz nic w nich nie było
Jak znaleźć sens jeżeli wolność nie ma już znaczenia
Co najwyżej bezmyślni dławią się uzurpacją trzeba by
Niezależność omotać bezwzględnie ośmieszyć wyszydzić
Skazać bez ceregieli na wieczne zgryzoty a ja nie chcę
Tak żyć wierzyłem w prawdę niosłem jej przesłanie
Nie uludę nie kpinę wiązałem się z mistycznym celem
Obowiązkiem bez którego nie bylibyśmy ludźmi
Prawda płynie z wolności zmierza wprost do ciebie
Dostrzeż ją nie unikaj dziki zwierz to czuje jakby
Posiadł twą wiedzę żył myślą szedł stopą po nieznanym
Stworzonym z pereł z bluszczu które budują widnokrąg

Szukaj wolności spróbuj nią oddychać i odświeżnie
I na co dzień nie śmieję się ze mnie tego właśnie pragnę
Nogi mnie wtedy niosą z ciepłym wiatrem usta drżą
Muskając wilgoć zamykam oczy by wszedł we mnie
Cały wszechświat wielkie gwiazdy pył z bezdroży
Tłumy niemej gawiedzi statystów mojej dominacji
Władza którą daje mi wolność wykracza poza ziemską
Lecz gdy próbuję dostrzec prawdę poznać regułę
Według której mógłbym ogarnąć odległą przyszłość
Wiatr ustaje nagle jak przed burzą krople deszczu
Z hukiem dziurawią moją czaszkę odsłaniają trwałą
Ułomność zaraz po nawałnicy włożą do środka owady
Składają w głowie jaja pająki przędą kunsztowne sieci

Zniewolenie rozprzestrzenia się jak pyłki kwietne
Wiosną ich pełno i wszystkie liczą na spełnienie
Ile zdoła zakwitnąć ucieszyć oczy węch wprawić
W stan zadziwienia dopasowaniem do preferencji
Trudnym do osiągnięcia nazbyt wysublimowanym
Myślę że jeden pyłek to aż nadto lecz ty wciąż żądasz
By nic nie stało się daremne trwało przez wieki
Światy pomieszczą każde życie najmniejsze i większe
Według miary bez miary człowiek też ma miejsce
Nie jest jednak uważny słucha śpiewu ptaków
O świecie kiedy ciepło unosi się z łąki sięga po broń
Przeciw obcym i bliskim przeciwko sobie samemu
Gotowy walczyć aż do zmroku na śmierć i życie

Dzień kurczy cielsko w końcu znika by wypocząć
Nabrać sił do zastąpienia przyszłości ta narzuca się
Wrzeszczy skandalizuje prostytuuje za niską opłatą
Nie ufaj jej nie przepłacaj jeśli już nie ma na to rady
Świat zmienia się a najszybciej to co nadchodzi
Dotknij czasu opuszki palców wyczują jego istotę
Linearność kolistość cykliczność zamkniętą w stelażu
Rozłożystej spirali nie słuchaj co mówią o nim władcy
O jego wydumanej jednorodności gwiazdy głowią się
Bezskutecznie jak czas usidlić a cóż dopiero człowiek
Z niepoważną naturą słabym przecuciem klęski
Trwałym rozkojarzeniem z powodu rozstroju żołądka
Lunarnych peregrynacji i nadziei na fizyczną penetrację

Miłość pozwala zapomnieć o lęku nie krzycz więc
Nie utyskuj że nic z twojego otoczenia nie jest jej warte
Pomyśl o dojrzałej kobiecie o mężczyźnie i żółtodziobie
Oni uskrzydlą twe ramiona wzmocnią kręgi szukaj
W nich prawdy cokolwiek miałyby to wyrażać dusza
Kobiety nada ci niecodzienny kształt dusza mężczyzny
Rozhuśta w żyłach szybki obieg twój mózg będzie musiał
Wystąpić w roli wielu aktorów nawet nieubłagany czas
Podda się nagłej fascynacji wysublimowanego
Uporządkowania namiętności panuj nad emocjami
Przyroda oczaruje twoje zmysły lecz nie możesz
Łamać prawa mężczyzna obcujący ze zwierzęciem
Musi ponieść śmierć i zwierzę musi być zabite

Strzeż się tego byś mógł dotrzeć do sedna miłości
Stanąc twarzą w twarz chociażby z sobą ze mną
Próbowałeś tyle razy lecz ludzie darli z siebie szaty
Przeklinali dzień narodzin wygrażali końcem świata
Do dzisiaj nie wiem przed czym tak zajadle się bronili
Nawiedzając twój dom posłanie miejsce przy stole
Uważasz że trzeba wciąż uciekać jak najdalej
W nieznane wiatr jednak zdradza cię zbyt często
Roznosi słowa szczerą myśl przenika góry morza
Tłum znowu szykuje drągi jakbyś był dziką bestią
Jeśli potknę się moje serce zastąpią szakalim
Dłonie szponem jaszczura duszę jadem skorpiona
Czy będąc łowną zwierzyną można odnaleźć prawdę

Na ciebie też polowano wołano w dzień twej zguby
Człowieczeństwo miłość bliźniego sprawiedliwość
Stawały się pustymi frazesami sztuką kuglarską
Przeznaczoną dla gapiów ku pokrzepieniu serc
Zdrowa rozrywka musi uwzględniać zwierzęcość
To dlatego właśnie poetę pierwszego chcą uśmiercić
Od świtu szykują truciznę moczą w niej ostrze źrenic
Sypią do soli i chleba nie oszczędzą ni źródła ni studni
Wypełniają rytuał byś nie zdołał wyrzec choć słowa
Już jedno wystarczy żeby ponad czernią sięgnąć duszy
Ptaki dziobami rozrzucają ją po niebie aż za pustkowia
Wierzę w ich misję i zwłaszcza ty mi tego nie odbieraj
Nawet jeśli jesteś złudzeniem błędem śmiertelnika

Wiesz dobrze jak to jest bo sam pragnałeś misji
Zwiodła cię pasja przekraczania w której ja miałem być
Zgrabnym tworzywem a ty czystą destrukcją negującą
Prawa fizyczne ciało normy społeczne miłość i kiedy
Zaludniały się place Samarii wzbogacały tym obce
Narody a kiedy wystrzeliły w niebo mury Judy zjawił się
Czas burzenia jakże nierządne stało się to miasto
Dawniej wierne i pełne sprawiedliwości gdy prawość
W nim mieszkała a teraz są tam mordercy Jerozolimie
Sławą przyszło płacić w chaldejskiej niewoli za brak
Duszy roztrzaskał ją o bramy bezwzględny wieloludź
Jej szczątki nadal leżą wokół starych domostw
Czekając przyszłych pieśni żeby w nich zamieszkać

W moich gnieździ się lęk wciąż pulsuje nie znosi
Ani mnie ani świata musisz zdjąć ze mnie skórę
Zmiażdżyć żebra oszczędź jedynie mózg serce wątrobę
Chcę poczuć i ten rodzaj bólu niech piasek sypie się
Przeze mnie jak przez dziurawe niebo królewska tęcza
Pisklęta wkraczają w nią niezgrabnie by wrócić lotem
Orła jastrzębia sokoła chciałbym i ja odnaleźć się
Z nicości zniewolić słabość pójść prosto przed siebie
I jeśli światli barbarzyńcy nadal będą skorzy do zagłady
Zatrzymam się przed nimi silniejszy wzniosłoskrzydły
Ta droga czyż nie wiedzie przez władzę moralną
Nasz świat ty i także ja potrzebujemy ciągłej naprawy
Może właśnie to jest ta jedyna absolutna prawda

Księga druga

Księga druga

Spis treści

Pieśń 14	s. 56
Pieśń 15	s. 60
Pieśń 16	s. 64
Pieśń 17	s. 68
Pieśń 18	s. 72
Pieśń 19	s. 76
Pieśń 20	s. 80
Pieśń 21	s. 84
Pieśń 22	s. 88
Pieśń 23	s. 92
Pieśń 24	s. 96
Pieśń 25	s.100
Pieśń 26	s.104

Pieśń 14

Nie mów tego nikomu nikt nie uwierzy w przypadek
Zarzuca ci kłamstwo dopatrzą się bluźnierstwa aluzji
Budującej wzrok na ludzkich marnościach w końcu
Opowiesz im o naszej drodze zerwiesz trzecie słońce
Zblakłe wygasłe i mimo lata chłód zapanuje między
Nami lepiej bądź z tym ostrożny język jest jak żądło
Wypełnione zapachem jadu zwróć uwagę na tło
Dwa stare cyprysy ile one mają już lat wyglądają
Jakby mogły pamiętać ziarnka z których wzrosły
Zapewne stworzył je któryś z dziwacznych bogów
Hezjoda wydumanych wspartych pieśniami aoidów
Któż był aż tak bezmyślny naiwny nieroztropny
Rzucając w jałową glebę wieczne ziarna drzew

Dopuszczysz by umarły wieczność kończy się śmiercią
Tyle drzew człowiek wyciął zbezczescił na ołtarzach
Najdziwniejszego ze światów okazując boską cześć
Drapieżnikom czyhającym na moją do ciebie miłość
Lasom kipiącym od obławy nawoływań i przekleństw
Niechże same wydadzą łowczym co niedostępne
Łęgi młodej dziczyzny tajemnice ukryte w żywych jarach
Zapewne i ty w gorączce kłaniałeś się gwiazdom
Upojony diademem lepkością potu na czole branki
Obrazy brzęczą w mojej głowie ptasznik krząta się
Nieproszony wykrada to co najlepsze z pełnych gniazd
Myli się kto twierdzi iż człowiek znaczy coś więcej
Że dotrwa chwili gdy stary czas i nowy coś uzgodnią

Bez prawdy czyż nie jesteśmy zniewoleni każda próba
Wyniesienia jej na piedestał gdy giniemy pozbawieni
Wolności graniczy z szaleństwem obłędem chorobą
Duszy pękata wydającą niecenzuralne odgłosy brzydki
Zapach przyczynę zuchwałych drwin gawiedzi potępienia
Rozbudzającego wrogość wobec tych którzy swoje ciała
Dali w zastaw i nie przeżyją bez strząśnięcia ciężarów
Solonowych siedmiu talentów by uratować godność
Dużo jest bogatych niegodziwców i dobrych biedaków
My jednak nie zmieniamy dla nich własnych zalet cnota
Nie jest czymś na wynos a pieniądze zmieniają właścicieli
Przez cały dzień krążą niczym sny mędrców o drodze do
Szczęścia zło wzmacniają nadzieją że jest czczym wymysłem

Ale tego też nie mów przemilcz zwłaszcza wątek o drodze
Do szczęścia niby prosta a tak zagadkowa hipotetyczna
Chcieliby zaraz wiedzieć co w sobie ważnego kryje nie tylko
Jej szerokość powód wydeptywania pośród skrzydlatych
Wzniesień majestatycznych dolin prawie brzegiem ziemi
Acz w samym jej centrum żądaliby rzeczy najtrudniejszych
Do akceptacji wątpliwości są dla nich zakazanym owocem
Przecież nigdy nie godzili się na uwielbienie czegoś z czym
Nie mogliby się porównać nic nie dostrzegą choć każdy
Człowiek otoczony jest tajemniczą mnogością codziennie
Patrzy na nią surową w wyborze kolorów bogatą półcieniem
Weń wnikają twe dłonie dodają do życia nie dziw się ludziom
Chcą wyjaśnień wyłącznie dla pretekstu by nas unicestwić

Posłużą się metaforą zaklęciem i magią urządzią święte orgie
Erudyci namaszczą słowa sprawnie wynajdą kogoś do roli
Prześmiewcy na uczcie podczas której obrazi tęgich mędrców
Będą o tym wiekami plotkować świntuszyć zmyślać dykteryjki
Wstyd on jeden stanie się świadkiem intelektualnego upadku
Lecz prostoduszni nie poprzestaną na żartach i obelgach
Głupcy zadowolą się dopiero twoją cielesnością sprawnie
Wrzucą ją w trzewia byka i sam Perillus zaśpiewa z tobą hymn
Z brązowych piszczał słuchacze sięgną prawdy dźwięki tak
Dobrane zapewnią wrażliwym uszom odświeżną ekstazę ja
Tylko dobrze nam życzę spójrz na moje stopy czuję pod nimi
Miętkość kurzu aksamitne ciepło grzanych słońcem kamieni
Każdy z nich jest wielkim światem życiem zamkniętym w słowie

Gdybyśmy byli tyranami byłbym o nas spokojny lecz ty wcale
Nie chcesz nim być do tego całkiem jawnie rozważasz idee
Ferekydesa zamiast się doskonalić dorównać ideałom przejść
Wkrótce w stan półboga wsłuchiwać w należne mu pochlebstwa
Ty tymczasem pragniesz już od jutra stać się najzwyklejszym
Pospolitym polnym głazem pyłem z jego ścieranej wiatrem zbroi
Śladem po nędznym skrawku śladu szukasz najgłębszej prostoty
Pociąga cię świat intencji skrywany bunt wielkich małych to nie jest
Bezpieczne trzeba ciągle uważać bo oni za nic mają życie tradycję
Wyśmiewają własnych bogów podważają skryte związki świata
Zeus i Chronos byli zawsze i także świat podziemny na agorze
Czy słyszałeś pozwolono dziś mówić prozą to koniec istny chaos
Nam obu przyjdzie za to zapłacić stałą cenę dożywotnią banicją

Może masz rację i wszystko wzięło się z chaosu czegoś bez
Końca i początku bez chwili wytchnienia rozpadam się gdy o tym
Myślę a potem nie mogę złożyć zaczynam być kimś innym choć
Zachowuję to samo imię ty też się o swoje troszczysz jakby było
Gwiazdą poranną a co z miłością do żon do dzieci co z kochankami
Oni wzdychają czują się poniżeni jeśli nie zechcesz pobyć z każdym
Z nich choć jeden wieczór nie depcz po skrzydłach motyla są tak
Niewinne zachowały zarys ubarwienia nienaturalnie duże plamy
Postrzępione pełne wysiłków by odzyskać doskonały kształt koła
Nie mają szans powodzenia tak jak uczucia twoich uczniów ich
Miłość do ciebie ani się nie zaczęła ani nie skończyła czy to pasuje
Do ludzkich miar do tęsknoty za czymś nieokreślonym ulotnym
Gdy narasta w tobie pęcznieje rodzi niestrawności plujesz treścią

Ziarno z naszego kosza te dwa cyprysy na przekór mieszkańcom
Miasta to jest tak ryzykowne niedoskonałe zechcą nas srogo sądzić
Przykładnie ukarać rozłupać na oczach dostojników mędrców
Oszustów i szubrawców natura zakpiła z nich w żywe oczy bez
Boskich narzędzi kamienia i spoiwa nie pokierują przypadkiem nie
Określą przyszłości nawet wiatr tak ten który owiewa teraz twoją
Twarz jest od nich bardziej finezyjny a fale popatrz na brzeg
Starają się zmiękczyć ziemię jak kurz wokół człowieka podnosisz
Stopę i ślad trwa choćby króciutko wytłoczył wklęsłość zakreślił
Miejsce obecności zaświadcza o tobie o mnie utwierdza w trudach
Drogi usłanej jutrzejszą nagrodą wymarzoną a nierealną wypukłość
Poza śladem wyraźnie dominuje i jeśli nie zwiążemy się z nią jakimś
Celem praktycznym gryzonie bezkarnie pożrą zapach twych stóp

Jeślibyś w tym wszystkim chciał coś zmienić musisz przystanąć
Brak ruchu niekiedy sprzyja namysłowi ważka zawiesza się w locie
Wyznaczając swej ofierze koniec precyzyjny niemal niepowszedni jej
Cel nie zdąży poznać początku tak jak ty gdy czekasz na większą
Falę by obmyła nogi ona przewala się majestatycznie jakże trafnie
Wyznacza swoją drogę stajesz na niej w nadziei że i ciebie sięgnie
Siłą większą od ssania niebnej trąby łagodniejszą od ciężaru kropli
Na skalnym źdźble trawy ale tego też nikomu nie mów bo to co jest
Prawdziwe można opacznie odczytać a wtedy zaczną nasłuchiwać
Wnet rozpoczną obławę spróbują znaleźć skryte miejsca ślady
Racizmię miękka pochyłość wodopoju skalną ścieżkę do legowiska
Dotrą tu szybko poślą strzały kołczany są ich pełne w poczuciu misji
Zniewolą istotę znad chaosu obnażą wstydlive podbrzusze pegaza

A przecież jego skrzydła nie pochodzą z bełładu składają się
Rozkładają nieruchomieją wir powietrza przydaje im nieziemską
Lekkość grunt pierzchnie pod słowami chmarami lecą w najdalsze
Strony poza góry morza wprost do ciebie poezja nie kluczy jak
Ranny w pościgu lis trącona głazem zmija kleszcz zsuwający się
Na szyję podczas tej rozmowy czuję w sobie litery dojrzewają
Oddychają nierówno pośpiesznie czekają na mój znak by zająć
Miejsce jedyne w swoim rodzaju ty sam jesteś w tym doskonały
Tańczą wtedy lasy hale zieloność klaszcze radośnie tylko morze
Ono jedno zachowuje znaczący umiar życie jest w nim tuż przy
Dnie przyciśnięte do piachu spłaszczone kształtem tak bliskie
Doskonałości dwu wymiarom dwu słońcom na horyzontach
Gdyby dosięgły i tam me słowa zwiedziałyby się zdały sprawę

Różec zbiega spod grani brnie na pyzie łaty stąpa prosto
Dumnie po wodzie rogiem mierzy żywioł rozgarnia głośno
Parska jakby zobaczył duszę toni zatoka unosi cielsko obmywa
Szczodrze pieści puzdro lecz czas to wycofania porzucenia
Brzegów ciągle wilgotnych parujących skrzących się tu i tam
Wdzięcznymi skorupami skręconymi pełnymi szumów szeptów
Podwodnych krain one chcą nas ugościć zwrócić stracone
Statki towary błyskotki ale nie słowa pieśni mają tam zostać
Są wieczne jak światy twój mój i ludzi którzy nie zdołali ujść
Szaleństwu kurczowo trzymają się dna niecki ślęczą pomiędzy
Szczątkami roztrzaskanych kadłubów ich monery pozbawione
Zwrotności steru wiosła wciąż czekają na nadzwyczajne
Rozstrzygnięcie trud istnienia on jeden ma koniec i początek

Statki miały za cel ujarzmić topiel płynąc wzdłuż Samos Ikaros
I Delos zmiecione nagłą burzą pod horyzont nie oparły się wirom
Zasadzkom skał potwornemu Ketosowi etiopskiemu widać
Perseusz za słaby nie dał mu rady wkrótce woda zatrzęsała się
W źródłanych studniach rzeki cofnęły bieg spiętrzając nurty
Z których górny nie ustępował morskiej wodzie zapasy trwały
Długo zmęczyły osiłków burza cichła powoli nazajutrz wiosła
Waliły w trzewia mielizn wzywały ludzkich świadków łkały
Nad losem szybkich groźnych łodzi kobiety suszyły białiznę
Białą terkoczącą na wietrze pełną intymnych wspomnień muza
Słała raz po raz nowe żądania cienie dzielnych wioślarzy
Ukradkiem wracały do domostw kucwały w miłosnych pozach
Czy ich dusze nie są właśnie jak ty i ja jak początek i koniec

Orfeusze utracili swą cielesność a uroda Eurydyk uschnie
Wkrótce ich zubożałe dzieci chwycą za wiosła trier by pokonać
Słabości stanąć po stronie ludzkiej pychy uczeń Pittakosa
Również i im przepowie nagłą śmierć to dlatego zegar na Syros
Nie mierzy już dzisiaj czasu nawet ich bogowie są łaskawi
W swoich nieznanym wyrokach bardziej wyrozumiali od
Prostego człowieka głupca i filozofa których osąd wypełniłby
Niejeden morski brzeg rzeczne koryto skalne źródło myślisz
Że słońce obroni nas przed zgrozą świata coś nagle uderza
W serce intonuje pieśń Mousaios zegar wciąż milczy nocą
Pozwala ci wypatrzeć smukłą pochodnię kochanki pokonać kipieli
Złe języki wnętrzości pełne słonej wody płuca krztuszące się
Grzywami śmiertelność wrzeszczącą do uszu swoje prawa

Pieśń 15

Przetnę ci skroń kapie z niej jakaś ciecz o mdłym zapachu
Czy widzisz tamte słońca jedno nie istnieje realnie drugie
Jeśli gwałtownie poruszysz taflę wody może na zawsze
Zniknąć a z nim pierzaste chmury nie zobaczysz ich nigdy
Więcej oczy nie pomieszczą całego nieba pamięć zwietrzeje
Lepiej nich już obłoki płyną wprost nad nami tu i teraz
Jak te wczorajsze i jutrzejsze lubię gdy odbijają się w szkle
Krzemu malują szczupłość źrenic grubą kreską podkreślają
W nich coś ważnego podobnie twarze kobiet są tylko wtedy
Namacalne kiedy zagnieżdżą się w nas jak żółcień słońca
Tak samo nieogarnione żywiołowe suknie ich zmysłów
Ocierają się o mnie mógłbym przysiąc że wiem czego szukają
Na jedną chwilkę poddam się otoczeniu zaufam instynktowi

Subtelnej realności niewiele umie dotknąć zatrzymać w dłoni
Ostudzę skroń schłodzę myśli twoje niezdrowe podniecenie
Poznać po krzyku ptaków zbyt piskliwe nadlatują tu zewsząd
Dziobami penetrują me wnętrze w poszukiwaniu osobliwości
Robaki wiją się walczą lecz nie umkną zewnętrznym mocom
Ty również bądź ostrożny bo kiedy ciągle unikasz trudności
Wielu oddałoby chętnie trzos by cię pohańbić to zgraja jak
Tamta z Krety mistrzowie Epimenidesa prawdy pozornej
Kreteńczycy zawsze kłamią coś takiego niech by częściej
Myli swoje twarze ich uszy zwijają się w lejki a napełnione
Winem służą za kielichy wypróżniają prosto do czaszek
Leją słowa chórzyści setkami giną na niestrawność ciemna
Zaraza pod piersiami wypływa co ślina na język przyniesie

Sam twierdziłeś że słowa są jak późny owoc pęcznieją
Leżą w koszu jedno obok innych a tamte nad i pod tak
Bez końca bo ten kosz nie ma żadnego dna wytłumacz mi
Zatem chaos ową ciemność prabyt podobno nieokrzesany
Z powszechną ułomnością czy to coś więcej niż zwyczajne
Słowa może tylko fantazje jakich wiele zdobne w pstry krój
Prapoczątku ganiane z kąta w kąt jak hiena na mocnym
Powrozie wytrzymałym od lin z sanskryckiej juty zwierzę
Niby potulne a rozdrażnione przez głupców sieje popłoch
Wykrztuś prawdę coś co już było będzie twa miłość jakże
Jej trudno doświadczyć ledwie ulotna chwila nietrwałe
Uniesienie cierpkie zduszone w pustej krtani ptaki wracają
Wyglodniałe ile by czasu nie straciły na żer ciągle im mało

Zamknij oczy pod cieniutką powieką jest niemal wszystko
Najprawdziwszy początek wielki jak nieogarniona czerwień
Myślę że kolor sfrunął ze słońc płaskich kul ognia wprost
Z nas z wnętrza twych oczodołów prześwitujących na wylot
A co ze statusem dźwięków wychodzą z łanów fal morze
Przybliża je oddala to trochę monotonne próbuje uspić mą
Czułość tylko ryby świetnie się bawią i młodzież nieznośni
Uczniowie dokazują przy miękkim brzegu łodzie rzeźbią dno
Pękate chrzęszczą złością w latach rowki łowcze rybitwy
Kłóć się nurkują zupełnie jak ci bezskrzydli chłopcy otyli
Nienasyceniem długonogie dziewczęta jak czaple brodzą
Wyczekując zachęty lecz niedojrzali chłopcy próbują tłumić
Dźwięki ujarzmić ich piękno zamiast wykrzyzczyć miłość

Wolność trzeba upychać w wymiarze o jednym znaczeniu
Z wielostrzelistej idei układać prosty wzór wzdłuż jednej linii
Mówca który tego nie robi czy ciebie szanuje musi kluczyć
Słowa stara się wypowiedzieć zgrabnie z właściwym rytmem
Intonacją ciepłą barwą głosu lecz one wypaczają sens idei
Niszczą obfitość niebios wprost na agorę wysypują się
Zewsząd ludzkie trupy na minojskim rynku niewielu zdołało
Przetrwać noc i dzień stały się dla nich czymś więcej niż
Symbolem wiecznego przemijania karuzelą wszechświata
Spójrz na to z głębi źrenic rozszerzają się zwązają jak puls
Mitycznych fal każda ma swój początek lecz żadna z nich
Nim nie jest jedynie koniec wypełniają płytkie sadzawki
Tak namacalne że spacerując wpadam w nie nieopacznie

Chciałbym byśmy to my mogli stać się początkiem całego
Świata kolebką ludzkości emanacją prawdy pieśnią której
Melodię powtarza nocą rudy księżyc włóż już sandały stopy
Są prawie suche wtarłem w nie trochę oliwy skóra pękła ci
Wzdłuż pięt nie dbasz o to jakbyś miał żyć wśród samych
Nieprzyjaciół co z tą twoją arcywiecznością bez granic bez
Warunków czy ona też pochodzi z pradawnej nicości
A może raczej jest jej zaprzeczeniem wije się jak węże
W wodach libijskich cienie w krużgankach i niszach alei
Fajstos podobne pośpiesznym krokom na podestach wzdłuż
Zdartych stopni w poprzek zwietrzałych ścian grzejących się
W paradnym słońcu w procesjach sytych heter i młodzieży
Przestrzegającej uznanych reguł świątynnej prostytucji

Śmiertelni przedkładają zagadkowość nad zrozumienie
To absurdalne sadzawek jest coraz więcej sięgają głębiej
I głębiej zanurzone w nich stopy rozmazują się zmieniają
W szare plamy łąki bulgoczą wściekle wyznaczają granice
Z rzadka przelatują nad nimi stada zgłodniałych czapli
Ptaki w wypluwkach kryją kłęby sierści by własne pióra
Móc zamieniać na pstre runo klucz do uniwersalizmu pod
Nimi po polu kroczy postać która je uskrzydla pogromca
Wysokich gwiazd pan ryb w delcie żarłaczy wśród letniej
Rosy polnych kwiatów wodnych lilii król końskich kłusów
Gnających nad urwiskiem posłuchaj opowieści jeśli znasz
Ludzką mowę bo to wytrwały świadek łowczy obnażający
Znaczenie dziejów i tego czego ślad dostrzegam w tobie

Zatrzęsło się całe wzgórze rozhuśtany płaskowyż uszkodził
Dzbany z wodą rozerwał ziemski bukłak skalny dyskobol
Zrzucił kręgi granitu sformował tarcze wtłoczył w nie tajne
Znaki symbole i przepowiednie zagadki i rozstrzygnięcia
Ślimakiem zakreślił koła w środku nich w samym centrum
Opis najważniejszych proporcji lecz siłacz zatarł rewersy
Miarę rysunków sedno przesłania sens ludzkiego wysiłku
Chcę znać te tajemnice przyczynę i cel dla którego ukrył je
Przed człowiekiem przed całą przyrodą ryby też chcą to
Wiedzieć ptaki w głębinach serca tam gdzie od zawsze
Króluje miłość czyste uczucie skąpane w bieli lotek łęgach
Wiszących na wątkach światła ujawniających istotę kreacji
Jej nawet armia siłaczy nie zdoła pochwycić i zniewolić

Rozłupię te dyski istnienie korzeniami sięga głębiej niżli
Krytyczne rozprawy o ziemskiej egzystencji serce kamienia
Bije mocno jak ludzkie krew przetacza w nim pył rozrzuca
Na drogę a jego drobne cząstki odnajdują cię przenikają
Przez skórę i utrwalają pracowicie na dobrą przyszłość
Czyż nie są przejawem śmierci mógłbyś mi to wyjaśnić
Kwarc który rozłupałem skrzy leniwie drobinki splecione
W warkocz gnuśniejają jak polna grządka wysiana ciężkim
Dusznym wiatrem brodzą wokół bajora po mokrej łące
Muszę uważać na rozstępy pełno ich w skórze i pod darnią
Wiotkie korzenie wzór dla sideł chętnie schwytałyby me
Stopy wniknęły w sploty żył wzrosły nad czerwień serca
Drewnianym wierszem przez dziurę w kwarcowej głowie

Nie ufaj nagłemu wrażeniu choćby dawało niepodważalną
Pewność tylu wędrowców opowiadało o niej złote strofy
Zaklinało podziemny świat dolinę mórz rampę połonin
A kiedy przyszła wojna nie było miejsca na prośbę która
Mogłaby zatrzymać czas poskromić śmiertelną przyszłość
Słowa stawały się przezroczyście słyszał je tylko ślepiec lecz
Nie mógł nic poradzić bo i on umierał porzucony przez los
Do dzisiaj leżą tu białe kości z natury dziurawe rachityczne
Stratowane konnicą doznały wielkiej łaski mądry człowiek
Poprzestał na własnej śmierci ośmieszany przepędzany
Za życia tkwi teraz w jednym miejscu zapomniał z czym
Wiąże się ciągły głód coraz to dokuczliwszy ból codzienny
Strach który każe tkwić człowiekowi w moralnym błędzie

Zbierzmy do kupy kamienie chciałbym je wszystkie rozłupać
Nasz dobry świat skrył się w jednym z nich lecz jeśli nie jest
Racjonalny bałbym się go rozpoznać ty to zrób otwórz moje
Plecy opisz co jest w nich nie tak co zużyło się zdążyło ulec
Rozproszeniu wstydliwie pękło wzdłuż i w poprzek tamując
Ruch powietrza po co grzebiesz w wnętrznościach me myśli
Skryły się już ponad czaszką pod śladem stóp nie ma ich
W środku ciała zbyt dziwnym na sensowną refleksję czuję
Jak słowa gęstnieją zmieniają w ciemną lawę trą brzuchem
O podłoże kruszą na deszczu schną w wietrze ten chwytają
Pył w ramiona dźwiga nad masywy dźwiękom pozwala lecieć
W miejsca nieodkryte odsłonić je przed ludźmi zachwalać
Nowinkę ruszajmy i my by poznać jak bardzo są one ważne

Wyrzuć resztę krzemieni niech przyszłe pokolenia zgadują
Co oznaczają symbole tajne kształty zatarte kręgi pomogą
Im pożogi nienasycone zgłodniałe wszędobylski kataklizm
Opiekun upadłych ty do nich nie należysz wypełniony po
Brzegi sam urodzisz kamienie złote żółcią śliskie i gładkie
Te spod nadnercza wonne moczem szorstkie dorównujące
Oстрыm spiżowym żerdziom boleści cię nie ominą będą
Jak uczta bogów poznał to syn Ajolosa sprytny zuchwały
Znany ludziom z uporu z jakim toczy bryłę za kradzież stu
Tajemnic porwanie Tanatosa bogowie nie poprzestali na
Podziwie znali karę posłali człowieka na śmierć lecz potem
Odesłano go z Hadesu za siłę ludzkiego rytu domniemanie
Nieśmiertelności oszczędź skrzydła motyla są jak żywe

Niezwykłość uprzedzi twój ból jak zemsta zaspokojenie
Tobie wydaje się lepsze przebaczenie od kary czyż nie są
To słowa Mityleńczyka ajsymneta śmiertelnego pogromcy
Ateńczyków dla wielu ludzi tyrana lecz dla ciebie mędrca
Głoszącego pochwałę zgody bezkrwawego zwycięstwa
Rezygnacji z przelewu niewinnej krwi a przecież właśnie
On zadrwił z nas w żywe oczy trudno jest być dobrym
Człowiekiem krzyczał na cały świat wyganiając Safonę
Znawczynię dziewcząt i wierszy miłosną pocieszycielkę
Nie udawaj głuchoty twe uszy nie mogą nie słyszeć pieśni
Jak odnajdziemy tę jedną jedyną prawdę kpisz ze mnie
Dróg do niej są miliony więcej niż słów którymi chcę ją
Nazwać myślę że to dlatego tak ważna jest w nas liryka

Pieśń 16

Nie wiem czy i ciebie wygnają ja dawno temu uciekłem
Wciąż ukrywam się nawet przed samym sobą a pościg trwa
Nie gubi tropu co dla człowieka lepsze poddać się pozwolić
Pojmać dać fałszywie oskarżyć szczerząc bez prawa do
Litości szczypce zadniają o milczenie oszpeca wyrwą język
Będzie podobny do sandała musisz uważać w drugim przy
Cholewce pasek wisi na włosku w tym stanie nie wchodzi
Nigdy do świątyni w niej obrażają się chętnie za byle co
I jeżeli im powiesz kim jesteś natychmiast stracisz szansę
Szybciej niż tyłu śmiałków z niewyparzoną gębą rzucających
Wyzwiska w twarz hoplity doświadczanych przez jego
Gromki śmiech mógłby za narzekanie ciąć mieczem wstrętne
Mordy lecz wie co to bierna agresja królewskiej biedoty

Skarga niesiona na agorę rozbudza irytację nie tylko w nim
Zraniona pycha traci urok mężczyźni tępią w krtani zęby
Toczone złością oczy tłumnie szukają kozła ofiarnego
Ich kobiety winny być mądrzejsze bywalczynie świątynnych
Uczci służki trafnych wyroczni lecz wszystkie dziwnie milczą
Nie chodzi mi o wyniosłość chłodny dystans czuję przy nich
Niepokój trudne do uściślenia niebezpieczeństwo zagrożenie
Umyka uwadze wpatrujesz się w drżące wargi spragnione
Czegoś i zarazem niechętnie by ich wilgoć dotknęła bruzd
Spękanej skóry może to nic groźnego zaledwie sprawdzian
Wolnej woli mocnego postanowienia bez niego nie może się
Nic ważnego zdarzyć oprócz pogardy jedyna nie wymaga
Dbałości o siłę wyrazu liczy się tylko skuteczność choroby

To jest kara za samotne noce pełne czekania niespełnienia
Nagroda za spotkanie oko w oko z samym sobą zadreczanie
Z tak niejasnego powodu byłoby wstępem do samozagłady
Zdrowy rozsądek podpowiada że to przejście ludzkie
Słowo twoje moje czy kogokolwiek innego nie jest w stanie
Nazwać czegoś co jest zbyt blisko wchodzi w ciebie niszczy
Zatracaś bezpowrotnie wzrok innym razem patrzysz w dal
Obłoki są nierealne niszane w przestworzach na zagadki jak
We śnie mroczne lecz po chwili cieszą słoneczne biegiesz
Na dziewiczą polanę ścieżka jak zawsze widzi dużo więcej
Ich kobiety już tutaj są znoszą uschnięte drewno na ogień
Z giętkich talii zdejmują peplos orłom chcą przekazać tajny
Sygnał instrukcję niesioną burym skrzydłem dymną lotką

Skrzydła wzniecają wir chronią serce przed ręką człowieka
Zaufasz udasz w podróż lecz jesteś przecież bezskrzydły
Taki wojaż może wywieść w pole tajne znaki skierują cię
Do propylonu porzucą na skraju udasz się między rzędy
Kolumn nieopatrznie przekroczysz próg co robisz czy sam
Chcesz się zniewolić zagubienie nie jest czymś najgorszym
Obserwuj słoneczny zegar dzięki jego cyklom z łatwością
Wskażesz półcień na różu księżycy jest teraz w pełni ktoś
Inny to potrafi nikt nie odbierze ci pierwszeństwa w dzieleniu
Czasu mnożeniu przestrzeni te kobiety spółkują z wielorożcem
Niektóre wchodzi nagie w płomień i jedynie garstka prochu
Będzie świadczyć o ich realności potem ktoś odważny omiecie
Palenisko zgarnie na szufłę popiół powiąże w drobne supełki

Słyszałem o szaleńcach nieokrziesani śmiałkowie chcieliby
Na leśną polanę rzucić cień srebrzony w nowiu by przyćmić
Złote słońca uwierz to nie może się udać jeśli zamykasz oczy
I wszystko otwiera się przed tobą gotowe ogrzać zastygłe
Myśli rozbudzić naturalny krytycyzm nie staraj się uciekać
W nierealność porzucić zmysły odtrąć samego siebie te
Dziwne kobiety wciąż tutaj są one nie zmieniają się prawie
Nigdy każda zanika w samotności spala w mistycznym ogniu
Rozpada na drobne cząstki strzępy istnienia właśnie po nich
Drepczemy bez stosownego szacunku dla zbiorowej pamięci
Zbyt łatwo wymaga się od kogoś innego by przyznał kim jest
Trudno poznać samego siebie te kobiety wiedzą lepiej od
Nas że noeza tkwi poza nami liczą się tylko boskie skrzydła

Z otoczenia trzeba zerwać twarz człowieka przyglądam się
Najstarszym drzewom słyszę ich szepty potoczne rozmowy
Dopytują w nich o deszcz rosę źródło ze świeżą wodą bez
Niej nie dotrwasz do jutra przekwitniesz na wiór stawiając
Mnie w dwuznacznej sytuacji a przecież drzewa pochodzą
Z twojego chaosu swoim prostym życiem wyznaczają ukryty
Wdzięk wszechświata całkiem odmiennie niechaotycznie
W korzeniach zebrały krople rzucone w dziwny rozszczep
Pomiędzy pniami gdybyś wszedł weń choć jedną stopą
Odkryłbyś zwiniętą przestrzeń to co łączy nas z gwiazdami
Tam nie ma miejsca na bogów ich chucie schadzki i kłótnie
Tylko my możemy oprzeć się o jej krawędź zgłosić pazerne
Roszczenia w których ty wciąż pomijasz me ludzkie prawa

Jak człowiek w upał chłód z górskiego strumienia tak drzewa
Od setek lat z głębi ziemi sączą prazasadę której życiowa
Moc przeważa mordercze żywioły ogień próbuje strawić pnie
Młodniaka słońce rozpala ściółkę szalem kładzie płomień
Smali wierzchem kory a drzewa czy widzisz co robią wprost
Na języki żółci pompują swoje zapasy napastnik zmienia
Barwę brudzi jasną czerwień ucieka w purpurę okręca w lilię
We wrzosey w końcu sinieje żywioł syczy cofa niechętnie żar
Już po wszystkim pożar dogasa sądzisz że w drzewach jest
Coś więcej niż zapach wilgotnej ziemi plądrowanej żywicy
Cień i wystrugane z belek drzazgi my też pachniemy mój
Bukiet rozkłada się składa w zależności od twojego humoru
I przypadkowej kąpieli w kałuży lub przydrożnej dziurze

Wspólnie ustalmy zasady niektóre są ważniejsze od całej
Reszty a jakby nie pochodziły ani ode mnie ani nawet od
Ciebie czy mają coś wspólnego z tamtymi kobietami część
Z nich zmieniona w pył chwyta za gardło pozostałe nadal
Płasają coś próbuje i je pozbawić życia naznaczona piętnem
Zaródź czy może mądrość jeśli odkryły tajemnicę strzeżoną
Przez armię teologów zatroskanych o istotę świata zgubiła
Je ciekawość uparta dociekliwość poznały prawdę o której
Nic nie wiemy pytamy o nią przeczuwamy wzruszeni lecz
Jedynie krążymy w kółko fantazjujemy obwieszeni amuletami
Okadzeni czarami skończymy na poboczu zbutwiali niemi jak
Ten pył zaduszony kołami wozów tętentem koni stopami ludzi
Kąpiących podarte twarze w eterycznych promieniach słońc

Z martwej już Lidii wracają najemnicy niegdyś bardzo młodzi
Wzywający osiłków do zapasów dziś wielu w biedzie niewielu
W bogactwie postarzali dźwigają złoto obmyte nurtem Hermos
Skrzącym się od błyskotek kuszącym przybłądów oni chętnie
Sięgnęli po świecidło spłodzeni marzeniami o lepszym świecie
Nienawiścią do Sardes gorzkiego wiecznie miasta żywego
Dwornością królów martwego ciszą ogrodów wypełnionych
Trupami żalem żywych i złym przeczuciem usidlonej zwierzyny
Zbyt dużo w tobie pesymizmu defetyzm i ponuractwo bez
Choćby skrawka nadziei zabije nas przed czasem w miejscu
Najmniej właściwym w chwili namysłu nad rolą przemijania
Potrzebą trwania drogi prostej krętej sypanej z naszych kości
Słonecznych piszczeli i gubionych pod osłoną nocy dusz

Drepczą scytyjscy łucznicy marne niedobitki i ani im w głowie
Zagrzebać co nie spalone spopielić co nie grzebane szczątki
Obdarte z ciała teraz są niczyje wkładał je często w stroje
Kpiarz sprośny durzącym językiem pamiętasz pieśni drwił
Z prastarych bogów szydził jak obłąkany wyśmiewał procesje
Nie składał bóstwom ofiar nie śpiewał im hymnów wszyscy
Bali się kary żarłocznej szarańczy ciężkiej agonii po wizycie
Mojry zniknęłoby wrzeczono Kloto a Lechesis o nic by więcej
Nie zadbała Atropos przecięłaby nic oznakę śmiertelności
Kres życia bogów i ludzi to byłby niechlubny koniec świata
Ludzie nie chcieli stać bezradnie zhańbić się zawstydzeniem
Śpiewak zginął zabrakło mu powietrza na środku drogi wpadł
Do martwej pustki wtlaczającej w odstępców stan bezdechu

Starzy młodzi chwalili sprawiedliwość podobni doskonałemu
Kłamcy który lubi składać sprzeczne zeznania nikt pieśniarza
Nie żegnał nie rzucił choć obola Charon mu nie pomoże
Dotrzeć do podziemia Tartar to świat bogaty jak nasz tutaj
Lecz kto nie napił się wody by zapomnieć będzie swój świat
Pamiętał zmarnieje z tęsknoty za przeszłością dla takich dusz
Śmierć nie różni się niczym od życia wiecznie krążą jęczą
Mamroczą coś pod nosem czuwają przy kruchych kościach
Droga buzuje od kurzu pełnego wspomnień są wszędzie jak
Spopielone kobiety które wciąż próbują odebrać mi część
Przestrzeni wyszarpać z okrycia ochłap sukna odciąć smukłą
Stopę z koślawej nogi już zabarwiają na czerwono obie dłonie
Wnikają w ramiona lgną do piersi drążą w niej wielki otwór

Bucha ciecz pniąca się parująca huczająca wodospadem
Co może oznaczać taka odmiana żywy płyn wycieka z duszy
Wiatr niesie krople ciężarne żelazem one z powrotem wnikają
We mnie przechodzą na wylot pędzą nie trudzone zatrzymam
Jedną niechby wzmocniła słabe serce oczyściła naczynie na
Sumienie do tego potrzeba ognia pomóż mi go wzniecić świat
Jest czymś więcej niż samą realnością bezradność którą żywię
Wobec niego mógłbym łatwo zwalczyć użyłbym siły śmiertelnej
Czuję ją jak przelewa się ze mnie wodonośnie sztormem burzą
Krwawą dłonią sięgnąłbym bezliku słońc księżyców pomóż mi
Nie stój z boku bo przyjdzie zaraza jeżeli nie spalimy szczątków
Mówcy okadźmy je zakopmy w pobliżu ryzyko profanacji jest
Nieznacne patrz łucznicy ni stąd ni zowąd formują szyk bojowy

Celują w jednorożca jakby był skazańcem z chmarami much
W miejscu kaźni człowieka wiszącego u szczytu okrągłaka a to
Jedynie iluzja rozgrzała emocje zbrojnych piechurów osaczyła
Owadzi wrzask zawiesiła na nim ton rżenia głos konającego
Straceńca kto zdoła nas uwolnić od błędnych spostrzeżeń tyle
Tego wszędzie panoszy się służy głupcom za prawdę przez
Naszą bezmyślność ginie co żywe radosne niosące śpiewną
Miłość z twoją pomocą mógłbym zniszczyć armie i ich wodzów
Herosów silnych wiedzą równych stu żywiołom nieosiągalnych
Ze swojej natury dla ziemskich istot dlatego potrzebuję ciebie
Skąd w rzezimieszkach to pragnienie by miarę pospolitego
Mordu pogodzić z wolą niebios szlachetną zwinność z celnym
Ciosem miłość do życia z pogardą a ludzkie dobro ze złem

Pieśń 17

Kontemplujesz tę czaszkę zbyt długo intencje nie zastąpią
Ceremonii tak jak kurczowe trzymanie się życia nie jest
Żadnym uzasadnieniem dla nieśmiertelności ona być może
Tkwi w tobie a co ze mną czy mógłbym poznać naturę śmierci
Jeszcze przed zgonem gdy kluczy bez jasnych reguł zupełnie
Nie liczy się ze mną a ja zawsze jestem w drodze i nawet nie
W połowie przy nowiu nakładam pijawki najpierw na uda plecy
Potem na szyję i twarz po godzinie trudno je stamtąd oderwać
Skóra krwio pijców rozciąga się do granic możliwości sinieje
Od ciśnienia w końcu pęka zmieniając status egzystencji
Zwierzęta odpadają półżywe a moje ciało nie puchnie aż do
Nowiu łase świata węchem smakiem ślinokrwistym odruchem
Zrodzonym w lędźwiach oczu kroczech uszu draperii języka

Szlachetne cele piękno dobro prawda nieliczne potknięcia
O których nie pamiętamy zawinione nie przez nas szkoda
Cennego czasu lepiej skończmy fantazje wróćmy do matron
Młodych chłopców szalonych uniesień w miejscach skrytych
Niepowtarzalnych gdy w tajemnej ekstazie oszołomieni
Nadzieją na spełnienie zrzucamy strach stroimy w wolność
To się już więcej nie zdarzy czcze marzenia kurz naszej drogi
Powinien je usidlić zakryć wypukłe oczodoły puste złęknione
Na czaszce resztki włosów watek wiatru porusza suchą masą
To jest misterium powrót do nicości na wieki nieokreślonej
Zakrytej przede mną musisz jej strzec jak oka w głowie jak
Tych pijawek bura czerwień zamyka je w czymś na kształt
Bandaża wiszącego przy sercu ciężącego ku nieznanemu

Śmierć nie zwraca uwagi na dywagacje w głowie zostawia
Dziury po uszach co miękkie znika bez śladu zęby choć
Twarde wypadają zadba o nie Gorgona wnet spotwornieje
Meduza zagładnie ci w oczy i jeśli w psim hełmie Hadesa
Nie skryjesz twarzy rychło staniesz się bezimiennym głazem
Głowy Cerbera nie mylą się martwych nie przegonią śpiewak
Zna już boskie wyroki niech go tylko nie pošlą na łąki Elizjum
Pełne mdłości wyblakłe z włosia asfodeli wsłuchane tępo
W lirę dusze nie mają tam czucia snują się jak cienie bez
Emocji bez celu taki świat nie dla buntownika choćby i głupca
Czczącego co puste w środku pełne na zewnątrz niech pije
Duszką wodę z Lete by zdusić wstyd poznać odmieńców
Herosów ci powiedzą mu prawdę o prawach i wyjątkach

On córkom Danaosa niech w zamian beczkę bez dna poi
Życiem lanym w sita bo choć na bakier z ludźmi był wielkim
Człowiekiem nikomu nie mów o pogrzebie zajadli wrogowie
Wytropią nas i jak się wytłumaczysz brakiem rozsądku
Szacunkiem dla starości religijnym nakazem kultem bogów
Może miłością do mężczyzny głupcy są siłą głupców sławą
Tyranów ich przebiegłością powtarzalnością naszego losu
W rękach krwawej Moiry tylko bezkres nie widzi nie słyszy
Trwa ponad wszystkim sam jeden pełen świata i z nim twojej
We mnie zgryzoty bo poszukujesz świętości tam gdzie chłód
Mierzy się z zimnem z mrozem siarczystym zamiast tam
Gdzie kula ognia spada wprost do krateru życie tryska tężeje
Staje się urodziwe kwitnie wyzywająco kusi na środku drogi

Zachwyćmy i my świat niech zoster płacze się a peplos
Będzie nieprzyzwoicie długi ciekawskie słowa wpadną weń
Zagubią stracą animusz nie można na nie liczyć wciągają
Cię do gry bez zasad wymuszają artykulację melodyjność
I rytm żądają uznania następstwa słów których chcesz
Uniknąć w końcu decydują o twoim losie nie słuchasz mnie
Wciąż ważysz w myślach egzekucję człowiek na palu jeżeli
Realny to właśnie kona lecz dobrze wiedział droga oznacza
Wygnanie kalectwo cóż warte potem ciało gdy szcześnie
Przygarbiona sylwetka przyciąga wprawdzie oko jak i piękna
Wysportowana gdyby był Tyrtajosem filozofem lub efebem
O zmysłowym torsie szczupłych udach oratorskie ćwiczenia
I twarda męska przyjaźń pozwoliłyby uciszyć ludzką zawiść

Jedną nogę miał chromą wyraźnie utykał jak słońce ciemną
Nocą gdy księżyc się z nim droczy spójrz niedaleko skazańca
Dwa drapiezniki obserwują mysz nadzianą na cierń krzewu
Rudogłowy ptaszek zaleca się do czarnoszarej samiczki tego
Nie wiedziałem ludzka i mysia agonia sprzyjają miłosnym
Uciechom cóż znaczy niefrasobliwość on utykał przez sandał
Rzemień oblużował się na dobre a pod koniec dnia stopa
Spuchła jak bania naciął ją ostrzem miecza jad trysnął mętną
Cieczą w szafranową żółć wzorzystej chlajny fiolet dosięgnął
Szybko uda człowiek już wtedy konał bezradny jak cień dnia
Złapany wieczorem przez sen ociągający się lecz powieki
Zmierzchu opadały jedna po drugiej tysiącami myślałem że
To orły w szponach niosą świeżą jutrznię na przekór śmierci

Wciąż ma w sercu nadzieję modli się o cud jak on chce żyć
Za późno ludzie go dawno opuścili nasze potężne bóstwa
Karzą za brak rozwagi za starość utykanie brocząca ciecz
Ten pal jest dobrze naostrzony ptaki zaatakują jutro mchy
I ważki najpóźniej tuż po zmierzchu zewrą gwałtownie szyki
By walczyć o na wpół-żywego trupa ciebie również to czeka
Jeśli nie będziesz milczał przy tych którzy podchodzą cię
Grzecznie słuchają by w zamian za dzban wina donieść na
Mnie wyprzedź ich zmyślną zasadzką napój zatrutą wodą
Cały świat i wszystkie jego przeciwieństwa wyłaniają się
Z podstępu bezkres panuje nad nim jak śpiewak nad losem
Skłóconych bohaterów ich dzieje są przestrogą bo końca
Sporów nie widać co w zamian przewrotne mity i dualizm

Nieskończoność jest przyczyną powstawania i rozpadu
wszystkiego te słowa nie mogą za nos wodzić bo miasto
Zaraz zadrwi zaczną krzycheć jesteście słabymi poetami
Aż agora trząść się będzie bezlitośnie trzeba tego uniknąć
Kierujmy słowami a okazji do przeżycia kolejnego dnia na
Pewno nie zabraknie popatrz jak cieknie z niego woda cały
Słup jest wilgotny jeżeli Okeanos i Tetyda rzeczywiście
Ufundowali nasz mokry świat to ten wieszcz jest dobrym
Tego świadectwem żywe żyje wilgocią martwe od niej ginie
Wilgoć płynie ku ziemi ciąży wszędzie gdzie przyszło jej
Zagościć nie powstaje nie znika jak kara za uskrzydłone
Słowo jeszcze nie czyn za ledwie jego lot gdy bajecznie
Szybuje acz niezdolne uciec strażom wzbić niedostępnie

Opowiedz mi o źródle czy jest w nim choć jedna nagroda
Która nie zamieniłaby się w ciąg niezasłużonych kar moje
Tęsknoty często przeczuwają ją deliberują z czego mogłaby
Powstać by móc być zarazem tutaj i gdzie indziej wszędzie
Dla dobra całej ludzkości z tego biedaka ucieka właśnie
Blizsza szczerowi tonącej łodzi niż moim tęsknotom kurz
W drodze szczęśliwie jest nadal suchy stopy dzięki temu są
Prawie czyste postawa wyprostowana zarost nieznacznie
Oprószony pył jak woda panoszy się wszędobylski słyszałem
Że natura bawi się kształtem zawsze ta sama doskonalsza
Od wszystkiego co nas otacza bardzo dziwne nie uważasz
Nanizany na pal mężczyzna czy nie jest jej częścią widowym
Kształtem zatem o nas musi stanowić coś poza mną i tobą

Tego czegoś nie można wbić na pal istnieje nieskończenie
Wielowątkowo szybsze niż sokół dzienny płomykówka nocna
Niż moja miłość gdy pędzi we mnie zdecydowana na więcej
Zwariowana i nieuchwytna co robisz natychmiast wypluj kij
Chcesz być do końca życia sztywnym jak żołdacka włócznia
Kozioł wbity na pal jeżeli koniec nie istnieje co sięga dalej
Poza gwiazdy jedynie krótkie uniesienia zadurzenie w tobie
Ile gwiazd musi zgasnąć by narodziły się kolejne na przekór
Bezkresowi nadal twierdzisz że nieskończoność jest boska
Bo jest nieśmiertelna i niezniszczalna zatem życie i śmierć
Wszystko co widzę jest zniszczalne a miłość niepoprawnie
Powszechna nieposkromiona kto zdoła ją w nas ograniczyć
Chyba my sami geniusz równy tobie i ja życiowy nieudacznik

Pojawia się co chwilę nie sposób nad nią zapanować sięga
Wprost po podbrzusze dreszczami wpina w sploty karku
Gorąco walczy z chłodem żywioł nadaje miłości kształt
Intymnych zmagających zniecierpliwienia prowadzącego do furii
Jeden dotyk mógłby stać się samospełniającą przepowiednią
Chciałbym go wówczas zatrzymać by rozkoszy starczyło na
Zawsze gdy ocierasz się o mnie cały drętwieję zamykam oczy
Próbuję cię doświadczyć w sposób bez którego żaden kres
Nie miałby sensu gorąco bucha ogień roztopia lód wzlatuję
Jak opary mokradła by opaść zastygnąć zamienić w rozlazłą
Bryłę ale tego też nie mów nikomu zwłaszcza gdy kto będzie
Z cudzego naczynia wznosił toast za twoje zdrowie częstuj go
Własnym trunkiem z jadem kobry żmii grzechotnika zaskrońca

Wcześniej czy później stępią cię spróbują podle wykorzystać
Z przymusu lub konieczności staniesz po stronie pospółstwa
W obronie złej narracji śliskich ciemnych treści dla nich liryka
Jest odwiecznym zagrożeniem przez górnolotność ironiczne
Aluzje nieroztropny krytycyzm poetycką prawdę jak długo
Mieliby tego słuchać rzeczy są takie same niby martwe wciąż
Pragną dominować walczą o przestrzeń wyłączność na równi
Z ptakami stymfalijskimi odpornymi na kołatanie herosa
Zbrojnymi w twarde dzioby żelazne pióra śmiertelne odchody
One nie są nawet z orszaku hippokampów a chcą zawładnąć
Oceanem czyż nie powinna ich spotkać kara za zuchwałość
Egoizm brak refleksji że siła jest ich zgubą tylko kto uwierzy
W słabość wyrzeknie się męstwa cierpliwie zniesie swój upadek

Jeśli ty byłbyś początkiem istnienia wszystkich rzeczy świat
Ocalałby przed zgubą nie wiem jednak czy zdołasz zatrzymać
Czas bez tego każdy piękny początek z konieczności staje się
Śmiertelnym zagrożeniem słowa jak rzeczy prowadzą między
Sobą wieczny spór o prawo do pełni życia nieustannej ekspansji
Zaniedbują władzę Kronosa nie liczą wschodów słońca trybunał
Wymierzy im doczesną sprawiedliwość grzywną zazwyczaj jest
Czas immanentny morderca niestrudzony stróż wzrostu i zaniku
Symbol ułomnej podzielności życia na długo przed śmiercią
Powiedz mi dlaczego również i ja mam płacić za zuchwałość
Z jaką świat dąży do zdwojenia przecież nie posiadam nic poza
Tobą nawet drogę którą teraz idziemy już dawno nam odebrano
Dopiero we śnie wszystko to bywa moje wtedy nie chcę żyć

Pieśń 18

Idą tu jacyś ludzie sterani marszem myślisz że Sabarytów
Przywiało do nas ich ulice domy legły w gruzach zatopione
Głęboką rzeką sam Milon przewodził Krotończykom w dziele
Zniszczenia lecz popadł zapaśnik w pychę choć śmiertelny
Jak inni ludzie zrównał się z bogami zapomniał o proporcjach
Z jakich składa się dobry świat została po nim para dłoni
Sinych przytrzaśniętych przez przydrożne drzewo to ono
Duszę oddzieliło od krwiobiegu zdarło mięśnie pogruchotało
Kości wilczą zgrają zaprosiło na ucztę wsparło co zniewolone
Bólem i szybką zgodą na śmierć świadomość nieuchronności
Czegoś co nadchodzi kosztem twoich praw czyż nie jest
Świadectwem dojrzałości mieszanina tkliwej nadziei goryczy
Zawziętość i rezygnacja niegodne szczap drzewa w uścisku

Nie pomogło poszukiwanie skutecznej modlitwy cudownego
Zaklęcia próby porozumienia się z duszą drzewa okazały się
Bezczelowe włóczędzy zapamiętali jedynie oznaki buntu plan
Zdobycia władzy nad przyrodą przywilejów dla ludzi ani w nim
Słowa o kosmicznym ciele ziemskich drzew nieziemskich słońc
Dziwni ci ludzie wszyscy patrzą w gwiazdy ścieżka mocno
Ukorzeniona nietrudno potknąć się upaść zwichnąć dłoń
W nadgarstku jeśli ci nieszczęśnicy słyszą tajemną muzykę
Sfer znają kształt ziemi wypukły nie wklęsły czegoż więcej
Potrzeba myślącym istotom jak sądzisz wiedzą co ich czeka
Wspinają się na wzgórze tam gdzie skryta przepaść dopada
Zapatrzonych wchłania bez emocji idą jedną jedyną drogą
Wieloma nie sposób wiatr tak łatwo zaciera ludzkie ślady

Na pewno już po wszystkim nawet jeśli nie tutaj to jeszcze
Przed ucieczką pochłonał ich wielki pożar zuchwałej Krotony
Tamtego dnia rozwiązywali równanie całego świata szukali
Punktu linii powierzchni i bryły tak doskonałych jak oni sami
Byli i byliby znaleźli prawidłową odpowiedź w zagadkach
I liczbach lecz płomienie przerwały dociekania pozostało
Złudzenie że wciąż trwają odmierzają porządek harmonię
Kosmosu chcieliby jeszcze tylko dotknąć Antychtona i mogą
Umrzeć oto siła wizji poeta winien milczeć o tym czy krzyżeć
Jak pospolity filozof liryka obcuje ze śmiercią niechcianą
Siostrą wypełniona pięknym umieraniem karmiona wstydliwie
Mirtem miłosna sycona ciężarem smaku litrażem zapachu
Wymagająca od ciebie kunsztownego przecięcia pępowiny

Rzucać w nadmiarze czego nie ma jakże naiwny jest rodzaj
Ludzki gdy żąda strzał Abarisa za kiepską lekcję o liczbie
Za kultowy tetraktys manierę boskości za żywą łunę ognia
Z tyłu pleców pod łopatkami w krzyżu u szczytu miednicy
Doskonalszą od słów czuję ją jesteś wtedy koło mnie
Patrzysz w spełnienie wszystko mógłbym dziś zmierzyć
Tym spojrzeniem cień sylwetki pod nim ukrywasz prawdę
A gdybym i ja przysiągł na tego który dał nam tetraktys źródło
Odwiecznej natury odwróciłbyś się ode mnie skoro to nie ty
Skazałbyś na pastwę losu nie strasz proszę dziesięć słońc
Zamarło światło gaśnie na niebie księżyc zdaje się ocierać
O me włosy liście spadają z krzewów kwiaty z łodyg litery lecą
Wprost pod nogi złote sentencje znów tracą powab kruszcu

Po co mam szukać prawdy pełno w niej strachu i ze strachu
Wiary nie sposób to pominąć choćbyś wyrzucił z nieba całą
Zgraję zburzył gaje świątynie i ołtarze spalił kapłańskie stroje
Czujesz jak słowa od ciężaru gną się gęstnieją stygną ptaki
Kładą powietrze przy dnie podnóża ryby z zatoki czekają
Na wezwanie sygnał z twojego świata wieczorem opuszczają
Żerowiska skończą w podwodnej przepaści sprawdź szybko
Co się dzieje upewnij że pieszych już nie ma na żywych nikt
Nie czekał byliby tu obcymi nawet ty sam wszechwiedzący
Palcem nie kiwnąłeś by móc ich ratować ludzie w większości
Są źli jak te wszystkie rzeczy wokół ciebie trzeba by zmienić
Naturę na ciąg dobrych zdarzeń a może nie jest tak szpetnie
Śmierć całe życie nas hołubi a my nie chcemy o tym słyszeć

Twoja siła i pewność w wymiarze ludzkim są jak udomowione
Zezwierzęcenie naiwna wiara w brak sprzeczności pomiędzy
Dniem wczorajszym i jutrzejszym wsłuchuj się w nasze pieśni
Barwne melodie tony dźwięków mistycyzm morskich pływów
Miraż obłoków po kosmiczny bezkres oszczędzaj swoje życie
Nie traw go troskami doprawdy nawet mędracy tracą geniusz
Przez zwątpienie co rozumne wymyka się jakbym i ja miał żyć
W pustkowiu rozmawiać z głuszą przemowa na agorze marna
Czy kunsztowna odbierana jednako w mieście morderców
Poeta nie doczeka zmierzchu znać to z blamażu oskarżenia
Fikcyjności obrony fałszu sędziów znać zanim księżyc sięgnie
Krwi spod skóry nim łydki spuchną od sił sączonych z nowiu
Kwarty by podczas pełni ciec z sandałów wprost w klepisko

Co zamierzysz w południe nie dotrwa do wieczoru zachowaj
To w rozumie nie okazuj strachu musimy być normalni
Nawet wśród siepaczy sługusów władzy i udułych głupców
Zaoszczędź na nieładzie uciekaj już teraz nie zwlekaj
Bo wzbronią ci wyboru wniosą czarę z trucizną tak kończy
Niechciany bohater jego imię i dzieła pamięć o nim godziwy
Szacunek trafne sentencje napisy zdarte z tablic rulony
Spalone uczniowie pozbawieni rąk języków wypędzeni
Za zbyt bliskie związki bezlitosne dla fasadowych wieszczów
Solidnie opłaconych mistrzów fałszu nie chcę tak umierać
Zagubiony w otchłaniach spuchnięty od wielości domysłów
Na temat natury wszelkiego zła istnieją także antypody gdzie
Górami jest to co dla nas dołem poezja tym czym prawda

Zostawiłbyś mnie samego ta droga pochodzi z natchnienia
Życie powstało by nieznane wciąż mocowało się ze mną
Jak ty codziennie wytrwale w wiadomym tylko tobie celu
Człowiek zjada zwierzęta składa je w ofierze co wie o duszy
Wędrownice w kole wcieleń właśnie dla niego jednorozec
Zorzę rozsypał w warkocz on przywiązał wiatr do twardych
Pni naszych dwóch prastarych cisów zgromadził krople
Deszczu na dnie martwej zatoki może także i ty pochodzisz
Wprost od niego ślepo że oko wykol ptaki ziemnin zrzucają
Toksyczne słowa czarne rzadkie jeśli zanurzysz w jedno
Z nich silniejszą dłoń zostanie po niej ból wspomnienie
Ze słabszą nie ryzykuj bo wyjmiesz rękę żelazną pancerną
Nie zdołasz jej powstrzymać skoczy ci do gardła i zadusi

To że spojrzeniem sięgam jednorożca należy do przypadku
Pomyłki bogów kaprysu natury całe powietrze pełne jest dusz
Które nazywają się demonami albo herosami przyglądam się
Uważnie delikatnie dotykam ocieram skrońmi nurkuję w ich
Sterczące oczy twarde jak kwarc ostre jak złe słowo ciężkie
Jak dusza w ciele człowieka lecz one nie wiedzą że mają ciało
Zbrodniarze barbarzyńcy też zapominają o swoich duszach
A gdy przychodzi czas rozliczeń trudno im zrozumieć kim byli
Dokąd dojdą którą drogą z kim trują bez potrzeby za późno
Na ratunek siła słowa niedokończonego niegdyś porzuconego
Przez człowieka wróci wcześniej czy później przypomni się
Wmiesza w żywe sprawy by rozdzielić co wśród nas uchodzi
Za terazniejszość zerwać cieniutką nić mistycznej tożsamości

Owoce ludzkiej duszy tkwią w pniu barwnej poezji liściach
Soczystej liryki nasionach nowych pieśni słyhać ich dźwięki
Czuć drgania powietrza to duchy wędrują tą samą co ty drogą
Zbierają zmoczony chrust suszą go na słońcu podrzucają
Iskierkę byś mógł oczyścić swoje wnętrze rozprostować kości
Ale nie noś się dumnie ludzie tego nie lubią wyzywająca
Postawa wspiera gniew gapiów chętnie ocenią cię spode łba
A i martwi przybędą by ich wesprzeć uderzyć z zaskoczenia
W podbrzusze w kark dusza żywi się krwią jeśli to prawda
Krwi zaraz braknie skąpią się w niej insekty wytarza wieloróg
Smukłe ptaki zbiorą skrzątki okruszki zginie też twoje miasto
Choć wolałbym by było mym nauczycielem pytasz o ratunek
Nie jestem jednym z archontów przecież nie mam pieniędzy

Cywilizacja dała nam niemal wszystko czyż to nie agorze
Zawdzięczasz nieśmiertelność tam możesz być grafomanem
Lub wielkim poetą nie tak dawno recytowałeś piękne strofy
W twarze ludzi którzy w chorej euforii chcieli cię zamordować
Jedynie czas zawodów uratował nas przed samosądem
Akropolis pełne sytych mówców lecz my byliśmy intruzami
Wzburzyliśmy emocje a ty odmówiłeś pomocy gdy chciałem
Je zdusić zanurzyć w chłodnej wodzie jak dzban rudawy
W źródle z początku pusty napełniany gwałtownie zrównany
Ze źródłem otacza je pierścieniem dotyka glinianą skorupą
Tworzy krąg jeden i drugi zatacza spiralnie z łatwością
Godną zwinnej ryby słyszysz chlupot fala uderza o brzegi
W morzu młody narybek cieszy się z nienaturalnej wolności

Może ryby żartują z Eudymiona drzemie przy pieczarze
Kto powie kiedy usnął kto zbudzić go może idź tam pomóż
Biednemu on czeka na bogów zakochany w bogince widzi
Tylko kontur Selene świeci w koło szuka go w ciemnościach
Któż śpi gdy szczerze kocha Hypnos chciałby pomóc uniósł
Ciężkie powieki lecz pasterz to człowiek sen lepszy dlań od
Jawy od świata tak ułomnego że pozbawia złudzeń a on
Pragnie miłości marzy o wybrance idź tam zbudź w nim
Kochanka niech chłopiec wyruszy jak ty niegdyś przed siebie
Bez względu na bogów droga miłosna tak łatwa ta przez
Zrozumienie nie jest prosta bo jeśli nią podążasz wydłuża się
Rozwidla niekiedy przyjmuje formę słownikowego labiryntu
Zastygłego wypalonego znaczeniami które musisz zmienić

Przeczuwałem że więzami duszy są żyły arterie i nerwy ale
Gdy dusza wzmocni się gdy osiągnie autonomię i spokój
Więzami jej stają się rozumne słowa i czyny brzmi pięknie
Pamiętaj cała w tym nadzieja we wzmocnieniu cielesnym
By dusza więziona w lędźwiach nie wierzgała by dała mi siłę
Z którą stanę się równy nawet tobie wreszcie nieśmiertelny
Nie wyłącznie duchem lecz całym sobą z twarzą z oddechem
Ze smutkiem gdy skąpany w oczach w skrytych źrenicach
Zwinięty na szpulki nici cni się od rana do wieczora i dłużej
Do samej nocy tak jest zawsze kiedy nagle zostawiasz mnie
Samego pośród zgielku ludzie przyglądają mi się z rezerwą
Nie dowierzają że ja to nie ja że to ktoś inny boję się wtedy
Wiatr zmieni front i jak wściekły zwierz wyczują mój strach

Pieśń 19

Kto zrozumie nas jeżeli samych siebie nie potrafimy
Zaakceptować mogę przemilczeć bezimienne masy ciał
Pustych snujących się po agorach alejach i świątyniach
Niezliczone tysiące ludzi mędrzec co innego on podoła
W pojedynkę sam zmusi siebie do posłuszeństwa zmysły
Daruje ptactwu księżycem własnej głowy wielce wścibskim
Niecierpliwym każdy chciałby niezwłocznie poznać ideę
Światła coś dla naszego dobra skrytego przed oczami
Mądry człowiek zrozumie gdzie tkwi tego przyczyna
O ile nie śpi właśnie nie zamyślił się nie zapomniał zjeść
Choć raz na osiem dni okrucha chleba na zawsze opuścił
Bliskich zdławił popęd do chłopców zwierząt domowych
Trupów na polach bitew chwycił mocno kij który połknąłś

Niech i ja oprę się teraz na nim by całym sobą zasłużyć
Na nowe doświadczenie płodne myśli doznanie tego co
Drażni z siłą jakiej nie pogardziłby orzeł porywający cieleń
Z mlecznozielonej łąki przez jej rześiste dno przeprowia się
Odwieczna rzeka wchodzisz w nią bez powodu raz za
Razem do nieistniejącego początku do nieistniejącego
Końca tak jakbyś wydłubywał z mojej głowy po jednym oku
Robisz to gdy przymykam powieki szukam cię po omacku
Ty zrywasz szybko maskę lecz ona odrasta staje się coraz
Dojrzała widzą to nawet zwierzęta podbiegają do mnie
Podfruwają płyną z daleka by wnikać stać się jednością
Znów jestem sobą lecz zawsze inaczej to z tej przyczyny
Tęsknię za czymś co nigdy nie przychodzi i nie odchodzi

Nie liczysz się z miłością moja twarz zanurza się w tobie
Jej cera jaśnieje od owoców pieszczonych przez słońca
Wiatr nie chce im przeszkadzać rozleniwia przykucnę z nim
Do chwili gdy powtórzysz swój ulubiony rytuał do tego czasu
Nie istnieję nie ma mnie chociaż wciąż trwam jak dawniej
Łudząc się że wcale nie umarłem i nigdy więcej nie umrę
Uśmiercałeś mnie niezliczoną ilość razy kto odgadnie sens
Dla którego każesz mi snuć się śniąc na jawie jak lunatyk
Nie jestem ani dniem ani nocą acz wszystkie cząstki nieba
Tkwią we mnie czuję ich napięcie bezpardonową walkę
O miejsce w rozgałęzieniach dziurawych puszczeli w gronach
Zwieszonych u podbrzusza w chrząstkach ruchliwej szyi
Ciekawskiej rozwijającej się z kłębuszka łakomej na dotyk

Miłość usidla co popadnie wpada w nią cały wszechświat
Nawet dobro i zło choć mówią nic takiego nie ma a może jest
Może stworzyłeś je dla mnie bym miał do siebie żal rozważał
Za i przeciw wsłuchiwał w płacz filozofa jego łzy dźwięczą
Odbijają się o próg ludzkiej głupoty gdyby nie ona człowiek
Nie zmieniałby się na gorsze dla niej dorośleje dzisiaj twój
Chłopiec zatrzymaj tę maszynę wiem że to potrafisz gdybym
Mógł spojrzeć ci w oczy ach tak wszystko płynie nic nie
Pozostaje lecz rzeka jak krew w żyłach potrafi pokochać
Połóż się w poprzek nurtu niech obejmie biodra a kosz
Z włosami jak wodorosty popłynie w łaty morza zanurz go
W wodzie staną się siecią łowną pióropuszem mojej ławicy
Wnętrzem podziemnej ryby kąpiącej się przed spełnieniem

Ja będę falą szumem morza jeśli otworzysz ucho muszli
Usłyszysz słowa pieśni wyznanie zamieni plusk zatoki
W ognistą pościel ułożysz się w niej do snu by rankiem
Zrozumieć że gorąco wprost z mego kształtu jest zdolne
Stworzyć świat wszystko co znałeś co było ci tak bliskie
A we mnie liryczne odszukam miarę istnienia ujarzmię
Żywioł chłód i żar nie mów o tym nikomu bo najgorszymi
Świadcami są uszy barbarzyńców pierwsi dopadną małża
Wyłupią mu galaktyczne oczy dwieście zwierciadeł spali
Mozaikę kryształów wpadniemy wszyscy w czarną nicość
Kto wezwie wróża na ratunek jeśli tylko ty jeden posiadasz
Pamięć jutra moja zmierza w stronę odmienną niż czas
Świat z którego czerpałeś jak ze źródła zniknie na zawsze

Ogłoszą wojnę bogów przeciwko dwóm cisom na wzgórzu
Królować będzie grabież bestialstwo i mord siepacze skrócą
Rozum szlachetność rozwagę przetoczą fiolet stóp aż po
Kolana a wówczas czy będzie ważne który z nas pierwszy
Upadnie zaklinam milcz jak mędrzec głupcy tak lubią dużo
Gadać śpiewacy drzeć w niebogłos w trwożnym chórze
Podlców musisz tego uniknąć spokojniej nisko schył głowę
Miażdżony ciężarem perswazji groźbami cynicznych bóstw
Lecz nie zdław żywej duszy ona choćby umarła nie umiera
Niech pozostanie nieśmiertelną powiedz ile jeszcze razy
Słońca wzejdą zza gór schowają się w modrych wodach
Podziemna ryba wypełni je ikrą rodzą się z tego księżycy
Lśniące na niebie srebrzyście spryskane nocną bryzą

Muszę przemyśleć szum wiatru szelest gałązek słyszę
Wyraźnie jak plotkują o wszystkim i o niczym mówią
O tobie wciąż o tobie o mnie ani słowa miałbym i ja
Połknąć podróżny kij by im zaimponować każdy taki kij
To symbol wędrowania pozwala zbliżyć się do zmarłych
A chociaż żadnego wprost nie widać pełno ich w koło
Nieśmiertelni śmiertelni i śmiertelni nieśmiertelni ci żyją
Śmiercią tamtych tamci umierają życiem tych niektórzy
Z nich nie przeminą może nie pochodzą z twoich myśli
Tym bardziej z moich z niczyich powiedz mi skąd się
Wzięli dlaczego granit tworzą grudki bazalt lita gładź
Lawa zwinniejsza od żmii to co jest w tobie wrzątkiem
Kominów oceanu każe pytać co we mnie niepoznane

Tajemnica niekiedy otwiera się oświeca swoją prostotą
Naturą metafory w niej ptaki z jednego cisa mogą śpiewać
Co chcą łowczy musi uważać by ich nie złać te z drugiego
Muszą czuwać żeby łowczego nie obrazić on może mówić
Co chce ptaszniczy są tuż tuż walka jest ojcem wszystkiego
Wszystkiego królem jednych uznała za bogów drugich za
Ludzi jednych uczyniła niewolnikami drugich wolnymi
Nie brzydzi się używać płytkich łodzi miodu mleka wiązać
Ludzi do ruf rzucać w moczary zwawa chmara insektów
Zagnieździ się w ciałach zmieni je w żerowisko hojnie
Złoży larwy na nic zda się twa skarga usilne wierzganie
Prychanie gdy zechcą poznać sacrum wewnątrz czaszki
Z entuzjazmem dla zwykłego śmiertelnika nieosiągalnym

Z głowy sypie ci się coś co barwą przywodzi na myśl
Modlitwę doprawdy nie wiem jak to rozumieć kolor zwykle
Ma odcień żółci wyciekającej z rany brzucha czerwieni
Ludzkiej krwi duszącej krtań żadni bogowie nie pomogą
Wtłoczyć w nią choć szczyptę życia haust powietrza
Ono zazwyczaj tak lekkie tak łatwe do skosztowania
Kurczy się bez racji dławi oddech dusi w biały dzień
Czy zawsze było w zmowie z ukrytym wierzyicielem
Który od twych narodzin wytrwale czeka na należność
Początkową i ostateczną jak modlitwa o życie i śmierć
Twierdzisz że ma znaczenie barwa ziemskiego pyłu piach
Choćby był tak biały jak kipiela wodna w podróżnej zatoce
Nie pozna kiedy przyjdiesz nie dowie się że odszedłeś

Gwiazdy też rozsypują modlitwę kołyszą się na czubkach
Dwóch starych drzew od zawsze gotowe na odprawienie
Zaczarowanych misterii orfickich ten z pozoru nieziemski
Fakt wypełnia ludzką historię zakreśla szanse wędrowca
Jak kamień z twojej dłoni jeżeli rzucisz nim z rozmachem
Przeleci łukiem za chaszczę strąci z korony ptasie gniazdo
A jeśli trafi w pierś łucznika skłam w żywe oczy bo niewinny
Prawdy często nie powie a cóż dopiero sprawca nieszczęść
Zjedźmy coś przedtem jeżyny z między ściółki skryła leśnia
Rozciął ją warkot lotki czerwony jeleń skoczył w złote liście
Strzała trafiła w próżnię druga trzecia spizowe gradobicie
Znad żółci kosmicznej w końcu dopadła ziemskie zwierzę
Przeszyła bo czego los nie wspomógł tego nic nie chroni

Jeleń nim zdąży poznać własną słabość wiatr zwieje serce
W bliską otchłań tuż obok sfery boskich niebios nikt nie
Rozwiąże supła jego śmierci być może zginął w skutek błędu
Wszystko przez zapal z jakim drepczę w kółko pytam o rzeczy
Błahe na równi z ważnymi słowa żywią mech polan trą o korę
Sosen szyszki sypią pył pereł na ciało zwierzęcia wsparte
Bokiem o drzewo chyli się zuboża drętwy kark dawniej prężny
Kruszeje rozpada oddech trafia na ściółkę wprost na płytki
Korzeń życzliwe sęki zrosty wiedzą więcej ode mnie nawet
Od przedmierzchów o przymusowym umieraniu nie ma w tym
Żadnych reguł logiki i poezji łucznik mierzy mnie wzrokiem
Przypisał do zbrodni twój kamień strzaskał tarcze złamał łuki
Strzały co teraz będzie pozostaje me słowo przeciwko sile

Homer szybciej by dostrzegł co za wzrokiem skryte lecz nie
Żyje co widzi nie powtórzy też ten który nam pieśni posłał
Hezjod prosto z agonu wrósł w spizowy trójnog zasnął już nie
Obudzi go żaden śpiewak nawet szlachetna prawda nie fikcja
Nie zmyślenie obaj są dziś więźniami pustych oczodołów
Jak ten jeleń czerwony w mateczniku jeżyny dźwignęły ciężar
Jego oczu z otwartych ran obmyły czernię zła kwiaty rozkwitły
W połach sierści przybrały złoty strój kobierca rajskiego między
Porozem tęcza powabna delikatna rój pszczół postawił strażę
Chroniąc tym ostęp przed szerszeniem zgiełkiem natręta
Dziką osą jakby można inaczej zapewnić tu spokój czy dla
Pokoju i my musimy użyć pieśni wojen zaprzeczyć miłości
Czy chcesz bym szukał w tobie prawdy poezją tyrtejską

Łucznicy zedrą skórę wysuszą na wietrze gorącym zbarwią
Ściągną zwijane na szpulę łeb włożą do mrowiska od szyi
Po roże aż załśni czysta biel królewski triumf czerwony
Jeleń wykarmi mrowisko da co najlepsze na przyziemnym
Stole zwierzęce myśli tęsknoty wspomnienia teraz dla duszy
To jest zbędny balast pieśń wskrzeszająca tylko żywych
Nie na podstawie słów należy badać rzeczy a na podstawie
Rzeczy badać słowa bo nie rzeczy są dla słów lecz słowa
Są dla rzeczy bogów tu nie potrzeba sami sobie winni
Dalecy od człowieka a jakby z agory z natury pełnej kłótni
O naturę świata odpowiedzi stracone nie poznały serca
Ludzie wciąż wierzą ludziom wkładają ich w uszy noszą
W brzuchach w kolanach stając się niechybnie fałszerzami

Pieśń 20

Uwielbiasz polowania a ja nie mogę znieść widoku krwi
Odległa śmierć jest liryczna lecz zbyt bliska kaleczy ręce
Gdyby chociaż była czytelną mieszaniną symboli czerni-zła
Bieli-dobra czerwien do niczego tu nie pasuje ludzie zostali
Skazani na ciągłą walkę jedynym ratunkiem jest zacieranie
Śladów obaj coś o tym wiemy ucieczka w nierzeczywistość
Pozwala zachować rozum byłem już kiedyś chłopcem
I dziewczyną i rośliną i ptakiem i niemą rybą rzucającą się
W wodzie cóż z tego że nadal pokutuję czy różnorodność
Metempsychoza pomogą zrozumieć żywioł walki ani woda
Z ogniem ani ziemia z powietrzem nie staną po żadnej ze
Stron życia człowiek nauczył się negować prawdę a jednak
Nikt z właściwym tobie umiarem nie potrafi z tego korzystać

Narracja wymazuje zbrodnię me struny głosowe na równi
Z wibracją pęcherza krtani sterówki złowię dla ciebie rybę
Żywą w zatoce przywołam byka z rykowiska usidlę w bagnie
Bekasa nie odwrócisz wzroku nie zaprzeczysz jestem nimi
Wszystkimi i żadnym z nich przez skłonność człowieka do
Zbrodni spotkałem kiedyś starca nad przełęczą w miejscu
Skazanym na pożądliwe spojrzenia kobiet mężczyzn ich
Wielogłowych niemowląt wciąż martwych przez zaniechanie
Widziałem wyraźnie ptaka choć nie był ptakiem czworonoga
Lecz nie był tym zwierzęciem rybę ale i ona wcale nie była
Rybą spojrzałem w dół przepaść tętniła życiem bogactwem
Przepiórczych pęków kozich skór wędzonych łowisk długo
W siebie chłonałem fantazję realność wymykała się zmysłom

Dostrzegł to ów starzec z Agrygentu pogromca sycylijskiej
Febry tak ten sam przez lata uwielbiały go tłumy by wygnąć
Na starość i za co za piękno języka nieskazitelną wymowę
Trafną analogię nie powstydzilby się jej żaden mówca życie
Jest bękartem przypadku żołdackim gwałtem na ziemi oranej
Nienawiścią wiatr zaczął strzepić górską mgłę starzec zsunął
Ze stóp spiżowe buty podał mi dzban z metopą pokrytą
Śniedzią mchu to twój wszechświat szepnął do ucha reszta
Choć użyteczna będzie na zawsze zakryta potem wydłubał
Sobie oczy i sfrunął w mistyczną przepaść wir z północnego
Zachodu wzmógł się chłonał gwałtowniej biel mgły ludzie
Rzezali osły tysiące obdarli ze skóry kobiety szyły z nich worki
Rozwieszały na szczytach i pagórkach łapały wiatr aż ustał

Podę mną długo jeszcze wirowały głowy bez szyi i tułowia
Oczy bez twarzy źrenice bez oczu a nieco wyżej wszystko
Co kiedykolwiek pobłądziło straciło swoją szansę na istnienie
W życiodajnej przepaści czy dla mnie znalazłoby się tam
Miejsce nie jestem naiwny nawet jeśli obraży koloryt ulotność
Zwodzą mnie co dzień ja nie mam kompleksu Polikratesa
Lękam się tylko bo ktoś może stać obok nas i nieszczęście
Gotowe każda swobodna myśl jest dobra by ważyć o twoim
Losie wygnanie byłoby łaską nie licz na szczęście chyba
Że jesteś jednym z bogów uczepionych pieśni włóczędzów
I kapłanów lecz śmiertelnikowi nic nie gwarantuje wolności
Wprawne ręce wyłapią jego myśli chwycą jak kiść winną
Przed tłoczeniem by zbadać soczystość klarowność lepkość

A jeśli rzeczywistość nie podda się łatwo strumień soku
Nie wytrzyma próby co było gładkie stanie się szorstkie
Co świeże przedwczesne spóźnione wykrwawi winorośl
Na śmierć będziesz kompanem Peryklesa oskarżonym
Jak on zaocznie skazanym za mieszanie astronomii z religią
Poza wszechświatem nic nie może istnieć zwłaszcza ty
Niedowiarek hochsztapler kapłan nie uwierzą na słowo
Chyba że wpadłeś w rutynę biegasz od drzewa do drzewa
Marnując wyobraźnię one choć stare długowieczność
Czerpią z przewagi miłości raz wszystko łączy się w jedno
Dzięki miłości innym razem wskutek niezgody dzieli na
Poszczególne rzeczy czasami schodzą się latami by tulić
Do siebie pnie niekiedy w pieśniach oddalają zwaśnione

Jak pytać o znaczenie świata pierwszeństwo tego co na dole
Przed boskim niebem cóż po tym że góra oznacza zysk jeśli
Nie istnieje realnie za to tamta przepaść wciąż huczy w mej
Głowie zapach skórzanych worków ich rozrywany na wietrze
Trzepot obraz mojego cienia pomiędzy wysokim słońcem
Niską mgłą ekranu otacza mnie na nim tęczowa gloria wir
Zbliżył się do drogi pilnuj naszych zapasów na posiłek ziaren
W których ukryły się najbliższe żywioły domniemana szansa
Że z ziemi wody powietrza i ognia może zrodzić się krew
Nieprzypadkowo wszystko tkwi we wszystkim w twoich
Oczach dłoniach sposobie w jaki kołysze się giętka sylwetka
Gdy zamyślony przechodzisz na drugą stronę ja też chcę tam
Przejszć zabierz mnie pobędę chwilę dotknę twoich włosów

Rozkroję gałki oczne mój język ułożę w spirali krętej głowy
Byś w końcu mógł się wypowiedzieć to najważniejsze słowo
Żyje w nieświadomości obiecaj że kiedyś zabierzesz mnie
Ze sobą na drugą stronę i potem pozwolisz wrócić ptaki robią
Tak prawie codziennie chciałbym i ja wspiąć się aż do gwiazd
Choć one wytykają mnie palcami najwidoczniej rozbawione
Trochę nienaturalnym położeniem nie ma się z czego cieszyć
I one są w dziwnej sytuacji wciśnięte w kaftan ognia pędzą
Na oślep ryzykując tym co w sercu elastyczne podobne do
Strun zachłannej liry jej dźwięki sięgają ponad życie poza
Konanie człowieka ponad morderstwo bo choć każde jest
Jedynym w swoim rodzaju śmierć wiecznie taka sama
Spełniana fałszem czernią słońc ziemskimi sługami bogów

Kochaj rozsądek a o bogach mów że istnieją prosiłem byś
Zapamiętał czy życie warte umierania gdy śmierć bez życia
Nie istnieje wie o tym każda z tamtych gwiazd ukrywa w sobie
Cały świat taki sam jaki i ja noszę codziennie w mojej głowie
Jak to możliwe żeby we mnie także był wszechświat i to taki
Z gwiazdami tobą mną lecz po cóż mi jakiś wewnętrzny zwid
Jeśli i w nim nie chcesz mnie zabrać na drugą stronę powiedz
Czy jest tam księżyc na niebie zatoka przy ujściu rzeki droga
Na której co chwilę przystajemy motyle wypatrujące kwiatnych
Łąk pszczoły troszczące się o pąki byłaby to rajska sielanka
Bez pala z wbitym nań bluźniercą bez ciężącego na nas obu
Hańbiącego wyroku niewiele zostało czasu resztę życia chcę
Przeżyć wyjątkowo nijakość zostawia po sobie ślad-nie-ślad

Znowu mijają nas płaczki mają nagie torsy bezwstydnie
Obnażyły pustkę po piersiach ciętych rwanych palonych
Wokoło leżą sutki śniade dorodne soczyste sterczą miłośnie
Czekają na pieszczoty zapodział się gdzieś amator mocno
Spóźnionej cielesności ona rzucona psom na pożarcie
Hienom ćwiczonym do walki w pierwszym starciu strawiona
I wydalona straciła wszystkie atuty lecz te kobiety żądają
Ciągłe czułości jakby nic z nimi się nie stało musiałby kto
Wargami dotknąć blizny to tak jakby przytulać się do trupa
Witać z miejscem po straconej dłoni patrzeć pożądliwie
W czerń oczodołów błędzących po niemym niebie na nim
Wszystkie żywioły zespolone siłą destrukcji stworzyły lunę
Pożar przetacza się we mnie nieregularną plamą ognia

Dopilnuj by nic złego się nie stało łucznicy gdy wezmą je
Na cel będzie za późno owady odlecą śpiesznie w krainę
Owadów skąd niby mam wziąć srebro nic nie posiadam
By ratować ludzkie życie została paplanina cóż warta dla
Zmęczonego żołnierza pod koniec wędrówki mocującego się
Z niesmacznym dysonansem na bogów wiem przed czym
Pierzcha owadzia chmara wieloróg ściga życie nic przed nim
Nie ujdzie wyskoczył wprost na płaczki badają się strony
Z których człowiecza nie ma żadnych szans potwór rozwarł
Szczęki rzucił splot języków otoczył kobiety kolce z trującym
Jadem wysunął w ogonach zlizął ślady na piersiach wyssał
Z nich sok nienawiści i pod warstwą blizn trafił wprost na
Miłość nam przyjdzie teraz płacić wstydem a nie srebrem

Te które są brzemiennie nie dadzą zdwojonych dusz reszta
Je straci na rzecz potęgi znanej tylko z mitów zamienią się
W poczwary będą pełzać w błocie zgadywać odpowiedzi
Z tajemnych tabliczek biorąc z pustego dzbana kamyk po
Kamyku i wszystkie z niejasnymi wizjami co na to ludzie
Wytną w pień przeżytek za zamęt i niepokój w domostwach
I sądach miasto nie zdoła unieść wątpliwości prawniczych
Sztuczek krasomówstwa a choć wyzbyte krzty sumienia
Wciąż będzie mym nauczycielem zwłaszcza na trudny czas
Gdy godne bogów ofiary procesje z modłami hymny zostaną
Odrzucone czyż wówczas nie nam przyjdzie oddać głowy
Dlaczego więc nalegam jakby to miało szczególną wartość że
Przewyższam śmiertelnych których czeka różnoraka zguba

Winny jest rapsod Kleomenes on głośno czytał o demonach
Upadłe duchy stają się lekarzami rapsodami prorokami nawet
Książętami by odrodzić się w pełni zaszczytów jako bogowie
Opowieścią zasiał w ludziach niepokój czy teraz miałbym i ja
Być poczwarą cielesnym worem mięsa kości na końcu jeziorów
Wieloroga nie ostrzegłeś mnie przed tym więc po co tracisz
Czas na moje wyjaśnienia jeżeli zgadzasz się bym zginął
Można by schwytać brankę i złożyć w ofierze któremuś
Z wielkich bogów myślę że tego chciałby potwór lecz krwi
Nie godzi się rozlewać to ona rodzi miłość rozdaje kolory
Jej zapach plaster miodny jej lepkość pot na czole barwa
Na przekór władcom czerwieńsza od tronów bogowie nie
Poznają czy krew to człowieka gdy wylejesz na ołtarz wino

Znów staję się podatny na zwątpienie to nie jest jeszcze
Depresja zaledwie nerwowy stan przed tragedią zgodą na
Posłuszeństwo wobec śmierci gdzież nagle zapodziała się
Odporność na ludzkie malkontenctwo patrzę w sam środek
Zła obejmuje swoją istotą półnagich ludzi chciałbym ich
Obronić przed potworem lecz jedynie ten kto zna najdalszą
Przyszłość mógłby pomóc więc spraw bym był tym kimś
A wówczas wyjawię całe dzieje wyłuszcę przed sędziami
Niepokoje przeczucia co do ich bałwochwalstwa jawnego
Wspierania wieloroga w sprawie miłości przeciw waśniom
Potem rozwiążę trybunał i potwór nie zdoła tknąć ludzkiej
Natury żaden satrapa nie zawłaszczy naszej wolności
Prawda o tym sączyć się będzie nawet z twojego serca

Pieśń 21

Zbyt skąpe życie bym ludzkimi oczami prześwilił schadzki
Szemranych guseł z racją mędrca zapach niesiony morzem
Ciężar chłodnej bryzy letnie spojrzenie pełno w nim gorąca
Wymierzonego przeciwko mnie to jeszcze nie są łowy choć
Znać tu początek czegoś na kształt wyroku za uporczywe
Trwanie wśród żywych los nadziewa na ostrze coraz innych
Ludzi by czerpać z ich słabości ty też nie gardzisz mocą
Z takiego umierania lecz moja śmierć cię osłabi moje życie
Wzmocni podlcy użyją złych przepisów zechcą wyrwać
Z przestrzeni rys postaci polny kwiat wysieje łące gorycz
Padalec wgryzie w szkielet krwi ptak w źreni oczu wyłobi
Bruzdy o tym nauczaj młodych nie pomijaj starych choćby
Samo niebo niechybnie miało od tego wzejść chwastami

Nie wypieram się kazałem słono płacić za kursy wymowy
Składałem słowa by czarować rozum badałem ich naturę
Acz wszystkie z dźwięków jednakich wychodzą z gardła
Jazgoczą drażnią pytają o życzenie życzą odpowiedzi te
Z rozkazem są inne trudniejsze do ćwiczeń skądinąd łatwe
Dla mowy a nie znają litości potrafią błahe słowa zmienić
W groźny oręż wywody nieme z przodu lep na pośmiewisko
Z tyłu liczą wesołków aż im miny rzedną nikt nie lubi być
Głupcem lecz tych pełno wszędzie niejeden ważny trybun
W masie bezmyślności nawet ten przebieglejszy Euathlos
Choć nadal się śmieje z ważnego kontraktu nie zapłacił za
Lekcje zakpił z wiedzy prędzej doniesie sędziom by pomóc
Krętaństwu to co niegodne mędrca godne jest jego ucznia

Czy uratuje gardło kto wierzy w krytycyzm agora krzewi obłąd
Żywi urojenia o bogach nie mogę powiedzieć ani że istnieją
Ani że nie istnieją ponieważ jest wiele przeszkód na drodze
Do zdobycia takiej wiedzy choćby niemożność odpowiedniego
Doświadczenia zmysłowego i krótkość życia człowieka nawet
Chwasty na niebie więdną od takich głupstw wiatr roznosi ich
Suszą po mrocznej stronie ludzka dusza wie który z bogów
Hojny rozum nadziewa fakty na nici tętnic nawet jeśli zmysły
Nie podolają próbie rzeczowej percepcji ślepe nie akceptują
Przejawów świętości wnet najslabszy z twych uczniów wzmoże
Łatwy poklask nie przegapi okazji do zemsty za bezbożność
Pozwie cię nie na żarty Pytodoros przed radę za jawną kpinę
Na co komu przestroga nie szukaj wolności gdy rozum rządzi

Widać nie mistrz wcale a jego uczniowie mają łatwiej w życiu
Byle byś nie był Eutydemem bo spalisz się ze wstydu przez
Psoty pluwaczy hien godnych arcypogardy jeśli brakuje racji
Odsłoń głębię sądów by chwycić dłonią spory nie bacząc na
Kopniak szturchaniec oponenta intymny urok twych chłopców
Przepięknych i tak gładkich że nie wiesz jak trzymać w ryzach
Żadne serce wie to płaszczka ścieląca tonie w morzu myśli
Prawdę zna od zarania dotyka przelotnie wpłukuje w nią swe
Skrzela oddycha jej treścią jak ja mą biedną duszą orzeł znad
Górskich wzburzeń też zna przystań prawdy wzlatuje za dnia
Wysoko buduje dwa gniazda wąż w jedno wnika nocą składa
Gadzie jaja kto mógł przypuszczać że na równi z rybą ptakiem
Widzi co ważne skryte wśród listowia pożera przed wykluciem

Człowiek ciągle się błąka utracił nadzieję natura jest zakryta
Przed moim dotykiem wzrokiem słuchem i węchem rodzi złe
Owoce znajduję je na drodze obmierzłe poczwary od stopy
Do podbrzusza aż po pierś spływają krwią tak trudno wierzyć
By świat mógł dać ci dzisiaj coś lepszego w nim nie jest nic
Prawdziwe co nie jest prawdziwsze sukces wymaga marzeń
Szalonej wędrówki do celu gdy ten oddala się zdradliwie niby
Zawsze na wyciągnięcie ręki tutaj nikt nie jest bez racji jednak
Nie sposób orzec czyja profetyczna o każdej rzeczy istnieją
Dwa sądy wzajemnie sprzeczne cóż mi po nich jeśli wcale
Nie prowadzą do pewności bawią się jak pajak głośną muchą
Schwytaną w misterne sieci owad z własnej winy nie pozna
Kunsztu pułapki skazany na urojenia lirycznie niesprzeczne

Ja poznać chcę tylko ciebie nic więcej co niewielkie osadzić
W większym ty bądź tego miarą ma miłość przebiega wzdłuż
Roztoczy ścieżynek i traktów boso biegnie cię spotkać nie
Zważa na chaszcze osty pełne ukąszeń zmije spod kamieni
Gwiazdy są w to wmieszane słońca i księżycy nawet dzieje
Dwóch światów jak mam z tym postąpić by móc zaufać obu
Sam uczysz bym nie ufał twa główna zasada to brak zasad
A ja już się nie liczę mam dwie nogi ręce głowę jak każdy osioł
Oczy z przodu czaszki twarz schowaną w jej wnętrzu ukrytą
Za życia po śmierci martwą nic niewartą mam też dwoje uszu
Udających głuchotę wrogich wobec chronicznej ambiwalencji
Jak świat sprzeczność znosi co oznacza życie pytam cię tyle
Razy bo jesteś mędrcom istotą niepojętą godną wysłuchania

Lekarz tworzy miksturę zielskiem zaklęciami leczy natrętne
Troski a ty chciej dać wskazówki bym nie wył w potrzasku
Jak zwierz szczuty przez łowczych chwytany w padole jego
Skóra ozdobi królewskie pałace zestarzeje się z władcą
Wypłowieje trafi w końcu na schody w półnisze do lochów
Pełnych cieni skazańców i ścisku łańcuchów drugi raz będzie
Konać jeden to za mało współwięźniom nie w smak luksus
Ludzi tylko złości rozerwą łowną skórę na bezładne strzępy
By nie budziła wspomnień cucila pamięci zrywała martwych
Płatów z podudzia i pleców strażnik tego nie zechce kat
Boi się gangreny mazi spod czarnych strupów i szyderczych
Spojrzeń chciałby siedzieć na tronie być kolejnym bogiem
Żeby władać naturą musiałby ją najpierw obedrzeć ze skóry

Jeżeli człowiek jest miarą wszystkich rzeczy istniejących że
Istnieją i nieistniejących że nie istnieją to czym jest miara
Samego człowieka mnie który cię o to pytam czy ona istnieje
W tobie w środku ale gdzieś poza ciałem krwią i fecesami
Słysząc szepty tych kobiet ich suche usta wciąż poruszają się
Wzniesają tym wir on jest z nimi w zмовie coraz szybciej
Przenika drogę strugami czerwieni splecionymi jak promień
Słoneczny gdy rozchyła wargi pierzastych porostów trafia
Prosto do oczu iskrzy aż łzawią od tego kruchym deszczem
Czy słyszysz co ja słyszę myślałem że martwe stoją tam na
Rozdrożu dla zabicia czasu ale one coś nucą to jest pieśń
O życiu strofy się przeplatają każda jest o tobie a więc to ty
Jesteś życiem przestępujesz z nogi na nogę zaskoczony

Sam nie wiem co prawdziwe co mi się wydaje a co tobie
Gdy patrzę w pokryte bielmem oczy kto psuje rzeczywistość
Czuję się jałowy jak kij przez ciebie połknięty połamany
Na części tę prawdziwą i jakąś odmienną z nich obu każda
Jest w górze i każda na dole jedynie ja zmyłony trudzę się
Bez sensu podaj mi rękę może za zakrętem dostrzegę nową
Tęczę albo kolor srebra lubię jego dostojność choć ty wolisz
Złoto widać dobrze być mądrym a lepiej bogatym choć ja
Nigdy nic nie mam i nic mieć nie będę by motłoch nie ogłosił
Że moją śmierć wywołał spór o mieśnek morderca weźmie
Kruszec ale nie ode mnie na palec włoży pierścień lecz nie
Z mojej dłoni krwawe zlecenie wyjdzie z drzwi królewskich
Komnat krótkie treściwe w najdalszych językach świata

To ty zakrzywasz rzeczywistość każesz wierzyć w miłość
Do siebie samego lecz dusze są niechwytnie strugane
W warkocze sięgają tarcz księżyców płaskich słońc i nieba
Gdy przez nie cień człowieka zdoła się prześlizgnąć będzie
Nieśmiertelnym wie o tym barwna plama z palety kolorów
Wie mleczny błękit lany z piersi Hery znają rzecz nieboskłony
Przestrzeń wzdęta od resztek węzowych odwłoków trofeów
Heraklesa wbrew żonie Zeusa gdzie spoczęły ich dusze czy
Były zmyśleniem wyskokiem mego węchu gdy poczułem
Zapach słodki jak rajskie kwiaty uczepił się nozdrzy owionął
Szczelnie głowę wyostrzył spojrzenie sięgnęło aż zza niebios
Kształtu wrót wszechświata prowadziły do ciebie kręte jak me
Życie nie miały jednak furty by przejść nią na drugą stronę

Oznaka to porządku czy gorzka rozrywka bogowie nas nie
Cierpią będą czynnie zwalczając zniekształcą co dziś kształtne
Rozsądek zmieniają w absurd usuną ważne ślady przemilczą
Co dobre w zamian wetkną łakocie zwinięte w czepek kobry
Wsunięte w paszczę węża jego głośnia zamilknie odczeka
Do uczyty potem będzie za późno Herkules nie przyjdzie nikt
Nie pomoże ludziom stanąć przeciw bogom tłuszczka skieruje
Wiarę przeciw własnym braciom zechce bronić świętości ja
Zawsze wierzyłem że rozum jest niebiański wartych czci i straży
Nieprawda emocje wyprzedzają nawet błękit nieba gwiazdy
Biegają wzdłuż ciała od głowy przez tułów po ludzkie dłonie
W nich rozbłyśnie wśród tłumów topór miecz dwusieczny
Tarcza skórzana grot spizowy wzbogacą znaczenie miłości

Nie tej miłości chcą kobiety uparte stoją wciąż wszerek drogi
Wieloróg nie odchodzi nie zechce ustąpić długo taksują się
Strony kobiety chociaż martwe i potwór wiecznie żywy ponad
Ludźmi jak winny wśród niewinnych starzec z fachu katów
Cierpliwy w swym rzemiośle wyniosły w bajaniu o ważnej roli
Do spełnienia w świecie zbożnego posłuszeństwa i jedynej
Kary już jutro zechce sięgnąć zaszczytów boskości jak każde
Ziemskie monstrum zlepione z narzekań zrosnięte górą dołem
Szczepione po bokach ciosane z resztek brudne od przeklęcia
Przed świtem zacznie sięgać po przyszłość gwiazd na niebie
A wie że jutro nikt nie zna nawet głos z wyroczni los rzucony
O podmuch kamyk z chlani garnca jeden jedyny kopis tnąc
Nici na oślepie mógłby coś podpowiedzieć ale jest narzędziem

Drzewa cichną słyszę lot szerszeni mgławica skrywa drogę
Stańmy nieco dalej bo kiedy sięgnie celu twoje złote słońca
Zstąpią w ciemne podziemie zapadną w niewolę jeśli bym
Musiał walczyć za nas siła mego oręża przewyższy podmuch
Burzy poziom morskich pływów pióropusz wulkanów dłonie
Zmienię w dwa głązy pięści ze wzgórz lawy w rękach spizowe
Miecze zdławię nimi przewrotność rozpasanych bogów żarty
Ludzi kręactwa intrygi zagadki ciebie pierwszego wygubię
Sięgnę po wszechwładzę rozstrzygnę raz na zawsze o tym
Co właściwe każdy będzie mógł dotknąć prawdy sercem
Położyć ją na wargi sięgnąć po radości zasadzić w środku pól
Na łąkach i w lasach potem zbierać do woli środkami wyrazu
Dojrzały jasny zapach powabny dla oczu jaśminowy we śnie

Pieśń 22

Znaleźć czego szukać by dostrzec co umyka nie zaniedbać
Spojrzenia nie zgubić ważnej myśli ulotnego uczucia które
Czas sieje dziurawym sitem zżera nieznanym losem wieczne
Modelowanie naczynia z gliny bezkształtnej jednorodnej
W garncarskim tyglu jeszcze bez rękojeści podstawy ścian
Godnych twórcy jego poszukiwania są tłumione przez ukryte
W człowieku echo ono żeby być trwalszym udaje pogłos lęku
Przed zakusami porzucenia kanonu piękna nagłego odcięcia
Od targowiska błahych spraw pustych ocen zbędnych norm
Papug w złożonych kłatkach słów jest w nich taki nadmiar że
Kipią w zajadłych sporach na temat nieistniejącego naczynia
Twórczy bunt do dzisiaj czeka na zdrowy odruch garncarza tak
Jak obmyta deszczem wietrzona oczyma liryka czeka na ciebie

Słowa w sitowe oka wnikają frazami krótkimi niewymiernymi
Trwonią prostotę hodują chore domysły obłąd rozplenia się na
Krzewy odbija w kałużach drzewa łapczywie spijają natchnienie
Tłoczą w konary aż po szczyt pnia tracą w chmurach konkurent
Doniesie na ciebie za brak weny Meletos przez zazdrość ból
Głowy intelektualną niestrawność całe miasto od tego padnie
Stacza się już od dawna chętnie przeznaczają twoje życie na
Przebłaganie oddalą koniec nie chcę byś na własnej skórze
Doświadczył upodlenia nawarzą korzennego wywaru z psiej
Pietruszki zatrują nim wrażliwość zaduszą za akt nieróbstwa
Czy miałbym cię ratować bezduszny mechanizm kleroterionu
Dobierze sędziów by zapewnić uczciwy proces a stronniczość
Ziaren bobu wyznaczy kres życia na przekór sprawiedliwości

Pięćset jeden głosów i żaden nie będzie trafny stój zatrzymaj
W pół drogi choćby przez wzgląd na miarę cnoty odmierzać ją
Będą jutro według twej postawy jedno życie wielu miarkami
Śmierci a byłoby lepiej kołysać je w białych płótnach w koronie
Starego cisu nie kpij publicznie z sędziów daruj sobie zasadzki
Wystarczy że wciąż wyśmiewasz łatwowierność z jaką gotów
Jestem poprzeć twe wywody już mi się zdaje że rozumiem choć
Nadal nie pojmuję wiem że nic nie wiem niby koło graniaste
Krzywa spirala pną się nią wyzwania nad głowy chłopców
Mężczyzn lecz oni nie zechcą ginąć za prawdę rozpalą ogień
Zbyt marny na pełne życie przeczekają w półmrocznej jaskini
Mnożąc wielkie marzenia śniąc o boskiej prałance kwiecistej
Kołysanej miłością acz jej pachnidło stwarza huk wątpliwości

Chwalisz się przywilejem że jesteś człowiekiem więc błędzić
Ludzka sprawa zwłaszcza w szatach głupca lecz rozsąpanie
Miary nie jest zwykłym błędem rutyną złodziejaszka to kradzież
Wszechświata zuchwała lekkomyślna drwiąca ze stróżów norm
Niepokoi zbyt wielu by uszła na sucho błaznowi czy mędrce
Jeśli odmienisz świat zranisz kosmiczne drzewo rozlejesz żywy
Sok na miejski ugór bogowie po takiej profanacji obdarzą swych
Szaleńców mistycyzmem zdolnością dostrzegania przyszłości
Proroctwa skaleczą dumę obedną ze skóry rozkażą ci wybierać
Między cykutą a cykutą ten werdykt będzie wymagał wielkości
Z jaką na złość maluczki sam sobie zadasz kłam być może
Dzika polna droga doda nieco otuchy popatrz na daktylowce
Słodycz spełniana zachwytem plant rozrósł się po namorzyny

Usiadźmy gdzieś sekretnie by zjeść co zostało dożyć chociaż
Do jutra rozmawiać o prawdzie bo ona taka rzadka od zawsze
Jest celem jak zdobycz w oczach orła wszak wisi ptak wysoko
Naradza z wichrami a gdy otworzą mu studnię rzuca się w nią
Rozcina krąg Etera szybszy niż krągłe głązy zgłębia przepaść
Dziurawiąc jej martwe gardło strzeż się ataku orła dbaj o życie
Poznaj siebie samego choćby wrzeszczeli do ciebie egocentryk
Nie porzucaj prób nie jesteś przecież Sylenem z przydrożnej
Kapliczki łysym i tłustym uczepionym snycerskich figur bogów
Ciętych z drewna wszystkie czekają łaski od Midasa cudownej
Przemiany w złoto co słyszę miast na flecie grasz na aulosie tak
Czynią prostytutki dla marnego zysku każda chętnie się zrówna
Z fryzyjskim Marsjaszem pamiętaj że Apollin obdarł go ze skóry

Twoja pieśń otacza ludźmi wszechświat muzykanci słuchacze
Wpadają doń jak zwierz w połowne sieci trudno potem z tym żyć
Płochliwie szarpia nią wikłani w ażurowe aliaże życia i śmierci
Nie zerwą się nigdy z uwięzi bo kiedy znów usłyszą twoje słowa
Szybko zapominają o trudach potem aż głowy bolą od dziwnych
Znaczeń niewielu coś rozumie chociaż niby jasne nie wymagają
Troski podstępne złudzenie bo zdają się być proste lecz każde
Zbija inaczej refleks światła rozszczepia kryształowo nowa iskra
Od reszty jest coraz gorętsza futrzak tu nie zagłada by nałowić
Pstrągów orzeł nie sięga do dna bo dno nie istnieje serce tłucze
Tak mocno jak rozbłysk przed gradem łzy cieniutkie warkocze
Płyną strużką czyżbym miał zaraz ujrzeć na jawie Zeusa słyszę
Jakby od bogów poniżej co wywyższone wywyższa co poniżone

Nie wiem jak się zachować bo jeśli tak o mnie mówią kimże ja
Jestem i po której stronie toć trapią mnie niedostatki pełno ich
Na co dzień troszczę się staram latać choć dziura na dziurze
Wiatr hula między nimi a ja gdzieś pośrodku nie wiem nigdy
Dokładnie gdzie brzeg co mam chwycić ty zamiast wspomóc
Snujesz nowe plany bym zajął się mym miastem jakością agory
Lecz ona tyle waży że unieść nie sposób pociągnąć jak wór
Złota bez kruszcu bez sakwy za ciężka dla człowieka na imię
Jej kwintesencja całego zła przyjdzie mi uszy zatkać jak przed
Syrenami uciec przed tobą by drepcząc w kółko nie starzeć się
Bez potrzeby wolę już spłonąć ze wstydu że nie chcę umrzeć
Dla prawdy spotka mnie za to wiele pochwał wstęgi i nadania
Będę pił młode wino zapomnę miłość co znaczy do ciebie

Miecz ścina wszystkie głowy głupi tnie te mądrzejsze pytasz
O rzeczy błahe i wciąż zmieniasz temat wiatr szarga płachtę
Ludzi nadyma ich piersi wzlatują jak dmuchawce zwiastuny
Próżności korowód fantazmatów czczą zabawę życiem jeden
W końcu się zmówi z drugim na agorze obmyślą stawiać sidła
Lecz nie na trudności nie zacne dociekania modne dzisiaj
Gusła ich dar wchłaniania zła stanie się groźny dla każdego
Przejawu prawdy bierzmy i z tego dobrą lekcję niech trudność
Nas oświeci jak można by pokochać choć siebie samego
Bezwarunkowa miłość nie istnieje mówiłeś że cała ludzkość
Czerpie z bólu i ten wysiłek daje światu wspólnotę badałem
Przepis jest wewnętrznie sprzeczny zrównuje naszą wolność
Z zakazami bez wad jest tylko kara śmierci i łaska wygnania

Nie lekceważ kołczanu strzał i łuku każ przynieść tarczę
Ćwicz sprawność oręza czy to nie nazbyt proste oddać
Życie ot tak za nic bo twoja prawda cóż znaczy prócz nędzy
Wszystkich tych którzy chcą za nią sprawiedliwie zgładzić
Stos kamieni już czeka na poręczne dłonie wisielczy sznur
Kołysze u wezłowia miasto jak chłań Baratron wstrzymało
Oddech stos drewna wokół pala wciąż nie płonie krzyż ostro
Wystrugany nie wnika w twe ciało płyn gęsty od wywarów
Traci tęże moce niechże śmierć dopadnie łapówkarzy czyż
Sami nie frymarczą nie biorą nie dają stręczyciele nie kradną
Cnoty dziewcząt chłopców złodzieje datków ludu i prestiżu
Wolą czyn świętokradczy bluźnierstwo i zdradę przez ciebie
Źle się czują świadków opłacili a ty wciąż pośród żywych

Argument siły sprzyja rozstrzygnięciom twój upór zacnym
Sędziom może być na rękę jedyną sporną kwestią będzie
Groźba nudy jeśli cię mają zatłuc kto znajdzie następcę głusi
Na głos rozsądku pojrzą samych siebie nie pozbędą się lęku
Zniszczą dobrostany aż w końcu swój sens życia znajdą
W wieloludziu stworzeniu mnóstworękim stu i więcej głowym
Jego płodnym warkoczem moszczone są drogi zbudowane
Dla ludzi wierzących w nadmoce ciebie nie miało to tyczyć
A kark zakurzony drobinki go obsiadły wniknęły w głąb
Skóry z czasem każdą kosteczkę zmieniają w grzęzawisko
Zabraknie ludziom siły by szczerze rozmawiać nowe prawo
Ukróci drwinę śmiech i radość nawet twa wyjątkowość
Zostanie sprowadzona do miriadowych miar człowieka

Jeżeli nic cię nie przeraża strzeż się siebie samego bo nie
To tylko może parzyć co jest gorące nie tylko to co chłodne
Może mrozić dotknij mej dłoni jest letnia ćwicz doskonałość
Gimnastyka sprzyja konwersacji ciało rozwija rzeźbę rzeźba
Kształci dłuto wypluj kij zegnij go proszę jeśli jest jak dusza
Nie pęknie choćby skrócić z niego warkocz wygiąć w obręcz
W linię tnącą obłości z jakich przestrzeń kreuje płaszczyznę
Lecz uważaj na żmije drzemią tam na głazie są szybsze od
Oddechu ich jad nie próżnuje wystarczy ukąszenie a zabraknie
Czasu bym mógł ci opowiedzieć z którego miejsca w które ból
Zechce wędrować droga taka jak nasza raz prosta raz krzywa
Prowadzi wprost do duszy uczy ją pogardy poźryj wtedy me
Serce bym miłości do ciebie nie zmienił w gadzie uroczysko

Tylko ty jeden mógłbyś być zakochany w mej ludzkiej naturze
Cała reszta nijaka należy do bogów rozmawiaj o tym ze mną
To nie jest melancholia gdy wchodzisz w skórę żmii czuję się
Nieswojo chciałbym móc cię otworzyć zostać wysłuchanym
Moje słowa zwyczajne nie są nazbyt mądre lecz trzymane
W przetyku zaraz mnie zaduszą jeśli ich nie wykrztuszę albo
Nie wyrzygam byle wyzbyć się dźwięków innych niż syczenie
Podobne do gadziego by być bliżej ciebie ach lęk przeciwko
Sile potęga niemocy Hermes już frunie z wiatrem słyszę trzepot
Skrzydeł odpuść niemądre żarty chciałbym kogoś kochać
Inaczej niżli głupców gawieź od fallusów strącanych z czapek
Hermom wolę cnotę bezmiaru choć żaden ze mnie Alkibiades
No i w tobie nie widać mocy sprawczej bym stał się lepszym

Masz w sobie piękno choć jest niewidzialne nie dla mnie nie
Dla ciebie bystrość prastarych oczu z wolna znika pozostaną ci
Kłęby węchu poszum słuchu irytujący dotyk nieczuły na myśli
Lśniące łuski budzą we mnie zachwyt lecz odwłok obrzydzenie
Burza wisi na włosku gwałtowna i boska pioruny wałą w pniaki
Łupią je przez środek tną krąg wewnętrzny słoju ogień skrzy
I pryska kora chociaż zwęglona wciąż skrywa płaszcz z łyka
Cóż dla niej znaczy nieśmiertelność dusza jak głodny płomień
Zamknięta w twej piersi rozpycha się łokciami starą twarz cuci
W źrenicy fontann wokół strzępiasta wilgoć że aż krwawią oczy
Skóra z prężnej i gładkiej podarta złachana zostały puste wnęki
Po nozdrzach po uszach nie słyszysz nic nie czujesz żar żga
Wyobraźnię dwie czaszki z owocni szyszek toczą się w rozstaje

Pieśń 23

Plotka nie czeka zmierzchu nie kładzie się do snu bez przerwy
Niespokojna o cudze jutro gotowa na bitwę w której fikcja
Łgarstwo wplecione w złe spojrzenia wzrosną nad widnokraj
Otoczą twe przybytki któż wówczas zdoła dostrzec co jest
A czego nie ma to dotyczy też kobiet stojących na drodze
Szerszenie je minęły bo one są z tchnienia wieloludź pokąsany
Opatruje rany ty też ocierasz czoło o chłód wprost z kamieni
Jak rożec swe poroże przed krwawą potyczką wokół mgławica
Życia mleczna szcudrze karmiąca jej spontaniczność tworzy
Trzon natury bezwzględny i piękny podziwiamy ulotność
Nie komplikujmy bez potrzeby nie dystansujmy od akceptacji
Boskiej natury formy filigranowej w dłoniach monumentalnej
W wymiarze kosmicznym otwartym prowokującym domysły

Na szczęście zaczyna kropić woda przybiera obłe kształty
Odbija się w samej sobie kulista zawłaszcza pukle strużyn
Cięta ściana zorzy zalewa drogę wsiąka w żłobienia żwir
Kruszy wierzchnią skałę kurz krząta się w błocie obłapia scala
Bryję widać jest u siebie zna miejsce i sposób na przetrwanie
Krople chmurą wpadają w strzępy kobiet dziurawią z wielu stron
Na przestrzał brzęczą jak brzmiki w otwartej czaszce cisów
Gdy karczują gniazda krzątają pilnie by pięknie przyozdobić
Na spotkanie ze mną na burzliwą dyskusję o ich wyobraźni
Deszcz jej sprzyja gdy wcieka w oczodoły zalewa rowki źrenic
Nic od tego nie widzisz czujesz ciężką wilgoć tę która kapie
Z rzęsy wprost w kałuże pełno ich w drodze grząskich duchowo
Czarnych wieloludź się w nich pluska jak miasto w rynsztoku

Czerni w mieście nad miarę ty sam wiesz najlepiej i niby jest
Szlachetna lecz pośród niej ścieki płyną przez połąć placów
Razem z tłumem gapiów tryskają w nozdrza uszy wpadają
Do krtani ich nurty brudzą język ten jawnie wypróżnia soczysty
Jad na torsy z oczu broczy zawiść ludzie się nie krępują lgnie
Zły do gorszego tyle znaków umarło a ten jeden przetrwa
Wspierany przez śmiech bogów i ludzką ślepotę światło znika
Bez celu w palecie szarości zamiast rodzić nadzieję na dobre
I lepsze kałuże stroją miny łaszą podrygują niby nagie dziewice
W świątyniach nadziei nie wiem gdzie jest granica której chcę
Być wiernym wyznaczyć i obronić uświęcić wszystko w miarę
Mądrość nie warta blasku nawet setki mędrców a cóż dopiero
Głupców którym wciąż wytykasz niewiedzę że nie wiedzą

Boję się zemsty bogów gdy każą nam wrzeszczeć o rzeczach
Zbyt drażliwych nie gódź się tak robić ludzie cię znienawidzą
Uznają za wroga niech Zeus sam im powie jeżeli to ważne
Bo czyż nie jest trucizną zło skryte w pozorach w ludziach
Starych i młodych pełno ich w pałacu złem budują swą skargę
Z cnót zabójczych pańskich wznoszących w ludzkich głowach
Sekretną nienawiść powtórzą co usłyszą zamienią na prawdę
A ona nieśmiertelna znasz ją nie do zdarcia dosięgnie twoich
Kości bez szans na obronę bo poznałeś zbyt dużo światy
Gwiazd podziemia chcesz się zrównywać z bóstwem jawne
Świętokradztwo a jeżeli zaprzeczysz będą kluczyć jak wróżki
Gdy im prawdę powiesz przyjdzie ci walczyć jawnie narazić
Na stratę odeprzeć zarzut kłamstwa lecz kto cię wysłucha

Jak wyrwać podłą potwarz z chętnych dla niej uszu cenioną
Zasiedziałą bez której wstyd i hańba nie znikną z sumienia
Daliby na to chwilkę jeden dzień nie więcej byś zechciał ich
Przekonać że nie chadzasz w chmurach huśtany na wietrze
Nie czyhasz w jamach drążonych ściekami bogowie w złości
Fundują ci potwarz oszczerstwo za idee klarowne i proste
Lecz zbyt szczerze niejeden zechce ważyć nimi mądrość
Chajrefont ach żartowniś co w Delfach o twój geniusz pytał
Gdyby Pytia milczała zamiast słać zagadki nie musiałbym
Roztrząsać co należy zrobić byś żył jak ci Sofokles Eurypides
Ty nieśmiertelnik choć pośród śmiertelnych z grona lichszych
Acz lepszych o porządek w głowie zbrakło go całej reszcie
Mdłym strategom mistrzom rzemiosł zgrai wierszokletów

Ich tragedie poznałeś i pieśni pochwalne Dionizos leje wino
Pijani pociesznie śpiewają poematy jak wieszczki swoje wróżby
Zacni w nich są herosi bajeczni bogowie wszystko ostentacyjne
Po ludzku odkryte a choć o pięknych rzeczach szlachetnej
Miłości cóż z tego może pojąć kto przeczyta strofy któż zatem
Powie mądrze jeśli nie bogowie poznać się na mądrości czy
Ludziom przystoi bo nie są warci tego by znać co zakryte
Tam bóstwa tylko mogą ująć złu dla dobra niewolnik nic nie
Zdoła dać światu od siebie wybrać co z dwojga lepsze nawet
Jeśli jest wolny i bywa etyczny któż to taki w królestwach
Podstępnych tyranów pilnych uczniów Drakona wyznawców
Tradycji tłumiącej świeższy oddech za przejaw wolności pociąg
Do filozofii do cnoty niszczącej argument siłą siłą argumentu

Barwy są wszędobylskie rodzeństwo powietrza chowasz za
Nimi moce których ciągle nie znam czekam aż mi podpowiesz
Bym wiedział nie patrząc słyszał zapach dotyku czuł mięsistość
Słowa Lykon by nie chciał chronić nikogo wśród mówców
Jeślibym jednym zdaniem wykazał złą wolę mógł głosić słowa
Bogów zgodnie z ich żądaniem cokolwiek zrobisz dobrego
Przypisuj to bogom czy nie jest trochę głupio szukać w tym
Ratunku twierdzić że święte głosy wciąż ślą cię do ludzi
Potwarz i zawiść wielu za dostęp do rajy dopadną cię szybko
Ja nie chcę być ofiarą ze względu na prawdę wiem co brzmi
Górnolotnie gdy jesteś człowiekiem na szczęście ty nie jesteś
A ludzie tacy chromi zwyczajnie śmiertelni i nawet jeśli wieczni
Z natury nieśmiertelni czy kiedykolwiek się tego dowiedzą

Mam taki mętlik w głowie że nie wiem którądy dojść do prawdy
Deszcz ustał ciepły wiatr wywiewa z ziemi wilgoć rozpuszcza
W sobie wodę jak wcześniej woda drogę chłonąc obnażone
Kobiety nie ma sprawiedliwości nie otrzymały nagrody za trud
Egzystencjalny ból srogie upokorzenie na zatłoczonym trakcie
Ta droga prowadzi donikąd wędrowcze my też nią wciąż idziemy
I tak długo jak długo będziesz obok mnie nie będę jej czczym
Fragmentem garścią pyłu po którym raz za razem ludzie depczą
Wierząc w swoją życiową misję prawda im niepotrzebna zbyt
Wyszukana kunsztowna nikomu nie może pomóc w dążeniu
Do celu wyjątkowego tkwiącego na szczycie hierarchii wartości
Wspólnego wszystkim nazywa się ludzkością służy ludziom do
Mordowania nazywa się miłością sprawia by kochać egoizmem

Ćwiczeni w uśmiercaniu nie dbają o pamięć chyba że liczą
Złoto za rozcięte torsy pamiętają jak poznać czy kruszec
Prawdziwy ostrzem badają sprawnie gdzie kończy się życie
Z pomocą złota sprawdzamy sposób myślenia ludzi dobrych
I złych moneta czy ma wartość tam gdzie dusza zgasła co
Warte ludzkie życie można je kupić sprzedać lub wymienić
Cudze na cudze jak oko za oko bogowie wszystko wiedzą
Lecz milczą uparcie mają piękne pomniki świątynie i gaje
Niechże przyznają rację że tylko udają albo coś zgoła wiedzą
O życiu człowieka na ile to jest pewne trudno mi rozstrzygnąć
Bo na równi z aktorem dionizyjskim wychylają swe głowy zza
Pinakes ciekawskie theatronu łase na publiczność ale nie są
Na pokaz ani dla zabawy chyba że nic z tego nie rozumiem

Czy teatr jest świętością spełnianą profanum aktorzy bez
Słuchacza to sacrum bez bogów porzuconych na rzecz
Próżnego gadulstwa łatwo ulec pokusie ujarzmić swą szansę
Sztukę wyśpiewać wdzięcznie by być na językach czarować
Złudzeniami szybko trafią do mówcy szpiedzy spiskujących
Królewscy kaci zbrojni w końcu tłum ciekawskich będą szukać
Aż znajdą czego i tak nie ma rzucą rozkaz stukonnym ruszą
Tu przełajem nie poznam co to wieczór po zachodzie słońca
Chyba że deszcz ich zmoczy a mnie da schronienie zmyje
Dla niepoznaki rozpuści w kropelkach będą się mi przyglądać
Lecz mnie nie dosięgną choć spłynę po gardzielach przetrę
Mgliste oczy a gdy pognają dalej zbierzesz krople w dłonie
Połączysz w żywe ciało bym bez uszczerbku mógł powrócić

Wokół wszystko prawdziwe a nie zatrzymuje w sobie świata
Nie pielęgnuje dobra nie rozdaje piękna człowiek czerpie ze zła
Zawłaszcza innych kradnie imiona dusze i historie zajmuje
Cudze miejsce by nigdy nie wypełniły się właściwą treścią
Ludzie od tego giną setki razy myląc boską nagrodę z ziemską
Karą pomóż mi znaleźć inny świat miłosny taki jakim ty jesteś
Prostobarwny jasnorodny z kwitnącą na połonach dzielnością
Ja już wybrałem rzeczywistość kiedy wybrałem ciebie czy świat
Byłby ten sam bez tej decyzji lepszy gorszy wybieram cię raz
Za razem gromadzę wiedzę od młodości do starości zachowuj
Mądrość jako rzecz najniezbędniejszą pewniejsza jest od
Wszelkich innych dóbr ty tymczasem planujesz demonstrację
By zmienić się w byt symboliczny w miejsce życia z krwi i kości

Po co nam taka symboliczność tajemnica i kurz bezdroży
Zacierają jej sens wymazują z życia przetwarzają zmieniając
W wyzwanie nie z tego świata wypełnione chórami Efiatesów
Szukających zapłaty za nikczemność słyszę ciągle ich śpiew
Fałszywy ciężki złotem faszerowany złem wprost na twarz
Megistiasa pieśń sławi prym bogatych nad biedotą pysznych
Nad uległymi stawia pogardę nad szacunkiem zachwała rychłą
Śmierć na rynku podmuch zniekształca słowa frazy tak ulotne
Fałsz prawda bez różnicy jeśli jesteś wrogiem mowa obrończa
Słuszna sięga do rozumu z niego chcą czerpać w sądzie lecz
Niezasłużenie cykutą spłacą potwarz mędrcomi bez skazy
Z koniecznością nawet bogowie nie walczą nie burzą niebios
Nie wspierają słabszych ślą wiatr by lustrował nastroje i place

Wicher podrywa kurz osadza znowu wzbija jakby próbował
Ćwiczyć się w wolności twórczego aktu w gorączce kreacji
Z jaką rozrzuca w przestrzeń cząstki świata powietrze rude
Zbrudzone od żółci zardzewiałe od zaschniętego błota
Poddaje się tym zabiegom rozpuszcza bruzdy włosów faluje
Warkoczami splata w horyzont sieci zależności próbuje coś
Uchwycić wydobyć z głębi zobacz tam rzuciło przynętę zorza
Schodzi niziutko nad drzewa i krzewy łowi zarys człowieka
On zagubiony siedzi na poboczu czekając przyszłych czasów
Nowych traktów sensów na tej jedynej dostępnej nam drodze
Powiedz skąd tutaj tyle zbrodni że nie ma nawet miejsca na
Nadzieję jeśliby wiatr wyłowił z wiatru kształt tamtych dziwnych
Kobiet ich tchnienie ożyłoby za sprawą boskiej Iris tak jak twoje

Pieśń 24

Człowiek po przeponę wbity na pal wklęsłość nizana na
Wypukłość manifestacja syntezy w różnorodności odarta
Z liryki ilustracja jedności światów i form życia przydrożny
Trup był uczniem szkoły Ksenofanesa wiecznym włóczęgą
Mrówki będą dźwigać jego ciało muchy smakować miękkie
Płaty rwane zachłannie okiem miażdżone dziobem rzucając
W nieładzie łykane śpiesznie wielu czeka na słuszny ochłap
Po uczcie uprzątną resztki do ostatniego okruszka jakie są
Ich bóstwa czy takie same jak oprawców na podobieństwo
Arogantów z głową nogami rękoma niesmakiem z powodu
Ubogiej idei prostackiej groteskowej jej autor nie ujdzie losowi
Przydrożny wzgórek rzuci weń kamieniem pierzeja rumowiska
Runie nań głazem ludzie znów będą podziwiać własny gniew

Kogo więc za swoich bogów mają wzgórza czyż nie boskie
Góry mrówki boże mrówki w mrówczych niebach wszystko by
Okpić mędrców bóstwami czyniąc pyszałków i władców ty też
Śmiałeś się że bóg ma postać kuli w niczym niepodobny do
Człowieka cały jest widzeniem i słyszeniem cały jest rozumem
I myślą i jest wieczny choć nie oddycha nie lękaj się cudzych
Wspomnień są jak obce światy odległe i nieznane ich wielość
Zapewnia alibi każdemu nawet tobie ponieważ w żadnym z nich
Nie ma bogów wypełnia je nieznane otula cię szczelnie zabiera
Przestrzeń ryby srebrnych księżyców płyną z nurtem ziemia śle
Nimi w kosmos znaki światło wraca nocami grzęźnie w studni
W niej przeglądasz się skrycie poisz oczy i płaczesz jakbyś
Odnalazł przystań stubarwnych zórz żywych twoim wzrokiem

Nie wiem czy świat jest płaski kulisty rzadki gęsty skąd w nim
Dziury przez które z taką wprawą prześlizgują się zaskrońce
Wędrują chmary szerszeni armie wścieklej szarańczy złote
Promienie słońc chłodnych pomarańczowych czerwone żagle
Ognia żółte maszty pożogi żeglarze w pieśniach sławią złudy
Szczęścia mądrość ziemskiej natury skrytej w rosie świtu
W kosmicznym porządku westchnień łyż z niego kapią kometami
Dłużą się nie chcą iść precz sprzed oczu trudno potem z tym żyć
Bo czego nie obciąża rutyna jest krnąbrne i niedojrzałe istnienie
Świata zmieni w hipotezę gorzką rozrywkę śpiewograjów figurę
Retoryczną ze zgrają bożków w przymiot władzy człowieka
Podatny na przemoc siłę miecza przed którą nie obronią nas ani
Stada żurawi ani dzikie gęsi ich klucze wiszą w otwartym niebie

Każdy człowiek dąży do boskich czynów nic nie przeszkodzi
Żądzy pożądania żaden ptak ptasznik ryba i jej rybak nie zasną
Bez spełnienia są jak diery nicowane w czas bitwy na wzór
Ateńskich trier nie odpłyną bez walki słońca kolejno przeminą
Księżycy wtoczą tarcze bezwolne zaślepione nie zaprzestaną
Pogoni niezdolne do dostrzeżenia faktów krytycyzm napawa je
Cyklicznym lękiem łatwo go poczuć unosi się nad nami otwórz
Dłoń dotknij nią porów ciepła pełno go w listowiu w gałęziach
W pniach naszych dwóch starych drzew jakbyś poruszał moje
Serce ono jest właśnie takim drzewem soki w nim krwiste
Kora cienka struktura delikatna wilgotna bliźniacza to drugie
Serce też jest we mnie jak w każdym z nas człowiek niewiele
O nim wie choć jego ogrom wykracza nawet poza twoje światy

Miłość jest takim światem spojrzenia dziewcząt wzrok matron
Igrają z ogniem w oczach każdej kobiety widzę jak Afrodyta
Kokietuje obcego mężczyznę a on zamiast czerpać z tego
Nieziemską radość taksuje mnie zawzięcie czyżby wiedział
Więcej niż zazwyczaj tak trudno o właściwe proporcje skalę
I przyrzędy to wielkie serce jest przecież całe patrzeniem
Myśleniem słuchaniem w nim zatrzymujesz coś we mnie
Inni ludzie zbyt ślepi głusi i niemi stają się nimi w dwójnasób
Nie protestują nie buntują się jakby nic złego ich nie spotkało
Dopadnie ich niechybny koniec już czeka chwilowo w kokonie
Zamknięty wciąż lecz zdolny niczym larwa porwać tve życie
Wzbogacić się pokarmem wbitym na ostrze smukłego słupa
Lasy hodują takich milion gotowych oddać życie za życie

Nasza niedoskonała natura nabiera w ten sposób sensu
Wszyscy jesteśmy złożeniem oszukańczych okoliczności
Z których każda pochodzi z wnętrza nozdrzy uszu gardła
Ich wymaz układa się na skórze warstwa za warstwą buduje
Kości ścięgna mięśnie dotknij ręki czujesz w niej chłód bijący
Od ramienia prawie mi je odcięli dobrzy ludzie zrastało się
Z korpusem latami szczęśliwy zbieg okoliczności w dziurawym
Koszu pustym wydartym z istnienia hula w nim martwy pozór
A gdyby nawet coś było to byłoby niepoznawalne a choćby
Było nawet poznawalne to i tak wiedzy o tym nie udałoby się
Przekazać konceptualnie mógłbyś jedynie rozpoznać śpiew
Zamknięty w drzewach wiatr skrywający poezję zarys obrazu
O czym wtedy myśleć jak pokochać błędnie czuję je w sobie

Twoje oczy mówią to samo czy istnieją realnie nie są kolejną
Mistyfikacją wiem że nie jest ci obca dychotomia i samotność
Masz słodką barwę wnętrza a więc to ja śnię uciekam w fikcję
Choć nie wiem przed kim od czego jak długo kiedy przestać
Z trwogi mógłbym rozpoznać śpiew poezji zamknięty w niemym
Krzyku budujący znaczenia kształty obrazów odcienie barw
Poszukiwanie prawdy to próba utrwalenia jej w bezruchu sam
Wiesz jakie to niebezpieczne ryzykowne zajęcie płacisz za nie
Głową dziwaczna to moneta po zapłacie traci zupełnie swoją
Wartość niesprzeczną sztuczka głupców o ileż jest trwalsza
Oszuści kreatury Ebulidesa kłamcy szukający trudności tam
Gdzie króluje przeciągły brak rozwagi i zły sofizmat dla sławy
Brylują tym wśród kobiet młodzieży starców na moją zgubę

Możesz czuć satysfakcję z bezradności z jaką przeżywam
Chromy język ten będzie rządził kto dzierży nad nim władzę
Lecz nawet on nie zazna szczęścia bez dobrych uczuć upał
Każe się schronić w zacienieniu jak powinność człowieka
W czystym sercu dzika zwierzyna biegnie nagle z chaszczy
Przed czym ucieka strach niesie ją jak mnie tą drogą prostą
Krętą bez niej bez ciebie cóż bym znaczył drapieżnik ściga
Tę jedną najslabszą sztukę ze stada me słowa zbyt powolne
Zostają w tyle a wciąż sięgają gardła jak szpony ofiarę jeżeli
Prawda absolutna nie istnieje może chociaż mój cień na piachu
Zaświadczy o tym trakcie wesprze przed bogami ludźmi zadba
By nie zarósł byle czym chwastami samosiejką ściernem
Nędznych korpusów głów odchodów zwierząt dwunożnych

Czuję mdły zapach wydzielin wszechobecną biologię słyszę
Jak szept rozrywa gałąź trzask strzela w przestrzeń wprost
Pod nogi gdzie miałbym w słowach znaleźć ciszę milcząc
Powiedzieć że cię pragnę co czuję nie jest słowem co widzę
Zapachem dotykam cię codziennie nie mogę się mylić choć
Wzrok nie pozna dźwięków słuch twej mlecznej bieli jedynie
Dotyk on jeden wyczuwa lęk strach w tobie jest tak mi bliski
Pachnie tym samym potem kręci się nieswojo obraca wokół
Głową jakby wpadła w żarna szyja skręcona w warkocz
Skraca czas decyzji chcesz walczyć więc najpierw uciekaj
Uciekasz by móc walczyć instynkt sam decyduje jest jak krew
Na dłoniach oddech w rozdartej piersi nieczystość pod twym
Chitonem pozbawione swych kończyn stopy i ten sam szept

Moje przeżycia należą do ciebie bylebyś nie okazał się być
Pospolita mistyfikacją bełkotem samotnego głupca stroniącego
Od puścizny kuglarzy i złej sławy zagadkowych rebusów
Cel mają jeden zmylenie mej czujności by powiodła się próba
Wmówienia że życie nie jest warte słowa które je nazywa
Czy odebranie mi ciebie mogłoby oznaczać odcięcie i śmierć
Góra piachu nie zapada się z braku ziarenek ona znika
By przykryć wszystkie groby zatrzeć ślady walk zmienić kolor
Krwi zmieszanej z ziemią na barwę nadziei uciekaj przed tym
Zachowaj tajemnicę więzienie otacza nas szczelnie nie sposób
Stąd jawnie uciec wariaci to rozumieją wyrzucają z siebie
Rzeczy użyteczne dobru i złu każą wynieść się czym prędzej
Nie dbają o to coś co jest ważniejsze i że tego w ogóle nie ma

Nieszczęście się zieleni dojrzewa jak jagoda przez czerwień
Purpurę aż po czerń ta nigdy nie przestaje być czernią kiedy
Cię dopadnie stajesz się hebanowy wszędobylska gangrena
Nie ustąpi miejsca spójrz w tamtą stronę zbrojni stoją jak na
Rozdrożu Prodikosa choć nic nie wiedzą o twoich rozterkach
Cnót nie zdążyli poznali prócz tej jednej śmiertelnej a występku
Nie uznają bo wszystko im wolno nie sadzą a ziemia rodzi
Obficie nie doglądają trzód a hodowle obdarowują ich
Szczerze życie przeżyli w nienawiści do dzisiaj czerpią
Z nienawiści karmią nią ludzi niespokojni o nieznaną miłość
Trzymają straż zbyt bogaci by na nowo siebie przemyśleć
Zapinka której używasz odpięła się upadła w kurz pobocza
Podniosę ją ostrożnie rozejrzę się raz jeszcze dookoła

Zapinka pięknie błyszczy przepływa przez dłonie zostawia
W nich szczeliny przenikają na tę drugą stronę niewidoczną
Dla ludzkiego oka można to poczuć gdy coś wierci się
Niestosownie jak człowiek bez należnej oglądy lub dziwak
Z braku akceptacji odmowy przystosowania się do zasad
Naszego świętego zniewolenia nie spisanej umowy dzięki
Której w miejsce zwierzyny łownej trafiają tacy nieszczęśnicy
Jak ja i ty choć ja nie należę do odmieńców znam dzielność
Specyficzną moją własną być może każdy dziwak jest dzielny
Posiada niepowtarzalną głębię bogatą perspektywę z której
Czoła stawia tajemnej nedorzecznie zakrytej przed ludźmi
Stronie świata ona tak kusi by ją poznać gdy o tym myślę
Płacze mi się język powiedz jaka ona jest czy tylko piękna

Opowieść jest jak dusza w ciele człowieka twoja bratnia dusza
Choć bezcielesna jakby nieistniejąca jest czymś więcej niż
Zwykłą przypowieścią zasługuje na złoty pomnik w delfickim
Przybytku by na zawsze pozostać boginką w miejsce pępka
Świata nie lepiej byłoby urodzić się już tak urodziwym lecz
Tobie na co to wszystko musiałbym się znów tłumaczyć a sąd
Ma w ręku gwałt i tylko czeka by go z łatwością użyć korzysta
Z władzy nad tym nad czym jej nigdy nie miałaś a ja nie wiem
Jak mógłbym wytłumaczyć że zwodzący sprawiedliwszy jest od
Niezwodzącego a zwiedziony mądrzejszy od niezwisezionego
Twoja fibula utknęła przy sercu z krwią wspięła się wzdłuż
Dłoni przez ramię aż do piersi czuję spokój gromadzi się przy
Sercu zespaja niszony jak koralik na kabłąk z cienką szpilką

Pieśń 25

Bezpańskie osły każdy dźwiga ciężar kosze pełne bogactwa
Mącą spokój myśli nikt nie odpędzi głodu samą wizją stawy
Dusza bez pięknych rzeczy nie jest wiele warta a wypasiona
Żołdem przybiera na wadze marzą o tym biedacy marzą możni
W koszach czyż nie łakocie widać po owadach istna plaga
Insektów szturmują tragarzy trąca łeb kąsa zad gzi podbrzusze
Zaraz zacznie folgować podda się emocjom skosztuje
Rarytasów skrytych pod narzutą prostą zwiewną na wietrze
Osły trą cierpliwość zechcą pognać zarazę liczą na handlarza
Jak myślisz gdzie się podział mógłbym tanio kupić soczystą
Kiść winogron wonne miodem placki chleb i różowe wino
Narzuty są zbyt brudne sączy się z nich czerwien idź precz
To martwe twarze szyje świeżo rżnięte w trzcinie z szuwaru

Krew wycieka z języków widać chęć do życia wybrały podróż
W koszach wciąż są na tym świecie co mówiły przed śmiercią
Wslawiły krzykami harcami pstrych wyimków twardych
Rzeczowników zbrojonych w blichtry półprawd skleconych
Przymiotem ukrytym przed tłumami w warsztacie pieśniarza
Słowem pełnym lub pustym gdy wolność jest mitem tyrani
Niszczą światy za zgodą większości zgubna łatwość oceny
Co złe bo nie nasze w zastępstwie zrozumienia zyskuje swą
Wartość ty jawnie to ganieś więc niech cię tak nie brzydzą
Cięte szpetnie karki wciąż tęgie i gotowe na świętą wojnę
Pamiętasz poczciwego który by się cieszył człowieka choć
Jednego ze swojej prostoty jeśliby miał wykrzyzczyć co głos
W nim uniesie by drugi był mądrzejszy bez użycia siły

Które to proste słowa jakie ważne mowy one odbiorą oddech
Zatkają z wrażenia choćby martwe a będą wrzeszczeć lecz
Te w trzcinowych koszach siedzą cicho żal mi oślich tragarzy
Świadców złego gustu obawy i kaprysu bezkarnych tyranów
Grają rolę pochlebców gardzą mądrym krukiem on żywi się
Trupami klakier tym co żywe nic nigdy nie rozkwitnie w kraju
Bez wolności państwa giną gdy nie potrafią odróżnić ludzi
Złych od dobrych a życie ludzi zależy od złowieszczych słów
Krążących nad twierdzami miastami ich zniewoloną biedotą
Ja nie spotkałem wolnych wszyscy w nich ułomni wolą służyć
Świątyniom i władzy satrapów poddani cudzej woli bezpieczni
Czują zbawienną ulgę bo kto by ich zapytał o rozumną drogę
Szczerze mu odpowiedzą najwłaściwszym jest o nic nie pytać

Wybór na przekór swej naturze czy sprzyja innym ludziom
Rodzi bogactwo w polach ciała rozmnaża czyste piękno
Czy raczej chwasty sięgają ponad głowę a ostre oczerety
Wikłają gniazda ptasich łęgów aż po horyzont w korony
Wielkich drzew w wieczne staje węzów ostoję śmiertelnych
Ławic kryjówkę zgłodniałej dziczy zapędzi się taka w głąb
Duszy nie puści co pochwyci bym i ja przeżył poznawczy
Wstrząs i zgodził się że dobre jest piękne a złe brzydkie
Przymus nikogo nie przybliży do prawdy chyba że cnotom
Chciałbym odebrać niedościgłość o nią warto walczyć to tak
Jakbym próbował rozdzielić nas w nadziei wzbogacenia się
Twoim kosztem ale ja nic nie potrzebuję a ty jesteś bogaty
Pałace w których żyjesz wypełniłeś niejasnymi wartościami

Bieda nie musi boleć jeżeli wyzwala gdy rozum zniewolony
Jaśniej bogactwem głód mierzony ciężarem nie może być
Lekki gdy myśl skuły łańcuchy śmiertelnych zagrożeń słyhać
Jak kiszki burczą w czas o suchym pysku przebrzmiały smaki
Ucztę rozważań etycznych została nam nadzieja że cnota jest
Niezawodnym orężem którego nikt ani nic nie może odebrać
Lecz kto potrafi się nią najeść na cóż mi taka broń dwusieczna
Choćby i cała pozłacana stracę przez nią nie zyskam mimo
Twoich zasług dopadnie mnie rozterka przykuje do skały
Wyrwie zdrową wątrobę by odrosła zdrowsza kto zechce dobro
Rozciąć wydzielić część lepszą ten miłuje Pandorę pożąda
Co nie jego co rodzi się z samych bogów w nich tylko umiera
Podmywa dno morza szargane nurtem rzeki żłobiącej zakola

Tafla wody odbija twarzoloty płaskie z wybrzuszeniami płowe
Jakby zbrakło im słońca krążą przy nabrzeżu dojrzeć ich stąd
Nie sposób są jak świeże kwiaty ukryte przed ciekawskim
Zmagają się z deszczem krople wałą w płaszczyznę w oczy
I policzki wścibskie ptactwo dziobami zagłąda do gardeł dławi
W nich żywą pustkę gady próbują walczyć o piędź żerowiska
Od świtu zastawiają na wszystkich pułapki ptaki martwe ze
Strachu toną w morskiej pianie po co im górna przestrzeń jeśli
Czerpią z głębin hodują w sobie glony meduzy i muszle
Jak małże perłonośne ryby złotołuskie spotkasz je w pełni
Nowiu gdy tańczą szczęśliwe wypełnione materią jakiej nie zna
Człowiek twarzoloty to wiedzą czekają cierpliwie zniżają lot
Nurkują kipieli od nich cięższa a one chociaż syte nie przestają

Czyż miałbym mniej pożądać rozbudzić ascetyzm szczęście
Trafia do serca wprost z naszej rozmowy wejdz więc śmielej
W jej głębię brzeg jest tu łagodny ja pobiegnę na łąkę zerwę
Trochę kwiatów rzucę do twoich ramion niech obdarza nurty
Uczuciem podniecenia nie odrzucaj życia szukać czegoś
Nie znaleźć czyż to nie jest ludzkie bogowie już znaleźli i nic
Nam do tego a próba ich redukcji czy doprowadzi do jasnej
Prostoty trud którym chcesz mnie karmić może być trucizną
Wywróci rybnie grzbiety do góry brzuchami z wzdętych trzewi
Z oskrzeli odór zniszczy piękno nie poznasz gdzie jest koniec
Tej nowej brzydoty kosze pełne poezji wstrzymanej w pół
Słowa gdzież w nich doskonałości bogowie stworzyli ciebie
A ty kanony cnoty byś mógł mnie nimi codziennie zadręczać

Dobro nie jest pozorne tak jak los gdy czeka by poznać twoją
Przyszłość zmagania z falą która wciąga ludzi w otchłań
Kłębiący się piach zatoki prąd niosący tęsknotę zbyt daleko
Od bezpiecznego brzegu czy to jest dobry czas na dystans
Na obojętność fizyczna miłość ona przecież przetrzyma cięgi
Wątpliwości i przestrogi odsunie w cień bo czyż nie czystym
Dobrem jest miłość rzucona w grzech zmieniająca się w armię
Zbrojnych ani myśli folgować użyje siły trwale zmieni bez niej
Świat byłby szary rodziłby potwory lęk w miejsce soczystych
Płatków zieleni grozę w miejsce wiewnej krzewiny zmysły mimo
Ludzkich trosk każą jej mięknąć pod opuszkami palców wonieć
Żyzną wilgocią nurzać w mistycznej aurze widać że człowiek
Dobry zasługuje na miłość a złemu czy nic się już nie należy

Psy będą za mną czekać dzień i noc jeżeli twa liryka każe
Ludziom porzucić domy i bliskich nie uciekniesz przed karą
Zgon sam cię dopadnie nie poczeka odbierze jakbyś był złym
Bogaczem chociaż nic nie masz i nie miałeś jakże to typowe
Prędeż mój muł mój osioł do ateńskiej rady zostaną wybrani
Niż odnajdę w tym cnotę wciąż widzę maski martwych twarzy
Cięte języki trwa w nich wrzask wielki spór o treść wymowy
Kto w końcu chciał ją zmienić oprawcy czy ofiary wzywając
Bogów naród i tradycję powiadasz nam chodzi o ludzkość te
Same frazesy destrukcja w pięknych słowach zbrojna w siłę
Zdolną pozbawić nas życia twojego za łatwowierność i pogodę
Ducha mojego przez zuchwałość pytanie o powód dla którego
Co boskie zamienia się w ziemskie człowiecze i szybko gnije

Potrzebujesz nie tylko samego siebie beze mnie mógłbyś
Zginać wszystko przez twą autarkię sięga końca palców
Biegnie wzdłuż dłoni przez ramiona i kark trafia w przelyk
W nim leci na łeb na szyję po podbrzusze przegląda się
W ciemnej toni wyjdź z wody morze huśta nastrojem wznosi
I opada ten rytm dobiega uszu odnajduje serce ono wtóruje
Wodzie choć to pojemny żywioł zrzuca wodorosty zadziwia
Ich czerwienią niekiedy rdzą czerni wyjdź już proszę bo gdy
Słońca wrócą by suszyć brzegi ujście rzeki się złąci drobinki
Kurzu znów oblepią twoje stopy obmyję ci tę drugą niegdyś
Czystszą oszczędź tragarza to nie jego wina że ludzie są
Bezradni śmiertelni podatni na ostrze miecza nawet rozumni
Zdawałoby się ci mądrzejsi w całości należą do materii

Są deszczem podczas deszczu skwarem w pełnym słońcu
Chłodem ponurej aury wiatr wnika w ich ciało oczy błyszczą
Cyklami najbliższej gwiazdy czola złocą ich tarczą jej żółtości
Księżyc porusza srebrem a oni są ciężarni siłą wód podczas
Przypływu lepcy wilgocią łat zmywanych rzadką pianą twardzi
Piaszczystym brzegiem płaskim jak tutaj a niekiedy stromym
Wyniosłym skalnym są nawet ziemią tą samą po której obaj
Idziemy czuję gwałtowne poruszenie zawołajmy nieszczęsnych
Jeśli nie teraz może później kto wie co nastrój nam przyniesie
Po spotkaniu z handlarzem zapytaj czy go zmusili czy rozsądek
Kazał mu pokornie słuchać i spełnić żądanie dać życiu szansę
Wypuść go potem nie skazuj za prostacki rozkaz prawo każe
Nam czynić co dobrych zniewala złych uwalniając od kary

A jeśli ma pieniądze są tak zakrwawione że zaplamia ubranie
Więc niech je zatrzyma krew taka nawet bez koloru kto raz
Jej doświadczy nigdy nie zdoła zetrzeć z chlamidy z pnia ciała
Ty wybierz raczej stratę niż haniebny zysk tamta bowiem raz
Cię zaboli ten zaś boleć będzie zawsze choćbyś spróbował
Zapomnieć rzucił się w wir walki po tej jedynej słusznej stronie
Wciąż to będzie za mało pamięć codziennie młodsza a ty coraz
Starszy drzewo które sadziłeś niższe niż zazwyczaj dom upadły
Przez niesmak gniew sięgnie cię w końcu najgorszy z doradców
Podasz mu rękę ulżysz chwilce a ona krótka ledwie starczy by
Z drzew ptaki strąciły gniazda by pisklęta padły łupem obfitości
Głuchy niby przemówi niemy niby wysłucha ślepy ich nie pomyli
Dlaczego nasze bóstwa cenią sobie wyłącznie ich przychylność

Wiem o czym myślisz niesława jest dobrem tak samo jak trud
Lecz gdy coś z trudem dźwigasz może być czystym złem i wcale
Nie przezroczyłym czarnym jak czarna skała smolistym jak
Smola widocznym już z daleka wzbudzającym w człowieku lęk
I rozpacz która przekracza wymiar doczesności niszczy ludzką
Duszę ja tego doświadczyłem głowę włożyłem w czaszkę była
Prawie pusta nigdzie śladu po oczach ostała się miazga strach
Otoczył skorupę wydrążył w niej dziurę i cały kosmos uciekł
Gdzieś w nieznane w miejsce gdzie być może zło jest czymś
Innym niech więc niesława Sokratesa będzie czystym dobrem
Ale nie Anytosa osobiście wysłałeś go przecież na wygnanie
Nie Meletosa bo ty sam skazałeś go na śmierć i nie powtarzaj
Co ode mnie słyszysz bo może to zasługi należne tylko bogom

Pieśń 26

Wiara w twoje istnienie wymaga wysiłku rozdarcia wnętrza
Studiowania materii chociaż i jej może tu nie być zaledwie
Myśl i słowo ciągnące chaos na wszystkie strony niecierpliwe
Jak deszcz na zachmurzonym niebie jeszcze w zalążku
Krople nadal związana w drobne supełki a wiatry już próbują
Coś wskórać gonią cień przed którym od zawsze uciekam
Martwe ptaki zrywają się niespodzianie dławiają moim odbiciem
Zbyt dużym dla ich gardeł przeloty spadają w strzępach prosto
Na szczyt skały upierzenie opada wolniej zakrywa całe zdania
Twoje słowa gniją tam jak owoce z ziemskich drzew nicości
Matecznik jest ich domem a droga rubieżą dusza spływa
Najwolniej zsuwa bez pośpiechu gęsta od niedomówień kleista
Czepia się mojej skóry zrywa z niej resztki siwych włosów

Realizm odziera nas z człowieczeństwa ukrywa przed ludźmi
Groteskę karmi naiwną stylizacją odbiera pierwszeństwo liryce
Bo ona nie może być fałszywa wznosi się i opada i znowu
W górę fala za falą słońce goni słońce deszcz dudni po listowiu
Szepcze metafizycznie w rytmie o którym nikt nigdy nie zdoła
Zaświadczyć kłamstwem prawda wymusza na pieśniarzu
Opróżnienie intymnych schowków bo choć z szóstaków dawno
Strząśnięto wszystkie długie wierzytelności została przeniesiona
Na poezję do dzisiaj ciąży na niej a próby naprawcze odległe
Nieczęste zbyt mizerne oracje mówców ich słynne chlamidy
Składane w tessalskie skrzydła cóż mogły one działać wobec
Siły dłużników wszyscy jej ulegli starania o dobrą przecenę
Nie miały sensu jak wiara w ciebie może poza jedną miłością

Ów szept deszczowych kropel misterium z niego pochodzi także
I twoja dusza dobrze wiem że coś takiego jest możliwe zwłaszcza
Miłość do cudzego ciała nienawiść do własnego rozrzuconego
Wzdłuż tej drogi nie zwódź mnie nie przymuszaj do pośpiesznego
Układania myśli ptak gdy wsłuchuje się w ton grzmotu jest dużo
Cierpliwszy od ciebie podfruwa i przy martwej gliniance czeka by
Deszcz ją ożywił dał życiu sens czekania na srebrnooki płyn
Z przyciężkich chmur z bieli dartej o szarość z czerni krzeszącej
Ogień lecz ja czy wciąż istnieję jeśli nic nie znaczę upokorzony
Ustępujący nawet ptakom i sadzawkom twoje ciągłe pytania
Nienaturalna dociekliwość zagrożą w końcu nie tylko nam chmury
Obniżą lot otrą gęste brzuchy o skały przymorza łupane nawałnicą
Prażone upałem z trudem łapiące oddech po każdym rozdarciu

Staniesz się łupem szakala przekąską lisa nawozem dla rozłóg
Ostrożenia kolczatki szeleżnika sam pośród górskich kóz ptasich
Odchodów u źródeł ziemskiego łajna słowa zmieniają się w strumień
A ty w łowną rybę dźwięki w podniebne wichry a ty w bezbronne
Piskłę to właśnie chciałbyś nazywać ładem świata najlepszym
Z możliwych świętym praporządkiem gdzież w nim jest miejsce
Na twe ciągotki do uranografii do kształtów barw głębi obrazów na
Słabość do słów boskich bezdźwięcznych do rozpraw o pięknie
Ludzkiej mowy tworzywie poezji wszystko to miałyby zależeć od
Ilości kosmicznych pyłków ukrytego w nich życia w zastępstwie
Tańca godowego ptaków nad mokrym wrzosowiskiem naturalnego
Miłosnego jak wzniosłe pożądanie kochanków przeczuwających
Fizyczne spełnienie jeśli czerpać zacząć zachłannie pełną garścią

Nie mów że to nie ma sensu może nie tutaj w innym miejscu
I czasie krew wciąż będzie pulsować przyroda dorosnie do
Roli wszędobylskiej dostrzegam w niej siebie samego ciche
Marzenie w którym tkwię po uszy zwyczajne zaczyna być
W nim piękne a brzydkie piękniejsze muszę upewnić się tylko
Że wszystko już znam z przeszłości czas wyrwał w kręgach szyi
Dostojne kołysanie głowa niesiona na patyku wiatr zrzuci ją
Zaraz pod nogi zło wpełźnie na dobre zadomowi złoży we mnie
Prastare jaja zamienią mnie w zimno-ciepłego bezkrwistego
Stwora czy nic mi się już od życia nie należy chociaż troszkę
Powietrza bym mógł splunąć głupi kto mądrość traci głupszy
Kto traci na to życie takich dzisiaj na pęczki pchają się żeby
Chwalić miernotę urągać mędrcom poniżać co niezwyczajne

A dusza czy jej już nie ma coś zagrało w środku z piskiem
Wdrapało się pod samo gardło krzykiem zerwało tęczę na
Rozmarzonym we mnie nieboskłonie wstrzymując nocną
Wędrowną gwiazd księżycowe wahadła baśniowych snów
Których koloryt nie był i nigdy nie będzie niczym umieraniem
Wszedłem i ja wąską drabiną kręgosłupa od kręgu do kręgu
Na szanice czaszki chciałem pochwycić przybłądę wypytać
O skryte światy pyłki zadrgały bezwiednie w kolumnie światła
Jeżeli wszystko się z nich składa to po co nam coś więcej
Mistyczne wzgórza trupie kości nieznanne zwierzęta zagubione
W poszukiwaniu miejsca na ziemi ołtarze z tysiącem bóstw
Odbierających ludziom szczęście cynicznych wyśmiewających
Miłość tnących gdzie popadnie rwących płacami skórę twarzy

Po co nam rozum pęd z jakim myśli huczą w głowie równane
Do kanonu strzyżone skracane zamieniane na inne dla samej
Odmiany jak mogą dać nam wyjątkowość brakuje w tym umiaru
Ci których postawiono na straży radości stają się pierwsi
Gwarantem tyranii zapominają że każde słowo jest cieniem
Czynu śpiew podczas ptasich godów drogą do miłości świt
Zapowiedzią południa jesień rychłej wiosny choć najpierw
Życie traci urok zaczarowanie niespodziankę słońca odchodzą
Wzbudzając twój niepokój jakież to nośny symbol umierania
Ognista kula jest bez serca nie płacze nie rozpacza chowa się
Za księżyc by nie patrzeć na śmierć zbuntowanego człowieka
Nabitego na pal brak i nadmiar burzą spokój ducha nie mnie
Pytaj o sens istnienia o radość z niezmaconego niczym trwania

Zalecasz równowagę mądrość jest przywilejem i bogów i ludzi
Lecz ilu głupców wstawiło swe popiersia do słynnych świątyń
Szybciej przybywa bogów niż dobrych uczynków a nam wciąż
Nie wolno o tym mówić bo wszystko się rozniesie po co taki
Rozgłos niech już inni giną ci mniej rozsądni zbyt pewni obcych
Ludzi lekceważący zagrożenie mądrą przestrożę któż z nas
Choć raz nie zbłądził spójrz w sam środek duszy cnota milczy
Nie zagłuszysz wstydu nie przekreślisz uproszczeń z których
Czerpiesz filozofię w niej słowa są nierozumne zbyt ciężkie
Szczelnie zamknięte uzbrojone po zęby w skrajne moce piekące
Oczy suszące języki skorzystam z twojego naczynia smak wody
Zmieszany z melancholią odrywa obrazy głębia krąży wpada
W źrenice pod przeponę zamienia w krew podaję ci ją byś żył

Te obrzydliwe dziwolągi znów tutaj są wiatr niesie je zwojem
Zatoki tysiąckonie znużone bogactwem obserwacji wieloludź
Zrobi z nich użytek rozwiesi nad traktami pośle na skraje
Świata zgromadzi relacje swoją wartością górujące nad całą
Ludzką wiedzą a kiedy wszystko będzie już spisane wydlubie
Im oczy co do jednego tak jak tobie gdy rozciągnięty na kole
Wyczekiwałeś dobrych bogów zamiast nich zjawili się gapie
Niecierpliwi otwarci na złe przeżycia bieg zdarzeń był zależny
Od gestu archonta on jednak wstrzymał kaźnię do zamknięcia
Modlitw by twój przekłety wrzask nie straszył potomności a gdy
Pałki zalśniły wreszcie w słońcu nagły półmrok schłodził żądne
Twarze zmrok rozpuścił warkocze przetoczył gęsto nieśpiesznie
Dostojnie jakby żagle żurawi sfrunęły z niebios budząc strach

Wstrzymano egzekucję widać wolę bogów lecz zanim promień
Światła powrócił na ziemię śmiałkowie obwieścili że słońce
I księżyc składają się z atomów gładkich i okrągłych podobnie
Jak dusza wyłącznie dla tej prawdy twój duch przywołał noc
Pośrodku dnia sędziowie w bólach wyginęli z braku pokory
A ty dostałeś drugie życie pomógł ostracyzm Klejstenesa
Czy może nowa sztuczka o bogowie kogóż zsyłacie do mnie na
Tę ciężką drogę stary już jestem brzydki siłę mam za sobą trud
Który muszę znosić nie jest dobrowolny nie chciałem chwalić
Możnych żeby im nie szkodzić ty też to zapamiętaj niegodnego
Męża nie chwal dla jego bogactwa bo węzozłote usta drwiłyby
Z twojej pochwały zniekształcone grymasem wciąż pożądlive
Głodne zabójczo strzegące przed pochlebcą tajemnicy nicości

Skrywasz w ciele puls krwi masz pancerne serce twarde
Żelazne lecz czy nadal gotowe do walki na śmierć i życie
Opowiedziałeś mi o pełni i pustce nanizanych na długi sznurek
Drobnych paciorkach świecących jak gwiazdy zakrytych przede
Mną światów nie proszę o zrozumienie tajemnice wszechświata
Mogą być dla mnie absurdalne na jego połoninach w zakątkach
Boskich twarzy często dostrzegam siebie szarak gdy spojrzę
W dno sadzawki wróbel kiedy zanurzy dziób w kropelce wody
Dojrzą co i ja tam widzę a co ty odnajdujesz w twarzach ludzi
Zniszczonych ostrym wiatrem cuchnących pokrytych kurzem
Pękatym od gorąca pierzastym od wznoszenia i opadania
Sandał zanurza się nurkuje do dna czapla łowi swój pokarm
Jak ty tę drogę dzień w dzień w rytm dyskretnego umierania

Człowiek zawija w skórę skurczone mięśnie chowa głęboko
Serce ogień uderza w jego ciało miękko porywczosć związana
Jest ze sprzeciwem stawiasz mu opór kiedy on tylko śpieszy
Bliżej cię poznać ogrzać czymś nieuchwytnym rozpadającym się
Na intymne iskry sypiącym boską smugą jeżeli cierpisz przy
Tym wyłącznie twoja wina jakże mogłoby być inaczej gorąco
Pochodzi wprost z uniwersum nieprzetworzone naturalne ty
To ledwie wydmuszka nieistotna dla życia ułomna struktura
Czasu w ogólnym bilansie ciepła chyba że chciałbyś coś
Zmienić z nieba wymazać odwieczny ślad Urana podobno jego
Krew zmieszana z ziemią zrodziła boginki kary zawistne
Erynie zwolenniczki węzowych włosów biczy zdobionych
Ćwiekami żmij noszonych na skrzydłach głównym traktem

Kłamcy jak śnięte ryby płyną z nurtem rzeki trują wody zatoki
Barwią żywioł deszczu jad wcieka wprost do uszu rozrywa pień
Czaszki plądruje po podbrzusze rozdaje co cudze stopy gniją
Od skrzepów ręce szybko więdną wkrótce nie będzie już nikogo
Kto poświadczy prawdę fałszerze biorą wszystko nawet nasze
Cisy nie są w stanie się oprzeć zgiełkowi nie-znaczeń ciemne
Zwidy królują zwykle martwe a dzisiaj pouczają ludzi o miłości
Wpierw wabią paciorkami nizanymi na rzemień by spętać nas
Trokiem metafizycznym lirycznym szaleństwem że wszechświat
Jest nieograniczony jedna jego część wypełniona a pozostała
Próżna z pełni i próżni powstają bezkresne światy by znowu
Rozpaść się na nie miłość za żadną cenę nie zniosłaby próżni
Istnieją tylko światy dobre i światy złe a między nimi pieśni